

Pierwszy zbiór krótkich form literackich
autora nagrodzonego **PULITZEREM** za *Middlesex*!

Nowy dowód

JEFFREY EUGENIDES

Książka roku
według
„New York Times”
i „Guardian”!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JEFFREY EUGENIDES

Nowy dowód

Z języka angielskiego przełożył
Witold Kurylak



Tytuł oryginału: FRESH COMPLAINT

Copyright © 2017 by Jeffrey Eugenides

All rights reserved.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autora: © Marte Visser

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-543-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Marudy](#)

[Poczta lotnicza](#)

[Pipeta do pieczeni](#)

[Muzyka dawna](#)

[Apartamenty](#)

[Znajdź winowajcę](#)

[Proroczy srom](#)

[Kapryśne ogrody](#)

[Wielki eksperyment](#)

[Nowy dowód](#)

Pamięci Brennera Eugenidesa
1985–2012

Marudy

Wjeżdżając na podjazd wynajętym samochodem, Cathy dostrzega znak i nie może powstrzymać się od śmiechu. „Wyndham Falls. Godziwe życie na emeryturze”.

Della opisywała to chyba jakoś inaczej.

Po chwili wyłania się budynek. Główne wejście sprawia dość dobre wrażenie. Jest duże i przeszklone, z białymi ławeczkami na zewnątrz i aurą medycznego uporządkowania. Ale już umieszczone z tyłu posiadłości apartamenty z ogródkami są małe i nędzne. Malutkie ganki, przypominające zwierzęce zagrody. Wrażenie, że wewnątrz, za zasłoniętymi oknami i sfatygowanymi drzwiami, toczy się samotne życie.

Kiedy wysiada z samochodu, wydaje się jej, że jest tu o pięć stopni cieplej niż rano przed lotniskiem w Detroit. Błękitne styczniowe niebo jest prawie bezchmurne. Żadnych oznak śnieżycy, przed którą ostrzegał ją Clark, próbując zatrzymać ją w domu, by się o niego zatroszczyła.

– Może pojechałabyś w przyszłym tygodniu? – zapytał. – Ona wytrzyma.

W połowie drogi do frontowego wejścia Cathy przypomina sobie o prezencie dla Delli, więc wraca po niego do samochodu. Wyjmując go z walizki, ponownie odczuwa zadowolenie, że w pracy pakuje prezenty. Papier jest gruby, gąbczasty, niebielony, imitujący korę brzoźową (dopiero w trzecim sklepie papierniczym znalazła coś, co jej się spodobało). Zamiast przykleić jarmarczną kokardkę, Cathy ucięła gałązki z choinki – którą właśnie mieli wystawić przed dom – i zrobiła z nich wianek. Teraz prezent wygląda tak, jakby był ręcznie zrobiony i organiczny, niczym podarunek składany podczas indiańskiego obrzędu, jak coś wręczanego nie człowiekowi, a ziemi.

Zawartość natomiast jest już zupełnie nieoryginalna. Cathy zawsze daje Delli to samo – książkę.

Choć tym razem to coś więcej. Coś w rodzaju lekarstwa.

Odkąd przeniosła się do Connecticut, Della narzeka, że już nie może czytać. „Ostatnio po prostu nie jestem w stanie skupić się na książce” – tak

wyjaśnia to przez telefon. I chociaż nie mówi dlaczego, obie znają przyczynę.

Pewnego sierpniowego popołudnia w zeszłym roku, podczas corocznej wizyty Cathy w Contoocook, gdzie Della wówczas wciąż mieszkała, Della wspomniała, że lekarka skierowała ją na badania. Minęła dopiero piąta, słońce chowało się za sosnami. Żeby nie czuć oparów farby, piły margaritę na zabudowanej werandzie.

– Jakie badania?

– Mnóstwo głupich badań – odparła Della, robiąc przy tym minę. – Na przykład ta terapeutka, do której mnie skierowała, uważa się za terapeutkę, ale nie wygląda na więcej jak dwadzieścia pięć lat, każe mi rysować wskazówki na zegarze. Jakbym była w przedszkolu. Albo pokazuje mi kilka obrazków i mówi, żebym je zapamiętała. I nagle zaczyna mówić o zupełnie innych sprawach, rozumiesz. Chce odwrócić moją uwagę. A potem pyta, co było na tych obrazkach.

Cathy spojrzała na twarz Delli w szarym świetle. W wieku osiemdziesięciu ośmiu lat nadal jest piękną, pełną wigoru kobietą, jej prosto przycięte siwe włosy kojarzą się Cathy z upudrowaną peruką. Czasem rozmawia sama ze sobą lub wpatruje się w przestrzeń, ale nie częściej niż każdy, kto tyle czasu spędza w samotności.

– Jak ci poszło?

– Szale nie było.

Dzień wcześniej, wracając samochodem ze sklepu żelaznego w Concord, Della zaczęła denerwować się wybranym odcieniem farby. Czy jest dostatecznie jasna? Może powinny ją zwrócić. Wcale nie wyglądała tak radośnie, jak na próbce farby w sklepie. Och, wyrzucone pieniądze! Wreszcie Cathy powiedziała:

– Dello, znów zaczynasz się niepokoić.

To wystarczyło. Z twarzy Delli zniknęło całe napięcie, jakby ktoś posypał ją czarodziejskim pyłem.

– Wiem – powiedziała. – Musisz mi mówić, kiedy tak się zachowuję.

Siedząc na werandzie i popijając drinka, Cathy odparła:

– Nie przejmowałabym się tym, Dello. Wszyscy denerwują się takimi badaniami.

Kilka dni później Cathy wróciła do Detroit. Więcej nie słyszała o badaniach. A potem, we wrześniu, Della zadzwoniła, żeby powiedzieć, że

doktor Sutton umówiła się z nią na wizytę domową i poprosiła najstarszego syna Delli, Bennetta, żeby był przy tym obecny.

– Jeśli chce, żeby Bennett tutaj przyjeżdżał – powiedziała Della – to pewnie ma złe wieści.

W dzień wizyty – był poniedziałek – Cathy czekała na telefon od Delli. Kiedy wreszcie zadzwoniła, w jej głosie słyhać było ekscytację, niemal euforię. Cathy sądziła, że lekarka oceniła, że ze zdrowiem Delli jest wszystko w porządku. Ale Della nawet nie wspomniała o wynikach badań, tylko, niemal oszalała ze szczęścia, powiedziała:

– Doktor Sutton nie mogła się nadziwić, jak pięknie urządziłyśmy mój dom! Powiedziałam jej, jaka to była ruina, kiedy się tu wprowadziłam, i jak podczas każdej twojej wizyty razem obmyślałyśmy wszystko, a ona nie mogła w to uwierzyć. Uznała, że jest po prostu uroczy!

Może Della nie chciała przyjąć do wiadomości diagnozy, a może już o niej zapomniała. Tak czy inaczej, Cathy obawiała się o nią.

Ostatecznie to Bennett musiał przekazać jej szczegółowe informacje medyczne. Przedstawił je suchym, rzeczowym tonem. Pracując w firmie ubezpieczeniowej w Hartford, Bennett codziennie oblicza prawdopodobieństwo choroby i śmierci i być może dlatego tak to zabrzmiało.

– Lekarka mówi, że mama nie może już prowadzić samochodu. Ani korzystać z kuchenki. Przepisze jej jakieś lekarstwa, które powinny ustabilizować jej stan. Na jakiś czas. Ale, w każdym razie, rzecz w tym, że nie może mieszkać sama.

– Byłam u niej w zeszłym miesiącu i twoja mama wyglądała dobrze – powiedziała Cathy. – Po prostu się niepokoi, to wszystko.

Bennett odezwał się po krótkiej pauzie:

– Tak, zgadza się. To częściowo kwestia niepokoju. Niepokój to część tego wszystkiego.

A co Cathy mogła ze swojej strony zrobić? Nie tylko mieszkała daleko na Środkowym Zachodzie, ale też była w pewnym sensie kimś osobliwym czy nawet niepożądanym w życiu Delli. Cathy i Della znają się od czterdziestu lat. Spotkały się, kiedy obie pracowały na wydziale pielęgniarstwie. Cathy miała wtedy trzydzieści lat i była świeżo po rozwodzie. Przeprowadziła się

do rodziców, żeby matka mogła opiekować się Mikiem i Johnem, kiedy Cathy pracowała. Della, typowa matka z przedmieścia, mieszkająca w wymyślnym domu nad jeziorem, była już po pięćdziesiątce. Wróciła do pracy nie dlatego, że rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, jak Cathy, ale po prostu nie miała żadnego zajęcia. Jej dwaj najstarsi synowie wyprowadzili się już z domu. Najmłodszy, Robbie, był w szkole średniej.

W normalnej sytuacji nie powinny mieć kontaktu w szkole. Cathy pracowała na dole w kwesturze, a Della była kierowniczką dziekanatu. Pewnego dnia jednak Cathy przypadkiem usłyszała w stołówce, jak Della mówi o programie Weight Watchers, zachwycając się tym, jak łatwo jest utrzymać tę dietę i jak to nie trzeba się głodzić.

Cathy właśnie zaczęła znowu spotykać się z mężczyznami. Inaczej mówiąc, puszczała się na lewo i prawo. Po rozwodzie ogarnęło ją rozpaczliwe pragnienie, żeby nadrobić stracony czas. Zachowywała się lekkomyślnie jak nastolatka, robiąc to z ludźmi, których ledwo знаła, na tylnych kanapach samochodów lub na podłodze wyłożonych wykładziną dywanową furgonetek, zaparkowanych na miejskich ulicach pod domami, w których grzecznie spały porządne chrześcijańskie rodziny. Poza sporadycznymi przyjemnościami, jakie dawały jej spotkania z mężczyznami, Cathy chciała się w jakiś sposób ukarać, jakby to męskie trykanie i wpychanie mogło nauczyć ją trochę rozumu, przynajmniej na tyle, żeby powstrzymać ją przed ponownym poślubieniem kogoś takiego jak jej były mąż.

Powróciwszy po północy do domu z jednego z takich spotkań, Cathy wzięła prysznic. Po wyjściu stanęła przed lustrem w łazience, oceniając się tym samym obiektywnym okiem, z jakim później zajmowała się remontami domów. Co można naprawić? Co ukryć? Z czym trzeba żyć i w związku z tym co należy ignorować?

Zacząła uczęszczać na spotkania Weight Watchers. Della woziła ją tam samochodem. Mała i zadziorna, z rozjaśnionymi końcówkami włosów, wielkimi okularami w półprzezroczystych różowawych oprawkach i w błyszczącej bluzce ze sztucznego jedwabiu, Della siedziała na poduszce, żeby cokolwiek widzieć znad kierownicy swojego cadillaca. Założyła szmirowate broszki w kształcie bąków lub jamników i zlała się perfumami. To musiała być jakaś własna marka domu handlowego, kwiatowa i przesłodzona, opracowana, żeby maskować kobiecy zapach, a nie go

podkreślać, jak olejki do ciała, którymi Cathy skrapiała swoje punkty uciskowe. Wyobraziła sobie Dellę, która rozpyła perfumy, a potem jak kretyńka podskakuje w ich mgiełce.

Kiedy już straciły kilka kilogramów, raz w tygodniu szły zaszaleć, na drinki i kolację. Della miała w torebce licznik kalorii, dla pewności, że zbytnio nie przesadziły. Przy takiej okazji odkryły margaritę.

– Hej, wiesz, co jest niskokaloryczne? – zapytała Della. – Tequila. Tylko dwieście trzydzieści pięć kalorii na sto gramów. – O cukrze w drinkach wołały nie myśleć.

Della była tylko pięć lat młodsza od matki Cathy. Miała podobne jak jej matka opinie na temat seksu i małżeństwa, ale łatwiej było słuchać tych przestarzałych mądrości, kiedy wygłaszał je ktoś, kto z góry nie zakłada, że jest właścicielem twojego ciała. Różnice między Dellą a matką Cathy wyraźnie wskazywały, że jej mama nie była, jak to się zawsze Cathy zdawało, arbitrem moralności, ale po prostu normalną osobą z jej wadami i zaletami.

Okazało się, że Cathy i Della mają wiele wspólnego. Obie lubiły rękodzielnictwo: dekupaż, koszykarstwo, antykizowanie, tego typu rzeczy. I uwielbiały czytać. Pożyczały sobie nawzajem książki z biblioteki, a potem sięgały po te same książki, żeby je jednocześnie czytać i omawiać. Nie uważały się za intelektualistki, ale potrafiły odróżnić dobrą literaturę od złej. Przede wszystkim lubiły dobrze opowiedzianą historię. Częściej pamiętały fabuły książek niż ich tytuły czy autorów.

Cathy unikała wizyt w domu Delli w Grosse Pointe. Nie chciała narażać się na kontakt z włóchatymi wykładzinami dywanowymi czy pastelowymi zasłonami albo na spotkanie z republikańskim mężem Delli. I nigdy też nie zaprosiła Delli do domu rodziców. Lepiej było spotykać się na neutralnym gruncie, gdzie nikt nie mógł im przypomnieć, jak do siebie nie pasują.

Pewnego wieczoru, dwa lata po pierwszym spotkaniu, Cathy zabrała Dellę na przyjęcie organizowane przez jakieś jej znajome. Jedna z nich uczestniczyła kiedyś w wykładzie Krishnamurtiego, więc teraz wszystkie rozsiadły się na podłodze, na ozdobnych poduszkach z kanapy, i słuchały jej opowieści. Wśród obecnych zaczął krążyć dżoint.

Oho, pomyślała Cathy, kiedy skręt dotarł do Delli. Ale ku jej zaskoczeniu Della zaciągnęła się i podała go dalej.

– No to już szczyt – powiedziała potem Della. – Przez ciebie palę trawę.

– Przepraszam – odparła Cathy, śmiejąc się. – Ale... czy coś poczułaś?

– Nie. I cieszę się, że nie. Gdyby Dick wiedział, że palę marihuanę, dostałby szalu.

Ale się uśmiechała, zadowolona, że może mieć jakąś tajemnicę.

Miały też inne sekrety. Kilka lat po poślubieniu Clarka Cathy nie mogła już dłużej wytrzymać i się wyprowadziła. Zameldowała się w motelu, przy Eight Mile.

– Jeśli Clark zadzwoni, nie mów mu, gdzie jestem – poprosiła Dellę. A Della nic nie powiedziała. Przez tydzień co wieczór przynosiła Cathy jedzenie i słuchała jej pomstowania, aż przestała się tym przejmować. Przynajmniej na tyle, żeby się pogodzić.

– Prezent? Dla mnie?

Wciąż jeszcze przepełniona dziewczęcym entuzjazmem Della patrzy szeroko otwartymi oczami na pakunek, który podaje jej Cathy. Siedzi w niebieskim fotelu przy oknie, w rzeczywistości jedynym w tej małej zagraconej kawalerce. Cathy przycupnęła niezgrabnie na pobliskiej kanapie. W pokoju jest ciemno, ponieważ żaluzje są opuszczone.

– Niespodzianka – mówi Cathy, zmuszając się do uśmiechu.

Pod wpływem tego, co mówił Bennett, miała wrażenie, że Wyndham Falls to apartamenty dla seniorów, którzy chcą żyć niezależnie, a jednocześnie pod opieką. Na stronie internetowej wspomniano o „pomocy w nagłych wypadkach” i o „środowiskowych aniołach opiekuńczych”. Ale w broszurze, po którą Cathy, wchodząc, sięgnęła w holu, wyczytała, że Wyndham ogłasza się jako „społeczność emerytalna 55+”. Obok wielu starszych lokatorów, którzy pokonują korytarze, pchając przed sobą aluminiowe balkoniki, są tu młodszy weterani wojenni, z brodami, w kamizelkach i czapkach, zasuwanicy na elektrycznych wózkach inwalidzkich. Nie ma personelu pielęgniarstwa. To tańsze rozwiązanie niż apartamenty dla seniorów i świadczenia są minimalne: przygotowane posiłki w jadalni, raz w tygodniu zmiana pościeli. To wszystko.

Sama Della nie zmieniła się od ich ostatniego spotkania w sierpniu. Przygotowując się na wizytę, założyła czystą dzinsową sukienkę bez rękawów oraz żółty top i w odpowiednich miejscach i ilościach nałożyła też szminkę i makijaż. Jedyna różnica polega na tym, że Della również używa

balkonika. Tydzień po przeprowadzce poślizgnęła się i uderzyła głową w chodnik przed wejściem. Straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, ujrzała wpatrującego się w nią wielkiego przystojnego niebieskookiego sanitariusza. Della spojrzała na niego i zapytała:

– Czy już umarłam i jestem w niebie?

W szpitalu zrobili Delli rezonans magnetyczny, żeby stwierdzić, czy nie doszło do krwotoku mózgowego. Potem przyszedł młody lekarz, żeby sprawdzić, czy nie odniosła innych obrażeń.

– No to sobie wyobraź – powiedziała Della Cathy przez telefon. – Osiemdziesięcioośmioletnia baba i młody lekarz, który sprawdza mnie centymetr po centymetrze. Dokładnie tak, centymetr po centymetrze. Powiedziałam mu: „Nie wiem, ile panu płacą, ale na pewno za mało”.

Te przejawy jej dobrego humoru potwierdzają to, co Cathy przez cały czas czuła – że mętlik w głowie Delli ma w dużej mierze podłoże emocjonalne. Lekarze uwielbiają wydawać diagnozę i przepisywać tabletki bez zwracania uwagi na stojącego przed nimi człowieka.

Sama Della nigdy nie używała określenia ze swojej diagnozy. Zamiast tego mówiła „moja choroba” lub „ta moja dolegliwość”. Kiedyś powiedziała:

– Nigdy nie pamiętam, jak nazywa się to, co mi dolega. To coś takiego, czego człowiek dostaje, kiedy się starzeje. Coś takiego, czego najbardziej się nie chce. I właśnie to mam.

Innym razem powiedziała:

– To nie alzheimer, ale coś następnego w kolejności.

Cathy nie jest zaskoczona tym, że Della wypiera z myśli fachową terminologię. Demencja nie jest miłym słowem. Brzmi to bezlitośnie, agresywnie, jak gdyby demon wygrzebywał mózg kawałek po kawałku; a jednak w rzeczywistości tak właśnie jest.

Teraz patrzy na stojący w kącie balkonik Delli, okropną purpurową konstrukcję z siedziskiem z czarnej sztucznej skóry. Spod kanapy wystają pudełka. W zlewie malutkiego aneksu kuchennego piętrzą się naczynia. Nic strasznego. Ale dom Delli zawsze był wyjątkowo schludny i ten bałagan jest niepokojący.

Cathy cieszy się, że przyniosła prezent.

– Nie otworzysz go? – pyta.

Della spogląda na podarunek, jakby właśnie zmaterializował się jej w dłoniach.

– Och, oczywiście.

Odwraca paczkę. Sprawdza jej spód. Uśmiecha się niepewnie. Jakby zdawała sobie sprawę, że w tym momencie należy się uśmiechnąć, choć nie wie dlaczego.

– Spójrz na ten ozdobny papier do pakowania! – mówi wreszcie. – Jest po prostu cudowny. Muszę uważać, żeby go nie rozedrzeć. Może go jeszcze wykorzystam.

– Możesz to rozerwać. Nie mam nic przeciwko.

– Nie, nie – nalega Della. – Chcę zachować ten piękny papier.

Jej stare, pokryte plamami dłonie zmagają się z papierem do pakowania, aż w końcu się odkleja. Książka spada jej na kolana.

Della nie poznaje.

To jeszcze nie musi nic znaczyć. Ukazało się nowe wydanie. Zdobiącą oryginalne wydanie ilustrację, na której dwie kobiety siedziały ze skrzyżowanymi nogami w wigwamie, zastąpiła efektowniejsza kolorowa fotografia przykrytych śniegiem wierzchołków gór.

Chwilę później Della wykrzykuje:

– Ojejku! Nasza ulubiona!

– To nie wszystko – mówi Cathy, wskazując okładkę. – Popatrz. „Dwudziestolecie pierwszego wydania! Ponad dwa miliony sprzedanych egzemplarzy!” Dasz wiarę?

– Cóż, zawsze wiedziałyśmy, że to dobra książka.

– Pewnie, że wiedziałyśmy. Ludzie powinni nas słuchać. – I już cichszym głosem Cathy dodaje: – Pomyślałam, że może dzięki tej książce wróciłabyś do czytania, Dello. Przecież tak dobrze ją znasz.

– Hej, oczywiście. Żeby trochę rozruszać mózg. Ostatnią książkę, którą mi wysłałaś, ten *Pokój*, czytam już od dwóch miesięcy, a jeszcze nie wyszłam za dwudziestą stronę.

– Ta książka jest dosyć ciężka.

– Kręci się wokół kogoś, kto tkwi w pokoju! Z czymś mi się to kojarzy.

Cathy się śmieje. Ale Della niezupełnie żartuje, więc Cathy korzysta z okazji. Zsuwa się z kanapy i wymachując rękami w stronę ścian, zaczyna biadolić:

– Czy Bennett i Robbie nie mogli znaleźć ci lepszego miejsca niż to tutaj?

– Pewnie mogli – odpowiada Della. – Ale mówią, że nie mogą. Robbie ma alimenty na głowie i musi płacić na dziecko. A jeśli chodzi o Bennetta, ta Joanne prawdopodobnie nie chce, żeby wydawał na mnie jakieś pieniądze. Nigdy mnie nie lubiła.

Cathy wsuwa głowę do łazienki. Nie jest tak źle, jak się obawiała; nie jest brudno, nie widzi też niczego żenującego. Ale gumowana zasłona prysznicowa kojarzy jej się z wyposażeniem domu wariatów. Z czymś takim można poradzić sobie od razu.

– Mam pomysł. – Cathy odwraca się z powrotem do Delli. – Wzięłaś ze sobą rodzinne zdjęcia?

– No pewnie. Powiedziałem Bennettowi, że nigdzie nie ruszam się bez moich albumów z fotografiami. Kazał mi, co prawda, zostawić wszystkie porządne meble, żeby łatwiej było sprzedać dom. Ale wiesz co? Do tej pory nikt się nim nie zainteresował.

Jeśli Cathy słucha, nie daje tego po sobie poznać. Podchodzi do okna i szarpie do góry żaluzje.

– Na początek trochę tu rozjaśnimy. Powiesimy zdjęcia na ścianach. Niech choć trochę wygląda to na miejsce, w którym mieszkasz.

– To mi się podoba. Gdyby nie było tutaj tak żałośnie, chyba czułabym się lepiej w tym miejscu. Bo teraz mam wrażenie, jakby mnie więzili. – Della kręci głową. – A do tego jeszcze niektórzy ludzie bywają tu trochę nerwowi.

– Są zdenerwowani, co?

– Bardzo zdenerwowani – mówi Della, śmiejąc się. – Trzeba uważać, obok kogo siada się przy lunchu.

Po wyjściu Cathy Della spogląda z fotela na parking. W oddali gromadzą się chmury. Cathy powiedziała, że śnieżyca dotrze tu najwcześniej w poniedziałek, kiedy ona już odjedzie, ale Della, nieco zaniepokojona, sięga po pilota.

Kieruje go w stronę telewizora i naciska przycisk. Nic się nie dzieje.

– Ten nowy telewizor od Bennetta jest nic niewart – mówi, jakby ktoś, Cathy albo ktokolwiek inny, nadal tam był i jej słuchał. – Musisz najpierw

włączyć telewizor, a potem tę drugą skrzynkę na dole. Ale nawet gdy uda mi się uruchomić ten przeklęty telewizor, nigdy nie mogę znaleźć żadnego programu, który lubię.

Odkłada pilota w momencie, kiedy Cathy wychodzi z budynku, zmierzając do samochodu. Della śledzi jej kroki z zaniepokojeniem i fascynacją. Głównym powodem, dla którego starała się zniechęcić Cathy do wyjścia teraz, nie była pogoda. Rzecz w tym, że Della nie jest pewna, czy jest gotowa na tę wizytę. Od czasu upadku i pobytu w szpitalu nie czuje się zbyt dobrze. Trochę przymulona. Wypadki z Cathy, rzucenie się w wir działalności mogą przekraczać jej siły.

Z drugiej strony miło byłoby rozjaśnić to mieszkanie. Patrząc na ponure ściany, Della próbuje wyobrazić sobie, jak to będzie, kiedy zarozi się na nich od ukochanych, ważnych dla niej twarzy.

A potem przychodzą chwile, kiedy ma wrażenie, że nic się nie dzieje, w każdym razie nic w teraźniejszości. Takie okresy zdarzają się ostatnio Delli coraz częściej. Czasem szuka książki adresowej lub parzy sobie kawę i nieoczekiwanie powraca do świata ludzi i przedmiotów, o których od lat nie myślała. Te wspomnienia wytrącają ją z równowagi, i to nie dlatego, że niosą ze sobą coś nieprzyjemnego (choć często bywa i tak), ale dlatego, że ich sugestywność przyćmiewa codzienne życie Delli, powodując, że staje się wyblakłe jak stara, zbyt wiele razy prana bluzka. Ostatnio często powraca do niej wspomnienie składziku na węgiel, w którym w dzieciństwie musiała spać, po tym jak przeprowadzili się z Paducah do Detroit i odszedł od nich ojciec. Della, jej mama i brat mieszkali w pensjonacie. Mama i Glenn mieli normalne pokoje na piętrze, ale Della musiała mieszkać w piwnicy. Z domu nie dało się nawet dostać do jej pokoju. Trzeba było wyjść na podwórko na tyłach budynku i unieść klapę, która prowadziła do piwnicy. Gospodyni pobieliała pomieszczenie, wstawiła łóżko i dołożyła do tego kilka poduszek zrobionych z worków na mąkę. Ale Della nie dała się na to nabrać. Kłapa była metalowa i brakowało tam okien. W środku panowały egipskie ciemności. Och, jakże nienawidziłam schodzić do tego składu na węgiel każdego wieczoru. Jakbym schodziła prosto do krypty!

Ale nigdy się nie skarżyłam. Po prostu robiłam, co mi kazano.

Della miała w życiu tylko jedno miejsce, które należało wyłącznie do niej – mały domek w Contoocook. Oczywiście w jej wieku było z tym

mnóstwo kłopotów. Wspinanie się na wzgórze zimą lub szukanie kogoś, kto zrzuciłby śnieg z dachu, żeby ten się nie zawalił i żywcem jej nie pogrzebał. Może doktor Sutton, Bennett i Robbie mają rację. Może lepiej jej będzie tutaj, a nie tam.

Kiedy ponownie wygląda przez okno, samochodu Cathy nie widać. Della podnosi więc książkę, którą przyniosła jej przyjaciółka. Błękitne góry na okładce wciąż zbijają ją nieco z tropu. Ale tytuł jest ten sam: *Dwie stare kobiety: alaskijska opowieść o zdradzie, odwadze i przetrwaniu*. Otwiera książkę i przewraca kartki, zatrzymując się od czasu do czasu i podziwiając ilustracje.

A potem wraca do pierwszej strony. Skupia wzrok na słowach i śledzi je jedno po drugim na całej stronie. Jedno zdanie. Dwa. Następnie cały akapit. Tak dużo już zapomniała, odkąd ostatnio czytała tę książkę, że ta historia wydaje się nowa, choć jednak znana. Urzekająca. Ale ulgę przynosi jej przede wszystkim sama czynność, zapominanie się, zagłębianie i pogrążanie w życiu innych.

Podobnie jak wiele książek, które Della przeczytała przez te lata, to Cathy poleciła jej *Dwie stare kobiety*. Po odejściu z wydziału pielęgniarskiego Cathy zaczęła pracować w księgarni. W tym czasie ponownie wyszła za mąż i wraz z Clarkiem przeprowadzili się do starego wiejskiego domu, który następnie remontowała przez dziesięć lat.

Della zapoznała się z harmonogramem pracy Cathy i zaglądała do księgarni podczas jej zmian, zwłaszcza w czwartkowe wieczory, kiedy klientów było niewiele i Cathy miała czas porozmawiać.

I dlatego też Della wybrała właśnie czwartek, aby podzielić się z Cathy nowinami.

– Zaczynaj, słucham – powiedziała Cathy. Pchała wózek z książkami po księgarni i uzupełniała zawartość półek, a tymczasem Della siedziała w fotelu w dziale poezji. Cathy zaproponowała herbatę, ale Della odpowiedziała:

– Wolałabym raczej piwko.

Cathy znalazła jedną butelkę w lodówce na zapleczu, pozostałość po podpisywaniu książek. Było już po siódmej w kwietniowy wieczór i sklep był pusty.

Della zaczęła opowiadać Cathy o swoim mężu, o jego dziwnym zachowaniu. Powiedziała, że nie ma pojęcia, co w niego wstąpiło.

– Na przykład kilka tygodni temu Dick wstaje z łóżka w środku nocy. Zanim się zorientowałam, słyszę, jak cofa samochód na podjeździe. Pomyślałam sobie „Cóż, może to ta chwila. Może ma już dość i więcej go nie zobaczę”.

– Ale wrócił – powiedziała Cathy, kładąc książkę na półce.

– Tak. Jakąś godzinę później. Zeszłam po schodach i znalazłam go na dole. Na kolanach, na dywanie, a wokół te wszystkie porozkładane mapy drogowe.

Kiedy Della zapytała męża, co on, do diabła, wyprawia, Dick odparł, że szuka możliwości inwestycyjnych na Florydzie. Położonych przy plaży nieruchomości na nisko wycenianych terenach, do których można bezpośrednio dolecieć z dużych miast.

– Powiedziałam mu: „Mamy dość pieniędzy. Możesz po prostu przejść na emeryturę i będzie nam dobrze. Po co ci teraz takie ryzyko?”. I wiesz, co mi odpowiedział? Stwierdził: „W moim słowniku nie ma wyrazu emerytura”.

Cathy zniknęła w dziale samoobsługowym. Della była zbyt pochłonięta swoją historią, żeby wstać i pójść za nią. Przygnębiona zwiesiła głowę, wpatrując się w podłogę. W jej tonie pobrzmiwały zdumienie i oburzenie na pomysły, których potrafią uczepić się mężczyźni, szczególnie gdy się starzeją. Wyglądało to jak napad obłędu, tylko że mężowie brali to szaleństwo za nagłe olśnienie. „Właśnie wpadłem na pomysł!” – mawiał zawsze Dick. Mogli robić cokolwiek, jeść obiad, wybierać się do kina, ale kiedy natchnienie go natchnienie, stawał jak wryty i oznajmiał: „Hej, właśnie wpadłem na pomysł”. A potem stał nieruchomo, z podbródkiem wspartym na palcu, analizując, kalkulując.

Jego ostatni pomysł dotyczył ośrodka w pobliżu Parku Narodowego Everglades. Na zrobionej polaroidem fotografii, którą pokazał Delli, ośrodek wyglądał na uroczy, ale znajdujący się w opłakanym stanie pawilon myśliwski otoczony dębami wirginijskimi. Tym razem było jednak inaczej, Dick postanowił bowiem wdrożyć swój pomysł w życie. Nic nie mówiąc Delli, wziął pożyczkę pod hipotekę tej nieruchomości, a jako zaliczkę wpłacił część ich oszczędności emerytalnych.

– Jesteśmy teraz dumnymi właścicielami naszego własnego kurortu w Everglades na Florydzie! – oznajmił.

Choć Della mówiła o tym Cathy z żalem, sprawiało jej to też przyjemność. Obiema dłońmi ścisnęła butelkę piwa. W księgarni panowała cisza, na zewnątrz niebo było ciemne, okoliczne sklepy pozamykano już na noc. Czują, że to ich miejsce.

– I teraz jesteśmy skazani na ten cholerny stary kurort – stwierdziła Della. – Dick chce przerobić go na budynek z mieszkaniami własnościowymi. Żeby się tym zająć, jak mówi, musi przenieść się na Florydę. I jak zwykle chce mnie ciągnąć ze sobą.

Cathy pojawiła się ponownie, pchając wózek. Della oczekiwała, że na jej twarzy pojawi się współczucie, ale Cathy miała zaciśnięte usta.

– Więc się przeprowadzacie? – zapytała chłodno.

– Muszę. On mnie zmusza.

– Nikt cię nie zmusza.

Powiedziała to przemądrzałym tonem, jakiego ostatnio używała. Jakby przeczytała cały rozdział poradnika samodoskonalenia i w związku z tym mogła dzielić się psychologicznymi spostrzeżeniami oraz udzielać małżeńskich rad.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nikt mnie nie zmusza? Dick mnie zmusza.

– A co z twoją pracą?

– Będę musiała z niej zrezygnować. Nie chcę, lubię pracować. Ale...

– Ale jak zwykle ulegniesz.

Ta uwaga była nie tylko niegrzeczna, ale też niesprawiedliwa. Co Della, zdaniem Cathy, powinna zrobić? Rozwieść się z mężem po czterdziestu latach małżeństwa? Znaleźć sobie mieszkanie i zacząć umawiać się z nieznanymi mężczyznami, jak to robiła Cathy, kiedy się poznały?

– Chcesz rzucić pracę i wyjechać na Florydę, nie ma sprawy – powiedziała Cathy. – Ale ja mam pracę. I jeśli nie masz nic przeciwko temu, muszę zrobić tu kilka rzeczy przed zamknięciem.

Nigdy wcześniej się nie kłóciły. W następnych tygodniach, kiedy Della myślała, żeby zadzwonić do Cathy, za każdym razem dochodziła do wniosku, że wciąż jest zbyt rozgniewana. Bo niby kim była Cathy, żeby

mówić jej, jak ma wyglądać jej małżeństwo? Ona i Clark przez połowę życia skakali sobie do gardeł.

Miesiąc później, w chwili gdy Della pakowała ostatnie pudła dla firmy przeprowadzkowej, w jej domu pojawiła Cathy.

– Jesteś na mnie wściekła? – zapytała Cathy, kiedy Della otworzyła drzwi.

– Prawdę mówiąc, czasami można odnieść wrażenie, że pozjadałaś wszystkie rozumy.

To chyba było zbyt złośliwe, ponieważ Cathy wybuchnęła płaczem. Zgarbiła się i zaczęła żałośnie lamentować:

– Będzie mi cię brakowało, Dello!

Łzy spływały jej po twarzy. Rozłożyła ramiona, jakby chciała ją objąć. Delli nie podobała się pierwsza reakcja Cathy i nie była pewna, jak zareagować na drugą.

– Natychmiast przestań – powiedziała. – Przez ciebie też zaraz zacznę płakać.

Cathy tylko jeszcze bardziej się rozbeczała.

Zaniepokojona Della powiedziała:

– Nadal będziemy mogły rozmawiać przez telefon, Cathy. Pisać listy. I się odwiedzać. Możesz przyjechać do naszego „kurortu”. Pewnie jest tam pełno węży i aligatorów, ale będziesz mile widziana.

Cathy się nie roześmiała. Powiedziała przez łzy:

– Dick nie życzy sobie moich odwiedzin. Nienawidzi mnie.

– To nieprawda.

– W takim razie to ja go nienawidzę! Traktuje cię jak szmatę, Dello. Przepraszam, ale to prawda. A teraz przez niego rzucasz pracę i jedziesz na Florydę? I co masz tam niby robić?

– Dość już tego – powiedziała Della.

– Już dobrze, dobrze! Jestem po prostu taka zdenerwowana!

Ale Cathy powoli się uspokajała. Po chwili powiedziała:

– Coś ci przyniosłam. – Otworzyła torebkę. – Któregoś dnia przysłali to do księgarni. Z małego wydawnictwa na Alasce. Nie zamawialiśmy tej książki, ale kiedy zaczęłam ją czytać, nie mogłam się oderwać. Nie chcę ci zdradzać, o czym to jest, ale, jak by to powiedzieć... wydaje się naprawdę odpowiednia! Sama zobaczysz, kiedy ją przeczytasz. – Patrzyła Delli prosto

w oczy. – Czasami książki wkraczają w nasze życie nie bez powodu, Dello. To naprawdę niesamowite.

Della nigdy nie wiedziała, jak się zachować, kiedy Cathy zaczynała wciągać ją na pogranicze mistyki. Czasami twierdziła, że księżyc wpłynął na jej nastrój, i wówczas nadawała specjalne znaczenie prostym zbiegom okoliczności. Tego dnia Della podziękowała Cathy za książkę i udało jej się pohamować łzy, kiedy ostatecznie jednak uściśniły się na pożegnanie.

Na okładce książki widniał rysunek. Dwie Indianki siedzące w tipi. Cathy interesowała się tego typu rzeczami, ostatnio również opowieściami o rdzennych Amerykanach czy powstaniach niewolników na Haiti, historiami o duchach czy magicznych zdarzeniach. Della lubiła niektóre z nich bardziej niż inne.

Spakowała książkę do pudła z różnymi drobiazgami, które nie zostało jeszcze zamknięte i zaklejone taśmą.

A co stało się z nią potem? Wysłała pudło wraz z wszystkimi innymi na Florydę. Okazało się, że w jedynej sypialni ich pawilonu myśliwskiego nie ma miejsca na wszystkie rzeczy, więc musieli je złożyć w magazynie. Ośrodek zbankrutował rok później. Wkrótce Dick przeprowadził Dellę do Miami, a potem do Daytony i na koniec do Hilton Head, sam starając się rozwinąć kolejne przedsięwzięcia. Dopiero po jego śmierci, kiedy Della zmagала się z konsekwencjami upadłości, musiała otworzyć magazyn i wyprzedać meble. Przeglądając pudła, prawie dziesięć lat wcześniej wysłane na Florydę, otworzyła karton z różnościami, z którego wypadły *Dwie stare kobiety*.

Książka przywołuje starą legendę Atapasków, którą autorka, Velma Wallis, słyszała jako dorastająca dziewczynka. Opowieść przekazywano „z matki na córkę”; to historia dwóch starych kobiet o imionach Ch'idzigyaak i Sa', które podczas klęski głodu zostały pozostawione przez plemię własnemu losowi.

Pozostawione na pewną śmierć, mówiąc wprost. Bo taki był zwyczaj.

Tylko że te dwie stare kobiety nie umierają. Porzucone w lesie, zaczynają ze sobą rozmawiać. Czyż kiedyś nie wiedziały, jak się poluje, łowi ryby czy poszukuje żywności? I czy nie mogą tego zrobić znowu? I tak właśnie robią, na powrót uczą się wszystkiego, co umiały w młodości, polują, łowią

ryby w przerębli, a w pewnym momencie ukrywają się przed kanibalami, którzy przechodzą w okolicy. Robią przeróżne rzeczy.

Jeden z rysunków ukazywał dwie kobiety wędrujące przez alaskańską tundrę. W kurtkach z kapturem i butach z foki ciągną sanie, przy czym kobieta z przodu jest nieco mniej zgarbiona niż ta druga. Podpis brzmiał: „Nasze plemię wyruszyło na poszukiwanie pożywienia do kraju, o którym opowiadali nam dziadkowie, gdzieś daleko za górami. Nas natomiast uznano za niezdolne do marszu razem z nimi, ponieważ chodzimy o kiju i jesteśmy powolne”.

Pewne fragmenty się wyróżniały, na przykład ten, kiedy Ch'idzigyaak mówi: *„Wiem, nie masz wątpliwości, że przeżyjemy. Jesteś młodsza”*. *Mogła tylko uśmiechnąć się gorzko na tę uwagę, bo nie dawniej jak wczoraj obie uznano za zbyt stare, żeby żyć z młodymi.*

– To tak jak my dwie – powiedziała Della, kiedy wreszcie przeczytała książkę i zadzwoniła do Cathy. – Jedna młodsza, druga starsza, ale obie mają takie same kłopoty.

Na początku był to tylko żart. Zabawnie było porównywać ich własną sytuację, na przedmieściach Detroit i na wsi w stanie New Hampshire, z egzystencjalnym dramatem starych eskimoskich kobiet. Ale dało się też odczuć autentyczne podobieństwa. Della przeniosła się do Contoocook, żeby być bliżej Robbiego, ale dwa lata później Robbie przeprowadził się do Nowego Jorku, pozostawiając ją w lesie, zdaną wyłącznie na siebie. Zamknęto księgarnię Cathy. Zajęła się domową sprzedażą ciast własnego wypieku. Clark przeszedł na emeryturę i całe dni spędzał przed telewizorem, urzeczony pięknymi pogodynkami w wiadomościach. Piersiaste, w obcisłych, jaskrawo kolorowych sukienkach, chwiały się przed mapami pogodowymi, jakby naśladować fronty burzowe. Wszyscy czterej synowie Cathy wyjechali z Detroit. Mieszkali daleko, po drugiej stronie gór.

Della i Cathy szczególnie lubiły jedną ilustrację w książce. Ch'idzigyaak rzucała na niej toporkiem, a Sa' to obserwowała. Podpis brzmiał: „Jeśli zobaczymy wiewiórkę, może uda nam się ją upolować toporkami, jak w czasach, gdy byliśmy młode”.

To zdanie stało się ich mottem. Jeśli jedna z nich była przygnębiona albo musiała rozwiązać jakiś problem, druga dzwoniła i mówiła:

– To jest pora topora.

Znaczyło to: weź się w garść, nie rozczulaj się nad sobą.

Była to kolejna cecha, którą dzieliły z dwiema eskimoskimi kobietami. Plemię nie zostawiło Ch'idzigyaak i Sa' tylko dlatego, że były stare. Zrobiło to także dlatego, że ciągle narzekały. Stale biadoliły, coś to im nie dolega i coś je nie boli.

Mężowie często uważali, że żony za dużo narzekają. Ale to również było narzekanie. Męski sposób, żeby kobiety się zamknęły. Mimo to Della i Cathy zdawały sobie sprawę, że same były winne niektórym ze swoich zgryzot. Pozwalały, żeby wszystko się psuło, wpadały w ponury nastrój i się dąsały. Nawet jeśli ich mężowie pytali, czy coś się stało, nie chciały nic na ten temat powiedzieć. Zbyt dużą przyjemność sprawiało im uzalanie się nad swoim losem. Żeby odczuć ulgę, musiałyby przestać być sobą.

Co takiego było w narzekaniu, że tak dobrze się z tym czuły? Że ty i cierpiąca wraz z tobą osoba wychodzicie z wyczerpującej sesji, jakby z kąpieli w spa, odświeżeni i czując mrowienie w całym ciele?

Przez lata Della i Cathy zapominały na dłużej o *Dwóch starych kobietach*. I w pewnym momencie jedna z nich ponownie sięga po książkę, na powrót budzi się w niej entuzjazm i nakłania tę drugą, żeby znowu ją przeczytać. Książka nie jest powieścią detektywistyczną czy kryminalną, nie należy do gatunków, które pochłaniają. Jest raczej czymś w rodzaju podręcznika, jak żyć. Książka je inspiruje. Nie potrafią znieść tych kalumnii rzucanych przez ich snobistycznych synów. Ale teraz nie trzeba jej bronić. Sprzedano dwa miliony egzemplarzy! Rocznicowe wydanie! To chyba dostateczny dowód, że miały rację.

Gdy Cathy przyjeżdża następnego ranka do Wyndham Falls, czuje śnieg w powietrzu. Temperatura spadła i wokół panuje absolutna cisza, nie ma wiatru, wszystkie ptaki gdzieś się pochowały.

Jako dziewczyna, jeszcze mieszkając w stanie Michigan, uwielbiała takie chwile złowieszczej ciszy. Zwiastowały odwołanie lekcji, czas spędzony z matką w domu, budowę śnieżnych fortów na trawniku. Nawet teraz, w wieku siedemdziesięciu lat, podniecają ją wielkie burze. Ale obecnie w samym centrum jej oczekiwania mieści się mroczne pragnienie – chęć niemal samounicestwienia albo oczyszczenia. Czasami, kiedy rozmyśla

o zmianach klimatycznych, o świecie zmierzającym do kataklizmu, Cathy mówi sobie:

– Och, niech to się po prostu skończy. Zasługujemy na to. Pozamiatać wszystko i zacząć od nowa.

Della jest już ubrana i gotowa do wyjścia. Cathy chwali przyjaciółkę, że ładnie wygląda, ale nie może się powstrzymać, żeby nie dodać:

– Musisz powiedzieć fryzjerce, żeby nie używała tej odżywki, Dello. Masz zbyt cienkie włosy. Są przez nią zbyt przyлизane.

– Spróbuj tylko coś powiedzieć tej kobiecie – mówi Della, przesuwając balkonik po korytarzu. – Niczego nie słucha.

– W takim razie niech Bennett zabierze cię do salonu.

– Tak, pewnie. Marne szanse.

Kiedy wychodzą na zewnątrz, Cathy notuje w głowie, żeby wysłać e-mail do Bennetta. Pewnie nie zdaje sobie sprawy, że coś tak błahego jak zrobienie sobie fryzury podnosi kobietę na duchu.

Z balkonikiem Della porusza się powoli. Musi pokonać chodnik i zejść z krawężnika na parking. Cathy pomaga jej zająć miejsce pasażera w samochodzie, a następnie niesie balkonik wokół samochodu i wkłada do bagażnika. Musi się przez chwilę zastanowić, jak go złożyć i podnieść siedzisko.

Chwilę później są w drodze. Della, pochylona, uważnie lustruje drogę i udziela Cathy wskazówek.

– Widzę, że znasz już okolicę – mówi Cathy z aprobatą.

– Tak – odpowiada Della. – Może te tabletki jednak działają.

Cathy wolałaby rozejrzeć się za ramkami w jakimś przyjemniejszym miejscu, w Pottery Barn lub Crate and Barrel, ale Della kieruje ją do Goodwill w pobliskim przydrożnym centrum handlowym. Na parkingu Cathy wykonuje tę samą operację, ale tym razem w odwrotnej kolejności: rozkłada balkonik i niesie go dookoła samochodu, żeby Della mogła stanąć. Kiedy Della już rusza z miejsca, idzie przyzwoitym tempem.

Po wejściu do sklepu czują się jak za dawnych czasów. Przechodzą przez załaną fluorescencyjnym światłem przestrzeń z połyskującymi podłogami, wyteżając wzrok jak podczas zabawy w poszukiwanie skarbów. Na widok działu z wyrobami szklanymi Della mówi: „Zaraz, potrzebne mi są nowe ładne szklanki” i skręcają.

Ramy do obrazów znajdują się w tylnej części sklepu. W połowie drogi linoleum ustępuje miejsca nagiemu betonowi.

– Trzeba tu uważać na podłogę – mówi Della. – To taka trochę hop-hopka.

Cathy bierze ją pod ramię. Kiedy dochodzą do przejścia między regałami, mówi:

– Zostań tutaj, Dello. Ja się rozejrzę.

Jak to zwykle bywa z używanymi produktami, problem polega na znalezieniu dopasowanego zestawu.

Żadnego porządku. Cathy przegląda jedną ramkę po drugiej, każda jest w innym rozmiarze i stylu. Po chwili dostrzega zestaw pasujących do siebie prostych czarnych drewnianych ramek. Właśnie je wyciąga, kiedy za plecami słyszy jakiś dźwięk. Raczej nie krzyk, lecz coś innego. Po prostu głęboki wdech. Odwraca się i widzi Delle; na jej twarzy maluje się zdziwienie. Wychyliła się, żeby się czemuś przyjrzeć – Cathy nie wie, co chciała zobaczyć – i w tym momencie ręka ześlizgnęła się jej z uchwytu balkoniku.

Przed laty, kiedy Cathy i Dick mieli żaglówkę, Della o mało co się nie utopiła. Łódka była wówczas zacumowana, a Della poślizgnęła się, wchodząc na pokład, i wpadła w toń mrocznej zielonej wody przystani.

– Nigdy nie nauczyłam się pływać – opowiadała o tym Cathy. – Ale nie bałam się. Tam w dole panował taki spokój. Jakimś cudem udało mi się wydostać na powierzchnię. Dick wrzeszczał, przywołując portowego chłopaka, który w końcu przyszedł i mnie złapał.

Teraz twarz Delli wygląda tak, jak mogłaby wyglądać – wyobraża sobie Cathy – wówczas pod wodą. Della jest lekko zaskoczona. Pogodna. Jakby odpowiedzialność przejęły siły, nad którymi nie potrafi zapanować, więc nie ma sensu się opierać.

Tym razem jednak zdumienie nie potrafi jej ocalić. Della przewraca się na bok, na regały. Metalowa krawędź ze zgrzytliwym dźwiękiem zdziera skórę z jej ramienia, jakby to była krawiec do mięsa. Della uderza skronią w następną półkę. Cathy krzyczy. Szkło pęka.

Zatrzymują Delle w szpitalu na noc. Robią badanie rezonansem, żeby sprawdzić, czy nie ma krwotoku mózgowego, prześwietlają jej biodro,

nakładają na jej otarte ramię wilgotny bandaż z irchy, którego nie może zdejmować przez tydzień, bo dopiero wtedy jej go zdejmą i zobaczą, czy skóra się goi czy też nie. W jej wieku ma na to pięćdziesiąt procent szans.

Wszystko to relacjonuje im doktor Mehta, młoda kobieta, tak absurdalnie atrakcyjna, że mogłaby grać lekarkę w telewizyjnym serialu o lekarzach. Dwa sznury pereł wiją się wokół jej żłobkowanej niczym smukła kolumna szyi. Szara sukienka z dzianiny opada luźno na jej zmysłowo zaokrąglonej figurze. Jej jedyną wadą są patykowate łydki, ale maskuje je parą odważnych pończoch w rombowy wzór i doskonale dopasowanymi do sukienki szarymi butami na wysokim obcasie. Doktor Mehta reprezentuje sobą coś, na co Cathy nie jest przygotowana – młodsze pokolenie kobiet, przewyższające jej własną generację nie tylko w zakresie osiągnięć zawodowych, ale też w upiększaniu się, uważanym wcześniej za niezgodne z duchem epoki. Doktor Mehta ma również pierścionek zaręczynowy ze sporym brylantem. Prawdopodobnie wychodzi za innego lekarza, łącząc w ten sposób pokazne płace.

– A co, jeśli skóra się nie zagoi? – pyta Cathy.

– Wtedy będzie musiała dalej nosić bandaż.

– Na zawsze?

– Poczekajmy i zobaczymy, jak to będzie wyglądać za tydzień – mówi doktor Mehta.

Wszystko to trwało wiele godzin. Jest siódma wieczorem. Oprócz bandaża na ramieniu Della zaczyna też mieć siniak pod okiem.

O ósmej trzydzieści zapada decyzja, żeby zatrzymać Dellę na obserwację.

– Chce pani powiedzieć, że nie mogę wrócić do domu? – pyta Della doktor Mehtę. W jej głosie słychać rozpacz.

– Jeszcze nie teraz. Musimy mieć panią na oku.

Cathy postanawia zostać na noc w pokoju z Dellą. Zielona jak limonka kanapa rozkłada się do spania. Pielęgniarka obiecuje przynieść prześcieradło i koc.

Kiedy pojawiają się synowie Delli, Cathy jest w stołówce, uspokajając się przy czekoladowym puddingu.

Przed laty jej własny syn Mike namówił Cathy do obejrzenia filmu science fiction o zabójcach, którzy powracają na Ziemię z przyszłości. Typowy awanturniczy film pełen niedorzeczności, ale Mike, wówczas uczący się w college'u, twierdził, że akrobatyczne sceny walki były prześiąknięte głębokim filozoficznym znaczeniem. Kartezjańskim – takiego użył słowa.

Cathy nie miała takich skojarzeń. A jednak myśli właśnie o tym filmie, gdy do pomieszczenia wchodzi Bennett i Robbie. Ich blade twarze bez śladu uśmiechu i ciemne garnitury sprawiają, że wyglądają jednocześnie niepozornie i złowieszczo, jak agenci powszechnego spisku.

Skierowanego przeciw niej.

– To wszystko moja wina – mówi Cathy, gdy podchodzą do jej stolika. – Nie upilnowałam jej.

– Proszę się nie obwiniać – mówi Bennett. Jego słowa można odebrać jako wyraz uprzejmości, tyle że po chwili dodaje: – Jest stara. Przewraca się. To tylko część tego wszystkiego.

– To objaw ataksji – odzywa się Robbie.

Cathy nie jest ciekawa, co to takiego ataksja. Kolejna diagnoza.

– Doskonale radziła sobie do momentu, kiedy upadła – mówi. – Świetnie się razem czułyśmy. Ale na moment się odwróciłam... i bęc.

– Tu wiele nie trzeba – mówi Bennett. – Nie da się temu zapobiec.

– Lekarstwo, które bierze, ten cały Aricept – dodaje Robbie – to w zasadzie tylko leczenie paliatywne. Pozytywne skutki, jeśli w ogóle się pojawiają, słabną po roku czy dwóch.

– Pańska mama ma osiemdziesiąt osiem lat. Może dwa lata to tyle, ile potrzebuje.

Jej słowa wiszą w powietrzu, dopóki Bennett nie przerywa milczenia.

– Chyba że będzie dalej się przewracać. I lądować w szpitalu.

– Będziemy musieli ją przenieść – dodaje Robbie nieco głośniejszym, pełnym napięcia tonem. – W Wyndham nie jest bezpieczna. Potrzebuje lepszej opieki.

Robbie i Bennett nie są dziećmi Cathy. Są od nich starsi i nie tak atrakcyjni. Nic do nich nie czuje, ani matczynej serdeczności, ani miłości. A jednak przypominają jej o synach na sposób, w jaki raczej wolałaby o nich nie myśleć.

Żaden nie zaproponował, żeby Della z nim zamieszkała. Robbie za często podróżuje, jak sam mówi. W domu Bennetta jest za dużo schodów. Ale to nie ich egoizm najbardziej niepokoi Cathy. To kwestia tego, jak teraz przed nią stoją, przeniknięci racjonalnością, wręcz od niej napęczniali. Chcą rozwiązać ten problem szybko i ostatecznie, przy minimalnym wysiłku. Nie biorąc pod uwagę uczuć, przekonali samych siebie, że działają roztropnie, mimo że ich pragnienie rozwiązania sytuacji wynika wyłącznie z uczuć – głównie strachu, a także poczucia winy i irytacji.

A kim jest dla nich Cathy? Starą znajomą mamy. Tą, która pracowała w księgarni. Tą, przez którą się nawaliła.

Cathy odwraca się i rozgląda po stołówce, która wypełnia się schodzącym się na kolację personelem medycznym. Czuje zmęczenie.

– Dobrze – mówi. – Ale nie mówcie jej teraz. Poczekajmy.

Aparatura w nocy stuka i mruczy. Co jakiś czas w urządzeniach kontrolnych włącza się alarm, budząc Cathy. Za każdym razem pojawia się pielęgniarka, zawsze inna, która następnie naciska przycisk, żeby wszystko ucichło. Najwidoczniej alarm nic nie oznacza.

W pokoju jest lodowato. Wentylacja dmucha prosto na nią. Koc, który dostała, jest cienki jak ręcznik papierowy.

Pewna znajoma Cathy z Detroit, kobieta, która od trzydziestu lat regularnie chodzi do terapeuty, niedawno przekazała jej otrzymaną od niego radę. Nie przejmuj się tym, czego boisz się w nocy. O tej porze psychika jest najsłabsza, niezdolna do obrony. I choć ogarniające człowieka przygnębienie może wydawać się autentyczne, wcale tak nie musi być. To tylko zmęczenie umysłowe, które skrywa się pod maską spostrzeżenia.

Cathy przypomina sobie o tych słowach, kiedy leży na twardym materacu, nie mogąc zasnąć. Jej bezsilność i brak możliwości udzielenia pomocy Delli przepełniają ją nihilistycznymi myślami. Chłodna, wyraźna świadomość, że jest bezradna, boleśnie raniąca w całej swej surowości. Nigdy się nie dowiedziała, jakim człowiekiem jest Clark. W jej małżeństwie brakuje bliskości. Gdyby Mike, John, Chris i Palmer nie byli jej dziećmi, nie chciałyby ich znać. Spędziła życie, dbając o ludzi, którzy znikają jak księgarnia, gdzie pracowała.

Wreszcie nadchodzi sen. Kiedy Cathy cała zeszywniała budzi się następnego ranka, z ulgą zauważa, że terapeuta się nie mylił. Słońce wstało, a wszechświat nie jest tak ponury. Ale trochę ciemności musi pozostać. Ponieważ podjęła decyzję. Ten pomysł w niej płonie. Nie jest ani miły, ani życzliwy. Nie zna tego uczucia i nawet nie wie, jak je nazwać.

Cathy siedzi obok łóżka Delli, kiedy przyjaciółka otwiera oczy. Nie wspomina o domu opieki. Mówi tylko:

– Dzień dobry, Dello. Hej, zgadnij, jaką mamy porę? – Della mruga, wciąż półprzytomna po śnie. A sama Cathy odpowiada: – Nadeszła pora topora.

Kiedy przekraczają granice stanu Massachusetts, zaczyna padać śnieg. Znajdują się około dwóch godzin jazdy od Contoocook, GPS służy im za światło przewodnie podczas tej nagłej utraty widoczności.

Clark zobaczy to na kanale meteo. Zadzwonili lub napisze SMS-a, zaniepokojony, że mogą odwołać jej lot.

Biedny facet, nic nie wie.

Teraz, gdy jadą samochodem, z włączonymi wycieraczkami i odmrażaniem przedniej szyby, wydaje się, że Della niezupełnie rozumie sytuację. Ciągłe zadaje Cathy te same pytania.

– No to jak dostaniemy się do domu?

– Mówiłaś, że Gertie ma klucz.

– Och, tak. Zapomniałam. Czyli możemy wziąć klucz od Gertie i wejść do domu. Będzie tam zimno jak diabli. Utrzymujemy tam temperaturę około dziesięciu stopni, żeby zaoszczędzić na oleju. Grzejemy tylko na tyle, żeby rury nie zamarzły.

– Zagrzejemy tam, kiedy dojedziemy.

– A potem tam zostanę?

– Obie zostaniemy. Dopóki wszystkiego nie załatwimy. Możemy zorganizować domową pomoc medyczną. I posiłki rozwożone po domach.

– To może być drogie.

– Niekoniecznie. Sprawdzimy to.

Powtarzanie tych informacji powoduje, że Cathy zaczyna w to wierzyć. Jutro zadzwoni do Clarka i powie mu, że zostanie z Dellą przez miesiąc,

może dłużej, może krócej. Nie spodoba mu się to, ale da sobie z tym radę. Jakoś go przekona.

Większy problem będzie z Bennettem i Robbiem. Już teraz ma w telefonie trzy wiadomości od Bennetta i jedną od Robbiego, a do tego wiadomości głosowe, w których dopytują, gdzie są ona i Della.

Okazało się, że wyprowadzić Dellę ze szpitala jest nadspodziewanie łatwo. Na szczęście odłączono jej kroplówkę dożylną. Cathy po prostu poprowadziła ją korytarzem, jakby ćwiczyły, a potem skierowały się do windy. Przez całą drogę do samochodu spodziewała się, że zaraz rozlegnie się alarm, przybiegną ochroniarze. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Śnieg klei się do drzew, ale autostrada jest jeszcze czysta. Cathy zjeżdża na lewy pas, gdy ruch staje się mniejszy. Przekracza dozwoloną prędkość, tak bardzo jej zależy, żeby przed zmrokiem dotrzeć do celu.

– Bennettowi i Robbiemu to się nie spodoba – mówi Della, spoglądając na wirujący śnieg. – Uważają, że jestem za głupia, żeby mieszkać sama. I prawdopodobnie mają rację.

– Nie będziesz sama – mówi Cathy. – Zostanę z tobą, dopóki wszystkiego nie załatwimy.

– Nie wiem, czy demencja to coś, co można załatwić.

Tak po prostu: choroba nazwana i rozpoznana. Cathy zerka na Dellę, chcąc sprawdzić, czy zdaje sobie sprawę z tej zmiany, ale na twarzy przyjaciółki widać jedynie rezygnację.

Gdy dojeżdżają do Contoocook, okazuje się, że śnieg jest bardzo głęboki, i obawiają się, że nie podjadą pod dom. Cathy z dużą prędkością wjeżdża na stromy podjazd i chociaż wpada w lekki poślizg, dodaje gazu i dociera na szczyt. Della wiwatuje. Ich powrót zaczyna się triumfalnie.

– Zakupy będziemy musiały zrobić jutro – mówi Cathy. – Za bardzo pada, żeby teraz iść.

Ale następnego ranka śnieg nadal pada. I tak przez cały dzień, a tymczasem poczta głosowa Cathy zapełnia się kolejnymi wiadomościami od Robbiego i Bennetta. Nie ma odwagi na nie odpowiadać.

Kiedyś, na początku swojej przyjaźni z Dellą, Cathy zapomniała zostawić Clarkowi w lodówce kolację do odgrzania. Kiedy wróciła tamtego wieczoru do domu, natychmiast na nią naskoczył.

– Co się z wami obiera dzieje? – zapytał Clark. – Na Boga. Jak dwie lesby.

Nie o to chodziło. To nie był nagły przypływ zakazanego pożądania. To tylko rodzaj rekompensaty za te przereklamowane obszary życia, które nie dały im oczekiwanego zadowolenia. Małżeństwo, na pewno. Macierzyństwo, częściej, niż gotowe były się do tego przyznać.

Cathy czytała w gazetach o pewnej grupie kobiet, czymś w rodzaju ruchu starszych pań. Członkiniami są kobiety w średnim wieku i starsze, ubrane jak spod igły i noszące wyszukane kapelusze w jaskrawym kolorze – różowym lub fioletowym, nie pamięta dokładnie, w jakim. Właśnie z tych kapeluszy są znane; wpadają do restauracji i wypełniają całe sale. Mężczyźni mają zakaz wstępu. Kobiety ubierają się tylko dla siebie nawzajem, czort z wszystkimi innymi. Cathy uważa, że to może być nawet zabawne. Kiedy zapytała o to Delle, ta mówi:

– Nie zamierzam się stroić i zakładać jakiegoś głupiego kapelusza tylko po to, aby zjeść kolację z ludźmi, z którymi pewnie nawet nie chcę rozmawiać. Poza tym nie mam już wyjściowych ubrań.

Cathy mogłaby wybrać się sama. Gdy już uporządkuje sprawy Delli. Gdy już wróci do Detroit.

Cathy znajduje w zamrażalniku kilka bajgli, które następnie rozmraża w kuchence mikrofalowej. Są też zamrożone obiady i mają kawę. Mogą pić czarną.

Della ma wciąż nieco pokiereszowaną twarz, ale pod innymi względami czuje się dobrze. Cieszy się, że już nie jest w szpitalu. Nie dało się tam spać – ciągły hałas i zamieszanie, przez cały czas ktoś przychodził, żeby cię zbadać albo zawieźć na jakieś badania.

Albo ciągle coś się działo, albo w ogóle nikt się nie pojawiał, żeby ci jakoś pomóc, nawet jeśli w kółko dzwoniłaś.

Wyjazd w śnieżycy wydawał się szalonym pomysłem, ale całe szczęście, że zrobiły to właśnie wtedy. Gdyby czekały do następnego dnia, pewnie nigdy nie dotarłyby do Contoocook. Wjazd na wzgórze był śliski już wówczas, gdy przyjechały. Śnieg pokrywał ścieżkę i tylne schody. Ale potem znalazły się w domu, włączyły ogrzewanie i w scenerii padającego jak konfetti za każdym oknem śniegu zrobiło się przytulnie.

W telewizji przybyli na teren stanu prezenterzy pogody informują o zamieci. Boston i Providence są odcięte od świata. Fale morskie wdarły

się na ląd i zamarzły na kamień, spowijając domy lodem.

Przez cały tydzień są zasypane śniegiem. Zasy py sięgają do połowy tylnych drzwi. Nawet gdyby udało im się dotrzeć do samochodu, nie udało by im się pokonać drogi w dół podjazdem. Cathy musiała zadzwonić do agencji i przedłużyć wypożyczenie samochodu, a Della ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Zaproponowała, że pokryje koszty, ale Cathy się na to nie zgadza.

Trzeciego dnia Cathy wstaje z kanapy i mówi:

– Tequila! Czy gdzieś tu nie mamy jakiejś butelki? – W szafce nad kuchenką znajduje butelkę tequili i drugą, na wpół pełną, z mieszanką składników do robienia margarity.

– Teraz na pewno przeżyjemy – mówi Cathy, wymachując butelką. Obie się śmieją.

Co wieczór około szóstej, tuż przed włączeniem prowadzonych przez Briana Williamsa wiadomości, przygotowują w mikserze mrożone margarity. Della zastanawia się, czy picie alkoholu jest dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę jej przypadłość. Z drugiej strony, czy ktoś może na nią naskarżyć?

– Na pewno nie ja – mówi Cathy. – Ja pomagam ci rozwijać umiejętności.

W niektóre dni znowu pada śnieg, powodując, że Della traci orientację w czasie. Wydaje się jej, że wciąż trwa zameć i że właśnie przyjechała ze szpitala.

Pewnego dnia patrzy na kalendarz i spostrzega, że jest luty. Minął miesiąc. W łazienkowym lustrze nie widzi już siniaka pod okiem, gdzieś w kątku pozostało tylko lekkie zażółcenie.

Codziennie Della czyta fragment książki. Ma wrażenie, że robi to mniej więcej poprawnie. Przebiega wzrokiem słowa, a te rozbrzmiewają w jej głowie i wywołują obrazy. Opowieść jest tak zajmująca i wartka, jak ją pamięta. Czasami nie potrafi rozróżnić, czy czyta książkę ponownie, czy po prostu przypomina sobie fragmenty po tylokrotnej lekturze. Niemniej dochodzi do wniosku, że ta różnica nie ma większego znaczenia.

– Teraz to już naprawdę jesteśmy jak te dwie stare kobiety – mówi Della pewnego dnia do Cathy.

– Ala ja wciąż jestem tą młodszą. Nie zapominaj o tym.

– Zgadza się. Ty jesteś młoda stara, a ja jestem po prostu stara stara.

Nie muszą ani polować, ani poszukiwać jedzenia. Sąsiadka Delli, Gertie, była żona pastora, przychodzi ze swojego domu i przynosi im chleb, mleko i jaja z supermarketu. Lyle, który mieszka za Dellą, brnie przez zaśnieżone podwórze, aby dostarczyć im inne towary. Nadal mają prąd. To najważniejsze.

W pewnym momencie Lyle, którego dodatkowym zajęciem jest odśnieżanie w trakcie zimy, zabiera się do oczyszczenia podjazdu Delli, a potem Cathy już sama jeździ wypożyczonym samochodem na zakupy po artykuły spożywcze.

Ich dom zaczynają odwiedzać różni ludzie. Fizjoterapeuta, który ćwiczy z Dellą utrzymywanie równowagi i jest wobec niej bardzo wymagający. Dochodząca pielęgniarka, która robi jej podstawowe badania. Dziewczyna z okolicy, gotująca proste posiłki w te wieczory, kiedy Della nie korzysta z kuchenki mikrofalowej.

W tym czasie Cathy już tam nie ma. Zastąpił ją Bennett. Przyjeżdża w weekendy i zostaje jeszcze w niedzielę na noc, a potem wstaje wcześniej, żeby w poniedziałek dojechać do pracy. Kilka miesięcy później, kiedy Della dostaje zapalenia oskrzeli i budzi się, nie mogąc oddychać, a pogotowie ratunkowe ponownie zabiera ją do szpitala, pojawia się Robbie, który przyjeżdża z Nowego Jorku i zostaje na tydzień, dopóki matka nie poczuje się lepiej.

Czasami Robbie przyjeżdża z dziewczyną, kanadyjską panienką z Montrealu, żyjącą z hodowli psów. Della nie wypytuje o tę kobietę, choć zachowuje się wobec niej życzliwie. Prywatne życie Robbiego już ją nie obchodzi. Nie będzie tu już na tyle długo, żeby miało to jakieś znaczenie.

Od czasu do czasu sięga po *Dwie stare kobiety*, żeby przeczytać trochę więcej, ale wygląda na to, że nigdy nie przebrnie przez książkę do końca. To też nie ma znaczenia. Dobrze wie, jak się kończy. Dwie stare kobiety przetrwają ciężką zimę, a kiedy powraca ich plemię, wszyscy wciąż przymierają głodem, dwie kobiety uczą współplemieńców, czego same się nauczyły. I od tego czasu ci Indianie nigdy już nie porzucają starszych członków swego plemienia.

Della dużo czasu spędza sama w domu. Pomagający jej ludzie wyjechali tego dnia albo mają wolne, a Bennett jest zajęty. Znowu jest zima. Minęły dwa lata. Ma prawie dziewięćdziesiąt lat. Nie sprawia wrażenia głupszej,

a jeśli w ogóle, to tylko w bardzo niewielkim stopniu. Nie na tyle, żeby dało się to zauważyć.

Pewnego dnia znów pada śnieg. Stojącą przy oknie Dellę ogarnia pragnienie, by wyjść na zewnątrz i wejść w niego. Tak daleko, jak tylko zanosą ją jej stare nogi. Nie potrzebowałaby nawet balkoniku. Nie potrzebowałaby niczego. Patrząc na śnieg kłębiący się za szybą, Della ma wrażenie, że wpatruje się we własne myśli. W tym momencie takie właśnie są, bezustannie wirują, przenoszą się z miejsca na miejsce, po prostu jedna wielka oślepiająca ściana bieli w jej głowie. Wyjście w padający śnieg, zagubienie się w nim, nie będzie dla niej niczym nowym. To byłoby jak spotkanie tego, co na zewnątrz, z tym, co wewnątrz. Jedno łączy się z drugim. Wszystko białe. Po prostu wyjdź z domu. I idź dalej. Może spotkałaby tam kogoś, a może nie. Przyjaciela.

2017

Poczta lotnicza

Przez szpary między bambusami Mitchell obserwował Niemkę, współtowarzyszkę jego cierpień, po raz kolejny udającą się do wychodka. Wyszła na ganek swojej chaty, ręką osłaniając oczy – na dworze było piekielnie słonecznie – a tymczasem jej druga, somnambuliczna ręka szukała wiszącego na balustradzie ręcznika plażowego. Odnalazłszy go, owinęła nim, luźno, jedynie dla usprawiedliwienia, swoje niczym nieokryte ciało i, słaniając się, wyszła na słońce. Przeszła tuż obok chaty Mitchella. Widziana przez listwy sprawiała wrażenie, jakby miała skórę w niezdrowym kolorze rosołu. Była tylko w jednym klapku. Co kilka kroków musiała się zatrzymać, żeby na chwilę podnieść nagą stopę z prażącego piasku. Stojąc jak flaming, odpoczywała, ciężko dysząc. Wyglądała, jakby zaraz miała się przewrócić. Ale tego nie zrobiła. Przeszła przez piasek i dotarła do skraju skarłowaciałej dżungli. Kiedy znalazła się przed wychodkiem, otworzyła drzwi i zajrzała w panujące wewnątrz ciemności. A potem mu się powierzyła.

Mitchell opuścił z powrotem głowę na podłogę. Leżał na słomkowej macie, za poduszkę służył mu strój kąpielowy w szkocką kratę marki L.L. Bean. W chacie było chłodno, a on sam nie chciał wstawać. Niestety, żołądek mu szalał. Przez całą noc w jego wnętrznościach panował spokój, ale tego ranka Larry namówił go do zjedzenia jajka i teraz ameby miały się czym żywić.

– Mówiłem ci, że nie chcę jajka – powiedział, przypominając sobie w tym momencie, że Larry’ego nie ma w chacie. Był gdzieś na plaży, imprezując z Australijczykami.

Nie chcąc się złościć, Mitchell zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Już po kilku zaczęło się dzwonienie. Słuchał, wciągając i wypuszczając powietrze, starając się nie zwracać uwagi na nic innego. Kiedy dzwonienie stało się głośniejsze, uniósł się na łokciu i poszukał listu, który pisał do rodziców. Najnowszego listu. Znalazł go w Liście do Efezjan, w kieszonkowym wydaniu Nowego Testamentu. Papier listowy składający się w gotowy list lotniczy pokrywało już odręczne pismo. Nie zawracając

sobie głowy czytaniem tego, co wcześniej napisał, chwycił sterczące w gotowości między bambusami pióro kulkowe i zaczął:

Pamiętacie mojego dawnego nauczyciela języka angielskiego, pana Dudara? Kiedy byłem w dziesiątej klasie, zachorował na raka przełyku. Okazało się, że był członkiem Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki, o czym nigdy nie wiedzieliśmy. Nie zgodził się nawet na chemioterapię. I wiecie, co się stało? Absolutna i całkowita remisja choroby.

Błaznane drzwi wychodka szczęknięły przy zamykaniu i Niemka znowu wyszła na słońce. Na jej ręczniku pojawiła się mokra plama. Mitchell odłożył list i doczołgał się do drzwi swojej chaty. Gdy tylko wysunął z niej głowę, poczuł upał. Niebo miało kolor jak z pamiątkowej kartki pocztowej, niebieski jak po zastosowaniu filtra, a ocean był o jeden ton ciemniejszy. Biały piasek działał jak odbłyśnik do opalania. Mitchell zmrużył oczy na widok kuśtykającej w jego stronę sylwetki.

– Jak się czujesz?

Niemka odpowiedziała, dopiero gdy dotarła do pasa cienia między chatami. Podniosła stopę i skrzywiła się na jej widok.

– Kiedy tam idę, leci tylko brunatna woda.

– To przejdzie. Musisz tylko pościć.

– Już od trzech dni poszczę.

– Musisz zagłodzić ameby.

– *Ja*, ale boję się, że najpierw to ameby zagłodzą mnie.

Jeśli nie liczyć ręcznika, była naga, ale naga jak ktoś chory. Mitchell nic nie poczuł. Pomachała mu i zaczęła odchodzić.

Kiedy już zniknęła, wczołgał się z powrotem do chaty i ponownie położył na macie. Wziął pióro i napisał: *Mahatma Gandhi zwykł spać z młodymi dalszymi kuzynkami, po jednej z każdej strony, żeby wystawić na próbę swoje śluby czystości – a to znaczy, że święci są zawsze fanatykami.*

Położył głowę na kostiumie kąpielowym i zamknął oczy. Po chwili znowu rozległo się dzwonięcie.

Jakiś czas później przerwało je drżenie podłogi. Bambusy podskakiwały pod głową Mitchella, więc usiadł. Twarz jego towarzysza wisiała w drzwiach jak najjaśniejszy księżyc w pełni. Larry miał na sobie birmańskie lungi i indyjską jedwabną chustę. Jego klatka piersiowa,

bardziej owłosiona, niż można by się spodziewać u tak małego faceta, była naga i tak różowa od opalenizny jak jego twarz. Teatralnie przerzucił przez jedno ramię poprzetykaną metalicznymi złotymi i srebrnymi nićmi chustę. Paląc azjatyckiego papierosa bidi, na wpół pochylony, patrzył na Mitchella.

– Jak tam biegunka? – zapytał.

– Czuję się dobrze.

– Czujesz się dobrze?

– Jak najbardziej.

Larry wyglądał na rozczerowanego. Zmarszczył różowawe, spalone słońcem czoło. Uniósł szklaną buteleczkę.

– Przyniosłem ci tabletki. Na te gówna.

– Tabletki zatykają człowieka – odrzekł Mitchell. – A wtedy ameby pozostają w środku.

– Dostałem je od Gwendolyn. Powinieneś spróbować. Głodówka dałaby już efekty. Ile to trwa? Prawie tydzień?

– W trakcie postu nie karmi się na siłę jajkami.

– Jednym jajkiem – odparł Larry, zbywając jego uwagę machnięciem ręki.

– Czułem się dobrze, zanim zjadłem to jajko. Teraz boli mnie brzuch.

– Przed chwilą chyba mówiłeś, że czujesz się dobrze.

– Tak, dobrze – powiedział Mitchell, a jego żołądek wybuchł. Poczuł serię eksplozji w dolnej części brzucha, po czym rozluźnienie, jakby spuszczano wodę; a potem w jelitach pojawił się dobrze mu znany uporczywy ucisk. Odwrócił głowę, zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać.

Larry zaciągnął się jeszcze kilka razy bidi i powiedział:

– Moim zdaniem nie wyglądasz zbyt dobrze.

– A ty – odrzekł Mitchell, nie otwierając oczu – jesteś nawalony.

– Bezdyskusyjnie – brzmiała odpowiedź Larry'ego. – A właśnie, coś mi się przypomniało. Skończyły nam się bibułki. – Przekroczył leżącego Mitchella, rozłożone listy lotnicze, ukończone i niedokończone, oraz mały Nowy Testament, przechodząc do swojej połówki chaty. Przykucnął i zaczął przeszukiwać jutową torbę we wszystkich kolorach tęczy. Jak dotąd nie zdarzyło się ani razu, żeby podczas kontroli celnej drobiazgowo jej nie przeszukano. To była torba, która wołała: „Zawieram narkotyki”. Larry znalazł fajeczkę do haszu, wyjął kamień i wytrząsnął popiół.

– Nie rób tego na podłodze.

– Uspokój się. Przelatuje na drugą stronę. – Potarł palcami po bambusie. – Widzisz? Czyściutko.

Włożył fajkę do ust i przedmuchał ją, żeby sprawdzić, czy jest czysta. Robiąc to, spojrzał w bok na Mitchella.

– Jak sądzisz, będziesz mógł wkrótce podróżować?

– Chyba tak.

– Bo chyba powinniśmy wracać do Bangkoku. To znaczy, na koniec. Pojechalbym na Bali. Wybrałbyś się?

– Jak tylko będę mógł wybierać – powiedział Mitchell.

Larry skinął głową, jeden raz, jakby to go usatysfakcjonowało. Wyjął fajkę z ust i na powrót włożył bidi. Podniósł się, garbiąc pod dachem, i zaczął wpatrywać się w podłogę.

– Łódź pocztowa przy pływa jutro.

– Co?

– Łódź pocztowa. Po twoje listy. – Larry szturchnął kilka stopą. – Chcesz, żebym ci je wysłał? Trzeba z tym iść na plażę.

– Sam to zrobię. Jutro już wstanę.

Larry uniósł brew, ale nic nie powiedział. Ruszył do drzwi.

– Zostawię te tabletki, gdybyś zmienił zdanie.

Kiedy tylko wyszedł, Mitchell wstał. Nie można już było dłużej tego odkładać. Zawiązał lungi i wyszedł na ganek, zakrywając oczy. Szurając stopami, poszukał kłapek. Zdawał sobie sprawę, że gdzieś dalej są plaża i szemrzące fale. Zszedł po schodach i zaczął iść. Nie podnosił wzroku. Widział tylko stopy i przesuwający się piasek. Nadal widać było ślady stóp Niemki, a także śmieci, porozrywane opakowania Nescafé lub zwinięte w kulkę papierowe serwetki, które wywiało z namiotu kucharza. Czuł zapach grillowanej ryby. Nie poczuł jednak głodu.

Za wychodek służyła szopa z blachy falistej. Na zewnątrz stały wypełniona wodą zardzewiała beczka po ropie i małe plastikowe wiadro. Mitchell je napełnił i zabrał do środka. Przed zamknięciem drzwi, kiedy jeszcze było coś widać, ustawił stopy na platformie po obu stronach otworu. Następnie zatrzaskał drzwi i zrobiło się zupełnie ciemno. Rozwiązał lungi i je podciągnął, owijając sobie tkaninę wokół szyi. Korzystając z azjatyckich toalet, stał się zwinniejszy: potrafił kucać przez dziesięć minut

bez zmęczenia. A jeśli chodzi o zapach – już go prawie nie zauważał. Trzymał zamknięte drzwi, żeby nikt mu nie przeszkodził.

Wciąż zdumiewała go sama objętość cieczy, ale zawsze odczuwał ulgę. Wyobrażał sobie ameby porywane gwałtownym prądem, kłębiące się i spływające w dół jego kanalizacji i wypływające z jego ciała. Czerwonka sprawiła, że poczuł jakąś bliskość z własnymi wnętrznościami; wyraźnie czuł żołądek, jelito grube, gładkie, umięśnione rury, które się na niego składają. Rewolucja rozpoczęła się wysoko w jelitach. Potem przemieszczała się w dół, jak jajko połknięte przez węża, powiększając i rozciągając tkankę aż do momentu, kiedy w towarzystwie kolejnych drgawek dotarła do końca, a on sam eksplodował do wody.

Chorował nie od tygodnia, tylko od trzynastu dni. Początkowo nic Larry’emu nie mówił. Pewnego ranka w pensjonacie w Bangkoku Mitchell obudził się z rozstrojem żołądka. Kiedy jednak się podniósł i wyszedł spod moskitiery, poczuł się lepiej. Ale potem, tego samego dnia wieczorem po kolacji poczuł stukanie, jak gdyby palce bębniły mu w brzuchu. Następnego ranka zaczęła się biegunka. W sumie nic wielkiego. Miał już coś takiego wcześniej w Indiach, ale po kilku dniach mu przeszło. Tym razem jednak nie przeszło. Tylko się pogarszało, zmuszając go do wizyt w ubikacji kilka razy po każdym posiłku. Wkrótce zaczął odczuwać zmęczenie. Kręciło mu się w głowie, kiedy wstawał. Paliło go w żołądku po jedzeniu. Ale dalej podróżował. Nie sądził, że to coś poważnego. On i Larry pojechali z Bangkoku autobusem na wybrzeże, a potem promem na wyspę. Perkocząca łódź dopłynęła do małej zatoczki i wyłączyła silnik na płytkiej wodzie. Musieli brodzić do brzegu. I właśnie to – ten skok do wody – coś potwierdziło. Chlupotanie morza imitowało chlupotanie w żołądku Mitchella. Gdy tylko się zadowili, Mitchell zaczął pościć. Od tygodnia nie przyjmował niczego poza czarną herbatą, opuszczając chatę tylko wtedy, kiedy szedł do wychodka. Wychodząc pewnego dnia, napotkał Niemkę i przekonał ją, żeby też zaczęła pościć. Przez cały pozostały czas leżał na macie, rozmyślając i pisząc listy do domu.

Pozdrowienia z raju. Razem z Larrym mieszkamy obecnie na tropikalnej wyspie w Zatoce Tajlandzkiej (możecie sprawdzić w atlasie świata). Mamy własną chatę na samej plaży i płacimy za nią zawrotną kwotę pięciu

dolarów za noc. Ta wyspa jeszcze nie została odkryta przez turystów, więc prawie nikogo tu nie ma.

Dalej opisywał wyspę (a przynajmniej tyle, ile mógł dostrzec między bambusami), ale szybko powrócił do ważniejszych kwestii.

Religia Wschodu uczy, że cała materia jest złudzeniem. Według Buddy obejmuje to wszystko: nasz dom, wszystkie garnitury taty, nawet wiszące doniczki mamy – wszystko to maja. Dotyczy to oczywiście również ciała. Zdecydowałem się wybrać na ten wielki objazd świata również dlatego, że nasz punkt widzenia w Detroit wydał mi się dosyć ograniczony. I okazuje się, że zacząłem wierzyć w kilka rzeczy. A także je sprawdzać. Między innymi to, że za pomocą umysłu możemy kontrolować nasze ciało. W Tybecie żyją mnisi, którzy za pomocą myśli potrafią sterować własną fizjologią. Grają w grę zwaną „roztapianie śnieżki”. Wkładają śnieżkę do ręki, a następnie, medytując, przesyłają całe wewnętrzne ciepło do tej ręki. Wygrywa ten, kto najszybciej roztopi śnieżkę.

Od czasu do czasu przerywał pisanie i siedział z zamkniętymi oczami, jakby czekając na natchnienie. I dokładnie tak samo siedział dwa miesiące wcześniej – z zamkniętymi oczami, wyprostowanym kręgosłupem, z uniesioną głową i na swój sposób czujnym nosem – kiedy zaczęło się to dzwonienie. Doszło do tego w jasnozielonym indyjskim pokoju hotelowym w Mahabalipuram. Mitchell siedział na łóżku w pozycji półłotosu. Jego sztywne lewe kolano człowieka Zachodu sterczało mocno w górę. Larry’ego nie było, włączył się po mieście. Mitchell był zupełnie sam. Nawet nie czekał, aż wydarzy się coś wyjątkowego. Po prostu siedział tam, próbując medytować i błądząc myślami. Myślał na przykład o swojej dawnej dziewczynie, Christine Woodhouse, i jej zdumiewających rudych włosach łonowych, których nigdy już nie zobaczy. Myślał o jedzeniu. Miał nadzieję, że w tym mieście mają coś innego niż *idli sambar*, duszone warzywa z soczewicą z ryżowym ciastkiem. Raz na jakiś czas, uzmysławiając sobie, jak daleko wędruje myślami, próbował skoncentrować się na oddechu. I nagle, gdzieś pośród tego wszystkiego, kiedy najmniej się tego spodziewał, kiedy przestał nawet pragnąć albo oczekiwać, że coś się wydarzy (czyli dokładnie wtedy, jak twierdzili wszyscy mistycy, kiedy miało się to zdarzyć), zaczęło mu dzwonić w uszach. Bardzo cicho. To dzwonienie nie było dla niego czymś całkiem nowym. W rzeczywistości znał je i rozpoznawał. Pamiętał, jak jeszcze

będąc dzieckiem, stał pewnego dnia w ogródku przed domem i nagle rozbrzmiało mu w uszach, więc zapytał starszych braci: „Słyszycie to dzwonięcie?”. Powiedzieli, że nic nie słyszą, ale wiedzieli, o czym mówił. Po prawie dwudziestu latach Mitchell usłyszał je ponownie w jasnozielonym pokoju hotelowym. Pomyślał, że może to coś, co uważano za kosmiczne OM. Albo muzykę sfer. Po tym zdarzeniu starał się to usłyszeć. Dokądkolwiek się udawał, nasłuchiwał dzwonięcia i po pewnym czasie nabrał niezłej wprawy w rozpoznawaniu tego dźwięku. Usłyszał go na Sudder Street w Kalkucie, pośród trąbiących taksówek i uliczników wołających o bakszysz. Usłyszał w pociągu do Chiang Mai. Był to dźwięk uniwersalnej energii, wszystkich łączących się ze sobą i tworzących barwy przed jego oczami atomów. Był tam przez cały czas. A Mitchell musiał jedynie się obudzić i słuchać.

Pisał listy do domu – początkowo z wahaniem, a potem z rosnącą pewnością siebie – o tym, co się z nim dzieje. *Istnieje możliwość apercepcji przepływu energii wszechświata. My wszyscy, każdy z nas, jesteśmy precyzyjnie dostrojonymi radioodbiornikami. Po prostu musimy odkurzyć nasze lampy elektronowe.* Wysyłał do rodziców kilka listów tygodniowo. Wysyłał też listy do braci. I do przyjaciół. Spisywał wszystko, co przychodziło mu do głowy. Nie obchodziło go, co ludzie będą sobie myśleć. Ogarnęła go potrzeba przeanalizowania swoich wrażeń, opisanie tego, co zobaczył i odczuwał. *Kochani Rodzice, dziś po południu oglądałem kremację kobiety. Można rozpoznać, czy to kobieta, po kolorze całunu. A jej był czerwony. Spłonął jako pierwszy. Kiedy to obserwowałem, jej jelita wypełniły się gorącym gazem, jak jakiś ogromny wielki balon. Robiły się coraz większe, aż w końcu pękły z trzaskiem. Wtedy wylały się z niej płyny. Próbowałem znaleźć pocztówkę z czymś podobnym, żeby Wam ją wysłać, ale nie udało mi się.*

Albo: Drogi Petie, czy pomyślałeś kiedyś, że ten świat, kręcący się wokół środków do usuwania woskowiny i wstydlivej grzybicy pachwin, może mieć zupełnie inny sens? Bo mnie czasami tak się wydaje. Blake wierzył w anielską recytację. Ale kto to może wiedzieć? Jego wiersze są tego potwierdzeniem. Ale czasami w nocy, kiedy księżyc roztacza swoją bladość, przysiągłbym, że czuję trzepot skrzydeł na trzydniowym zaroście pokrywającym mi policzki.

Mitchell zadzwonił do domu tylko raz, z Kalkuty. Połączenie było marne. Zarówno Mitchell, jak i jego rodzice po raz pierwszy doświadczyli transatlantyckiego opóźnienia. Telefon odebrał ojciec. Mitchell przywitał się, nic nie słysząc, dopóki w jego uszach echem nie odbiła się ostatnia sylaba powitania. Potem rejestr zakłóceń się zmienił i dotarł do niego głos ojca. Pokonawszy ponad połowę globu, częściowo utracił właściwą sobie siłę.

– Posłuchaj, twoja matka i ja chcemy, żebyś wsiadł do samolotu i wrócił do domu.

– Dopiero co dotarłem do Indii.

– Nie ma cię od sześciu miesięcy. To dostatecznie długo. Nie obchodzi nas, ile to będzie kosztować. Skorzystaj z karty kredytowej, którą ci daliśmy, i kup sobie bilet powrotny do domu.

– Będę w domu za jakieś dwa miesiące.

– Co ty tam, do diabła, robisz? – Ojciec krzyczał z całych sił w kierunku satelity. – Co to miało znaczyć, to o martwych ciałach w Gangesie? Jeszcze zarazisz się jakąś chorobą.

– Nie, nic mi nie będzie. Czuję się dobrze.

– Ale twoja matka nie czuje się dobrze. Zamartwia się na śmierć.

– Tato, jak dotąd to najlepsza część podróży. Europa była wspaniała, bez dwóch zdań, ale to wciąż Zachód.

– A co ci się nie podoba w Zachodzie?

– Nic. Tylko że odejście od własnej kultury jest bardziej ekscytujące.

– Porozmawiaj sobie z matką – stwierdził ojciec.

Po chwili w telefonie usłyszał głos, niemal lament, matki.

– Mitchell, wszystko w porządku?

– Tak, w porządku.

– Martwimy się o ciebie.

– Nie martwcie się. U mnie wszystko w porządku.

– Z twoich listów wcale tak nie wynika. Co się z tobą dzieje?

Mitchell zastanawiał się, czy może jej to powiedzieć. Ale nie dało się tego powiedzieć. Nie można powiedzieć: „Znalazłem prawdę”. Ludzie tego nie lubią.

– Pisziesz, jakbyś był jednym z tych Hare Krysna.

– Jeszcze do nich nie dołączyłem, mamó. Jak na razie tylko ogoliłem sobie głowę.

– Ogolileś głowę, Mitchell!

– Nie – odpowiedział; mimo że naprawdę ogolił głowę.

W tym momencie w słuchawce z powrotem odezwał się ojciec. Teraz mówił oficjalnym tonem, ryndokowym językiem, jakiego Mitchell nigdy wcześniej nie słyszał.

– Posłuchaj, przestań pieprzyć się tam w Indiach i zabieraj dupę do domu. Sześć miesięcy to dość na podróżowanie. Daliśmy ci tę kartę kredytową na wypadek sytuacji kryzysowych i chcemy, żebyś... – I właśnie wtedy cudownym zrządzeniem opatrności połączenie się zerwało. Mitchell został ze słuchawką w dłoni, ze stojącą za nim całą kolejką oczekujących Bengalczyków. Stwierdził, że ustąpi im miejsca. Odwiesił słuchawkę, doszedłszy do wniosku, że nie powinien dzwonić do domu. Najwyraźniej rodzice nie byli w stanie zrozumieć ani tego, przez co przechodził, ani tego, czego nauczyło go to cudowne miejsce. Powinien też złagodzić ton swoich listów. Od teraz będzie opisywał widoki.

Oczywiście nie zrobił tego. Nie minęło pięć dni, a już ponownie pisał do domu, opowiadając o nienaruszonym ciele świętego Franciszka Ksawerego i o tym, jak to przez czterysta lat obnoszono je po ulicach Goa, dopóki nadgorliwy pielgrzym nie odgryzł świętemu palca. Mitchell nie potrafił się powstrzymać od pisania. Skłaniało go do tego wszystko, co widział – fantastyczne figowce bengalskie, pomalowane krowy – a kiedy już zrelacjonował, co zobaczył, pisał, jaki wywarło to na niego wpływ, i prosto od kolorów świata widzialnego przechodził w ciemność i dzwonienie niewidzialnego. Kiedy zachorował, również napisał o tym do domu. *Droży Rodzice, chyba zachorowałem na czerwonkę pełzakową.* Następnie opisał objawy oraz środki, jakie stosowali inni podróżnicy. *Każdy prędzej czy później na to choruje. Zamierzam po prostu pościć i medytować, dopóki nie poczuję się lepiej. Trochę schudłem, ale nie za bardzo. Gdy tylko poczuję się lepiej, wybieramy się z Larrym na Bali.*

Pod jednym względem miał rację: prędzej czy później wszyscy na to chorują. Oprócz niemieckiej sąsiadki na dolegliwości żołądkowe na wyspie cierpiało jeszcze dwoje innych podróżnych. Jeden z nich, Francuz, powalony przez chorobę po zjedzeniu sałatki, skrył się w swojej chacie, gdzie jęczał i wzywał pomocy jak umierający cesarz. Ale właśnie wczoraj Mitchell zobaczył go, już zdrowego, jak wynurza się z płytkiej zatoki z papugorybą nabitą na końcu kuszy. Drugą ofiarą była Szwedka. Mitchell

ostatni raz widział ją, kiedy bezwładną i wycieńczoną niesiono ją na prom. Tajlandzcy przewoźnicy wciągnęli ją na pokład wraz z pustymi butelkami po napojach gazowanych i kanistrach po paliwie. Zdążyli już przywyknąć do widoku zmizerniałych obcokrajowców. Gdy tylko umieścili kobietę na pokładzie, zaczęli się uśmiechać i machać rękami. Następnie łódź ruszyła wstecz, zabierając kobietę do kliniki na kontynencie.

Mitchell wiedział, że gdyby i w jego przypadku do czegoś takiego doszło, zostanie ewakuowany. Nie spodziewał się jednak, żeby coś takiego miało się zdarzyć. Kiedy pozbył się jajka z organizmu, poczuł się lepiej. Ból w żołądku ustąpił. Cztery lub pięć razy dziennie Larry przynosił mu czarną herbatę. Był zdecydowany nie karmić ameb nawet jedną kroplą mleka. W przeciwieństwie do tego, czego mógł się spodziewać, jego siła psychiczna nie zmalała, a nawet wzrosła. *To wręcz niewiarygodne, ile energii pochłania trawienie. Post, zamiast być jakąś dziwną pokutą, w rzeczywistości jest bardzo rozsądną i naukową metodą uspokojenia ciała, wyłączania ciała. A kiedy ciało się wyłącza, włącza się umysł. W sanskrycie taki stan określa słowo „moksza”, oznaczające całkowite wyzwolenie od ciała.*

Dziwne, że leżąc tutaj, w tej chacie, bez wątplenia chory, Mitchell czuł się lepiej niż kiedykolwiek w życiu, tak spokojnie i tak cudownie. Czuł się bezpieczny i otoczony opieką w jakiś niewytłumaczalny sposób. Czuł się szczęśliwy. Zupełnie inaczej było jednak z Niemką. Wyglądała coraz gorzej. Już prawie się nie odzywała, kiedy się mijali. Jej skóra zrobiła się bledsza, bardziej pocętkowana. Po pewnym czasie Mitchell przestał zachęcać ją do głodówki. Leżąc na plecach, z kostiumem kąpielowym na oczach, nie zwracał uwagi na jej wyprawy do wychodka. Słuchał natomiast dźwięków wyspy, odgłosów ludzi kąpiących się i krzyczących na plaży, kogoś uczącego się kilka chat dalej gry na drewnianym flecie. Fale pluskały, raz na jakiś czas na ziemię spadał martwy liść palmowy lub kokos. Nocą w dżungli rozlegało się wycie dzikich psów. Idąc do wychodka, Mitchell słyszał, jak kręcą się dookoła, podchodzą i przez dziury w ścianach obwąchują go, przepływ jego odchodów. Większość ludzi waliła latarkami o blaszane drzwi, żeby odstraszyć zwierzęta. Mitchell nawet nie przynosił ze sobą latarki. Stał, słuchając zbierających się w gęstwinie psów. Spiczastymi pyskami rozsuwały łodygi i w świetle księżyca pojawiały się ich czerwone oczy. Mitchell poskramiał je pogodnym wzrokiem. Rozkładał

ramiona, gotów się im poddać, a kiedy nie atakowały, odwracał się i szedł z powrotem do chaty.

Pewnej nocy, wracając z wychodka, usłyszał słowa wymówione z australijskim akcentem: „Idzie nasz chory”. Podniósł wzrok i zobaczył, że na ganku siedzą Larry i jakaś starsza kobieta. Larry zwijał dżointa na przewodniku po Azji. Kobieta paliła papierosa i patrzyła prosto na Mitchella.

– Cześć, Mitchell, jestem Gwendolyn – powiedziała. – Słyszałam, że się rozchorowałeś.

– Trochę.

– Larry mówi, że nie brałeś tabletek, które mu dla ciebie dałam.

Mitchell nie od razu jej odpowiedział. Od rana z nikim nie rozmawiał. A raczej od kilku dni. Musiał na powrót się przystosować. Samotność sprawiła, że stał się bardziej wyczulony na objawy szorstkości innych ludzi. Na przykład wydawało mu się, że głośny, trącący whisky baryton Gwendolyn rozszarpuje mu klatkę piersiową. Jej nakrycie głowy z batiku wyglądało jak bandaż. Do tego miała mnóstwo plemiennej biżuterii, kości i muszelek, zawieszonych na szyi i zwisających z przegubów dłoni. Pośrodku tego wszystkiego widniała jej ściągnięta, nadmiernie opalona twarz z czerwonym punktem papierosa pośrodku, raz jaśniejszym, raz ciemniejszym. Larry jawił się tylko jako aureola blond włosów w świetle księżyca.

– Sama miałam kiedyś okropną sraczkę – ciągnęła Gwendolyn. – Coś niesamowitego. W Irianie Zachodnim. Te tabletki były dla mnie jak dar niebios.

Larry obliział jeszcze dżointa i go zapalił. Zaciągnął się, patrząc na Mitchella, po czym powiedział ściśniętym od dymu głosem:

– Jesteś tu, żebyś wziął lekarstwo.

– Zgadza się. Głodówka to bardzo dobry i skuteczny sposób, ale po... Ile to już trwa?

– Prawie dwa tygodnie.

– Po dwóch tygodniach trzeba dać sobie z tym spokój. – Sprawiała wrażenie surowej, ale kiedy po chwili trafił do niej dżoint, powiedziała: – Och, cudnie.

Zaciągnęła się, przytrzymała dym, uśmiechnęła się do nich obu, a następnie rozkaszała. Atak kaszlu trwał około trzydziestu sekund. Na

koniec łyknęła piwa, trzymając rękę przy piersiach. Potem wróciła do palenia.

Mitchell patrzył na wielki pas księżycowej poświaty na oceanie. Odezwał się ni z tego, ni z owego:

– Właśnie się rozwiodłaś. I dlatego wybrałaś się w tę podróż.

Gwendolyn zeszywniała.

– Prawie dobrze. Nie rozwiodłam się, ale jestem w separacji. Czy to takie oczywiste?

– Jesteś fryzjerką – powiedział Mitchell, wciąż spoglądając w morze.

– Nie powiedziałaś mi, że twój przyjaciel jest jasnowidzem, Larry.

– Pewnie mu o tym mówiłem. Mówiłem ci?

Mitchell nie odpowiedział.

– Cóż, panie Nostradamusie, ja też mam dla ciebie przepowiednię. Jeśli nie weźmiesz teraz tych tabletek, wywiozą cię stąd promem, gdy będziesz już bardzo chory. Chyba tego nie chcesz, prawda?

Mitchell po raz pierwszy spojrzał Gwendolyn w oczy. Zdumiała go ironia tej sytuacji: ta kobieta myślała, że jest chory. A tymczasem jego zdaniem było na odwrót. Już zapalała kolejnego papierosa. Miała czterdzieści trzy lata i nawalała się na wyspie leżącej u wybrzeży Tajlandii, a płatki uszu przystroiła sobie kawałkiem rafy koralowej. Niestety było od niej jak wiatr. Wcale nie był jasnowidzem. To po prostu oczywiste.

Odwróciła wzrok.

– Larry, gdzie są moje tabletki?

– W chacie.

– Możesz mi je przynieść?

Larry włączył latarkę i pochylił się w drzwiach. Promień światła omiół podłogę.

– Jeszcze nie wysłałeś listów.

– Zapomniałem. Jak tylko kończę list, mam wrażenie, jakbym już go wysłał.

Larry wyłonił się ponownie z buteleczką tabletek i oznajmił:

– Zaczyna tu śmierdzieć.

Podał buteleczkę Gwendolyn.

– No dobra, uparciuchu, otwórz usta.

Wyciągnęła tabletkę.

– Nie trzeba. Naprawdę. Czuję się dobrze.

– Weź lekarstwo – powiedziała Gwendolyn.

– Daj spokój, Mitch, wyglądasz jak zdechłak. Zrób to. Weź tę cholerną tabletkę.

Na moment zapanowała cisza, podczas której oboje się w niego wpatrywali. Mitchell chciał wyjaśnić im swoje stanowisko, ale było wyraźnie widać, że cokolwiek im powie, nie przekona ich, że jego zachowanie ma sens. Nic z tego, co przychodziło mu do głowy, nie oddawało dokładnie prawdy. Wszystko, co chciał powiedzieć, spłycało to, jak się czuł. Postanowił więc pójść po linii najmniejszego oporu. Otworzył usta.

– Masz jasnożółty język – powiedziała Gwendolyn. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem, nie licząc ptaków. No, dawaj. Łyknij sobie piwa, żeby popić. – Podała mu swoją butelkę. – Brawo. A teraz bierz to cztery razy dziennie przez tydzień. Larry, masz dopilnować, żeby to robił.

– Chyba powinienem położyć się spać – stwierdził Mitchell.

– W porządku – odparła Gwendolyn. – Przeniesiemy imprezę do mojej chaty.

Kiedy odeszli, Mitchell wczłogał się z powrotem do środka i się położył. Nie ruszając się już z miejsca, wypluł trzymaną pod językiem tabletkę. Stuknęła o bambusy i przeleciała między nimi na piasek pod chatą. Tak jak Jack Nicholson w *Locie nad kukułczym gniazdem*, pomyślał, uśmiechając się do siebie, ale był zbyt autentycznie wyczerpany, żeby to zapisać.

Z kostiumem kąpielowym na oczach dni były doskonalsze, bardziej rozmyte. Sypiał krótko, kiedy tylko miał na to ochotę, i przestał zwracać uwagę na upływ czasu. Docierały do niego rytmy życia wyspy: stężałe jeszcze od snu głosy ludzi jedzących śniadanie, na które składały się bananowe naleśniki i kawa, później krzyki na plaży, a wieczorem dym z grilla i dźwięki towarzyszące czyszczeniu woka długą metalową łopatką przez chińską kucharkę. Strzelały kapsle w otwieranych butelkach piwa, namiot kucharki wypełniał się głosami, a potem w sąsiednich chatach kwitły imprezki. W pewnym momencie do chaty wracał Larry, pachniał piwem, dymem i emulsją do opalania. Mitchell udawał, że śpi. Czasami, gdy Larry spał, przez całą noc nie zmrużył oka. Pod plecami wyczuwał podłogę, a dalej samą wyspę, a nawet pływy oceanu. Księżyc zaokrąglił się

i wschodząc, rozświetlił chatę. Mitchell wstał i ruszył w stronę srebrnej krawędzi wody. Wszedł daleko w morze i położył się na plecach, wpatrując się w księżyc i gwiazdy. Zatoka była jak ciepła kąpiel; unosiła się w niej również wyspa. Zamknął oczy i skupił się na oddychaniu. Po jakimś czasie zauważył, że znikają wszystkie odczucia tego, co na zewnątrz i wewnątrz. W zasadzie nie wdychał powietrza, to raczej on czuł się wdychany. Ten stan miał trwać tylko kilka sekund, potem wyjdzie, a potem znowu to poczuje.

Jego skóra zaczęła smakować solą. Wiatr niósł sól przez bambusy, pokrywając go nią, gdy leżał na plecach, lub owiewając Mitchella, kiedy ten szedł do wychodka. Kucając, ssał sól z gołych ramion. To było jego jedyne pożywienie. Czasami miał ochotę wejść do namiotu kucharki i zamówić całą rybę z grilla czy stertę naleśników. Ale uczucie głodu nachodziło go rzadko, a potem odczuwał jedynie głębszy, pełniejszy spokój. Wciąż lało się z niego, już nie tak gwałtowne, ale w sposób niepowstrzymany, niczym z rany. Otworzył beczkę, napełnił wiadro wodą i podmył się lewą ręką. Kilka razy przysnął, kucając nad otworem, i budził się dopiero wtedy, gdy ktoś pukał w metalowe drzwi.

Napisał kolejne listy.

Czy opowiadałem wam o trędowatej matce i jej synu, których widziałem w Bangalore? Szedłem ulicą i tam ich zobaczyłem, kucali przy krawężniku. Zdążyłem już przywyknąć do widoku trędowatych, ale nie tak trędowatych. Stracili już prawie wszystko. Z palców nie zostały im nawet kikuty. Ich dłonie były zaledwie kulami na końcach rąk. A ich twarze spływały, jakby zrobione z wosku, który się roztopia. Lewe oko matki było zamglone, szare i wpatrzone w niebo. Ale kiedy dałem jej pięćdziesiąt pajs, spojrzała na mnie zdrowym okiem, które błyszczało inteligencją. Złożyła razem swoje gruzełki u rąk, żeby mi podziękować. W tym momencie rzucona przeze mnie moneta uderzyła w dno kubka, a jej niewidomy syn powiedział: Atcha. Uśmiechnął się, jak sądzę, choć ze względu na jego oszpecenie trudno było to poznać. Ale wówczas stało się coś niespodziewanego: zobaczyłem, że są ludźmi, a nie żebrakami czy nieszczęśnikami – po prostu matką i jej dzieckiem. Mogłem ich sobie wyobrazić w przeszłości, zanim zachorowali na trąd, kiedy jeszcze po prostu wychodzili na spacer. A potem miałem kolejne objawienie. Miałem przeczucie, że dzieciak przepada za mango lassi. W tym momencie wydawało mi się to bardzo głębokim objawieniem. Było tak wielkie, że innego już, jak sądzę, nie potrzebuję ani na inne nie

zasługuję. Kiedy moneta uderzyła w kubek, a chłopiec powiedział: Atcha, po prostu wiedziałem, że myśli o dobrym zimnym mango lassi.

Mitchell odłożył pióro, zatopiony we wspomnieniach. Po chwili wyszedł na zewnątrz, żeby obejrzeć zachód słońca. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ganku. Jego lewe kolano już nie sterczało. Kiedy zamknął oczy, natychmiast rozpoczęło się dzwonienie, głośniejsze, bardziej dogłębne, zachwycające mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Tak wiele rzeczy wydawało się śmieszne, kiedy patrzył na nie z tej odległości. Jego obawy dotyczące wyboru przedmiotu kierunkowego. Odmowa opuszczenia pokoju w akademiku, kiedy miał na twarzy ohydne pryszcze. Nawet czarna rozpacz chwil, gdy dzwonił do pokoju Christine Woodhouse, a jej przez całą noc nie było, wyglądała teraz trochę śmiesznie. Można zmarnować sobie życie. I tak też robił, w dużym stopniu, aż do dnia, w którym wraz z Larrym, zaszczepiwszy się przeciwko tyfusowi i cholerze, wszedł na pokład samolotu, i uciekł. Dopiero teraz, gdy nikt go nie widział, Mitchell mógł się dowiedzieć, kim naprawdę jest. Jakby jazda tymi wszystkimi autobusami, przez te wszystkie wyboje, stopniowo obruszyła podwaliny jego dawnej osobowości do tego stopnia, że ta pewnego dnia po prostu uniosła się i ulotniła w indyjskim powietrzu. Nie chciał wracać do świata college'u i goździkowych papierosów. Leżał na plecach, czekając na moment, kiedy ciało otrze się o oświecenie lub gdy zupełnie nic się nie wydarzy, co w sumie byłoby tym samym.

Tymczasem Niemka znów chodziła po chacie obok. Mitchell słyszy, jak ona się krząta. Zeszła po schodach, ale zamiast skierować się do wychodka, wspięła się po schodach prowadzących do chaty Mitchella. Zdjął z oczu strój kąpielowy.

– Wybieram się do kliniki. Popłynę łodzią.

– Tak mi się wydawało, że możesz to zrobić.

– Chcę dostać zastrzyk. Zostanę tam na jedną noc. A potem wracam. – Przerwała na chwilę. – Chcesz może popłynąć ze mną? Dostać zastrzyk?

– Nie, dziękuję.

– Dlaczego nie?

– Bo czuję się lepiej. Czuję się o wiele lepiej.

– Wybierz się do kliniki. Dla bezpieczeństwa. Popłyniemy razem.

– Nic mi nie jest. – Wstał, uśmiechając się, żeby to pokazać. W zatoce zawyła syrena łodzi.

Mitchell wyszedł na ganek, żeby się jej pozbyć.

– Zobaczmy się po twoim powrocie – powiedział. Niemka przeszła przez płytką wodę do łodzi i wspięła się na pokład. Stała tam, nie machając, ale patrząc w kierunku Mitchella. Obserwował, jak się oddala, jak robi się coraz mniejsza. Kiedy w końcu zniknęła, uświadomił sobie, że mówił prawdę: rzeczywiście czuł się lepiej.

Żołądek się uspokoił. Mitchell położył dłoń na brzuchu, jakby chciał ustalić, co jest w środku. Miał wrażenie, że ma wydrażony żołądek. Skończyły się już też zawroty głowy. Potrzebował zupełnie świeżego papieru listowego, na którym w świetle zachodzącego słońca napisał:

Dzisiejszego dnia miesiąca listopada, jak mi się wydaje, pragnę oznajmić, że układ żołądkowo-jelitowy Mitchella B. Grammaticusa został wyleczony czysto duchowymi środkami. Chcę szczególnie podziękować osobie, która mnie w tym wszystkim najbardziej wspierała i przez cały czas przy mnie trwała, Mary Baker Eddy. Jej właśnie dedykuję moją następną porządną kupę.

Wciąż jeszcze pisał, kiedy wszedł Larry.

– No! No! Nie śpisz.

– Czuję się lepiej.

– Naprawdę?

– I powiem ci coś jeszcze.

– Co takiego?

Mitchell odłożył pióro i uśmiechnął się szeroko do Larry’ego.

– Jestem głodny jak wilk.

Do tej pory już wszyscy na wyspie zdążyli dowiedzieć się o głodówce Mitchella Gandhiana. Gdy pojawił się w namiocie kucharki, wywołał oklaski i aplauz. A także stłumione okrzyki kobiet, które nie mogły patrzeć, jaki jest chudy. Zaraz zaczęły mu matkować, kazały mu usiąść i dotykały jego czoła, sprawdzając, czy gorączkuje. Namiot był wypełniony stołami piknikowymi, blaty zastawione stertami ananasów i arbuzów, fasolą, cebulą, ziemniakami i sałatą. Na grubej desce do krojenia leżał długi lufar. Pod jedną ze ścian stały termosy z gorącą wodą lub herbatą, a z tyłu było

pomieszczenie z łóżeczkiem i niemowlęciem chińskiej kucharki. Mitchell rozejrzał się po tych wszystkich nowych twarzach. Bosymi stopami czuł zaskakująco chłodną ziemię pod stołem piknikowym.

Natychmiast zaczęto mu udzielać porad lekarskich. Większość ludzi podczas azjatyckich podróży pościła przez dzień lub dwa, a potem wracali do jedzenia pełnych posiłków. Ale post Mitchella był wyjątkowo długi i pewien amerykański podróżnik, były student medycyny, powiedział, że to niebezpieczne, jeśli Mitchell zje zbyt dużo naraz. Radził, żeby zaczął od samych płynów. Chińska kucharka wyśmiała ten pomysł. Tylko raz rzuciwszy okiem na Mitchella, podała mu okonia morskiego, talerz smażonego ryżu i omlet z cebulą. Również prawie wszyscy pozostali opowiadali się za czystym obżarstwem. Mitchell zdecydował się na kompromis. Najpierw wypił szklanekę soku z papai. Odczekał kilka minut, a potem zaczął powoli jeść smażony ryż. Następnie, wciąż czując się dobrze, ostrożnie sięgnął po okonia. Po kilku kęsach były student medycyny powiedział: „Dobra, wystarczy”, ale sprzeciwił mu się chór innych ludzi: „Tylko spójrz na niego. To skóra i kości. Dalej, jedz. Jedz!”.

Miło było znaleźć się ponownie wśród ludzi. Z Mitchella nie zrobił się aż taki asceta, jak mu się wydawało. Brakowało mu kontaktów z ludźmi. Wszystkie dziewczyny ubrane były w sarongi. Nabrały naprawdę doskonałej opalenizny i mówiły z uroczymi akcentami. Nieustannie dotykały Mitchella, klepały go po żebrach lub obejmowały palcami jego nadgarstki.

– Wszystko bym oddała, żeby mieć takie kości policzkowe jak ty – powiedziała jedna z dziewcząt. Potem skłoniła go do zjedzenia smażonych bananów.

Zapadła noc. Ktoś ogłosił, że w chacie numer sześć będzie impreza. Zanim Mitchell się zorientował, co się dzieje, dwie holenderskie dziewczyny prowadziły go przez plażę. Przez pięć miesięcy podawały do stołu w Amsterdamie, a resztę roku spędzały na podróżach. Najwyraźniej Mitchell wyglądał dokładnie jak Chrystus pędzla van Honthorsta z Rijksmuseum. Holenderki uznały, że to podobieństwo robi niesamowite wrażenie, a zarazem jest przeżabawne. Mitchell zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnił błędu, spędzając tyle czasu w chacie. Na wyspie rozwinęło się plemienne życie. Nic dziwnego, że Larry świetnie się bawił. Wszyscy tu zachowywali się bardzo przyjaźnie. To było nie tyle nawet

seksualne, co serdeczne i intymne. Jedna z holenderskich dziewcząt miała paskudną wysypkę na plecach. Odwróciła się, żeby mu ją pokazać.

Księżyc wschodził nad zatoką, rzucając długą smugę światła na brzeg. Rozświecił pnie palm i rzucał na piasek księżycową poświatę. Wszystko tonało w niebieskawym odcieniu z wyjątkiem pomarańczowych, jarzących się chat. Idąc za Larrym, Mitchell poczuł, jak powietrze owiewa mu twarz i przepływa przez jego nogi. Czuł w sobie jakąś lekkość, balon z helem spowijający mu serce. Człowiek nie potrzebował do szczęścia nic poza tą plażą.

Zawołał:

– Hej, Larry.

– Co?

– Byliśmy już wszędzie, facet.

– Nie wszędzie. Następny przystanek: Bali.

– A potem do domu. Po Bali do domu. Zanim moi rodzice przejdą załamanie nerwowe.

Staął w miejscu i przytrzymał holenderskie dziewczyny. Wydawało mu się, że słyszy dzwonięcie – głośniejsze niż kiedykolwiek przedtem – ale po chwili uświadomił sobie, że to tylko muzyka dobiegająca z chaty numer sześć. Bezpośrednio przed nią kręgiem na piasku siedzieli ludzie. Zrobili miejsce dla Mitchella i nowo przybyłych.

– Co powiesz, doktorze? Możemy dać mu piwo?

– Bardzo śmieszne – odparł student medycyny. – Proponuję jedno. Nie więcej.

Po pewnym czasie piwo dotarło do Mitchella, przekazane z rąk do rąk przez straż pożarną. Następnie siedząca na prawo od Mitchella dziewczyna położyła dłoń na jego kolanie. To była Gwendolyn. Nie rozpoznał jej w ciemności. Zaciągnęła się mocno papierosem. Odwróciła twarz, przede wszystkim, żeby wypuścić dym, ale też jakby na znak zranionych uczuć, i powiedziała:

– Nawet mi nie podziękowałeś.

– Za co?

– Za tabletki.

– Tak, jasne. To było bardzo miłe z twojej strony.

Uśmiechnęła się, ale już po kilka sekundach zaczęła kaszleć. To był kaszel palacza, głęboki i gardłowy. Próbowала go powstrzymać, pochyłała

się i zakrywała usta, ale kaszel stawał się tylko gwałtowniejszy, jakby wyrывał jej kawałki płuc. Kiedy w końcu ustąpił, Gwendolyn wytarła oczy.

– Och, chyba umieram. – Rozejrzała się po kręgu ludzi. Wszyscy rozmawiali i się śmiali. – Nikogo to nie obchodzi.

Przez cały ten czas Mitchell uważnie przyglądał się Gwendolyn. Wydało mu się oczywiste, że jeśli nawet jeszcze nie ma raka, wkrótce będzie go miała.

– Ciekawi cię, skąd wiedziałem, że jesteś w separacji? – zapytał.

– Chyba tak.

– To z powodu tego blasku, który od ciebie bije. Kobiety, które się rozwiodły lub są w separacji, zawsze otacza ten blask. Już wcześniej to zauważyłem. Jakbyś odmłodziła.

– Naprawdę?

– Tak, istotnie – odparł Mitchell.

Gwendolyn się uśmiechnęła.

– Czuję się trochę podniesiona na duchu.

Mitchell wyciągnął w jej stronę piwo i stuknęli się butelkami.

– Na zdrowie – powiedziała.

– Zdrowie. – Wypił łyk piwa. Żadne piwo mu tak jeszcze nie smakowało. Nagle poczuł się bezgranicznie szczęśliwy. Nie siedzieli przy ognisku, ale miał wrażenie, że tak właśnie jest, wszyscy się jarzyli i byli ogrzewani od środka kręgu. Mitchell spojrzał spod przymrużonych powiek na twarze siedzących wkoło ludzi, po czym przeniósł wzrok na zatokę. Myślał o swojej podróży. Próbował przypomnieć sobie te wszystkie miejsca, w których był wraz z Larrym, cuchnące pensjonaty, barokowe miasta, miejscowości letniskowe w górach. Jeśli nie przychodziło mu do głowy żadne konkretne miejsce, wyczuwał je wszystkie, jak w kalejdoskopie przesuwające się dookoła w jego głowie. Miał wrażenie, że niczego mu nie brakuje, że jest w pełni zadowolony. W pewnym momencie znów pojawiło się dzwonienie; koncentrował się również na nim, więc w pierwszej chwili nie zauważył ukłucia w jelitach. Potem, gdzieś z daleka, przeszywając jego świadomość, nadeszło kolejne ukłucie, wciąż tak delikatne, że mogło być tylko wytworem jego wyobraźni. Chwilę później powróciło, bardziej natarczywie. Poczuł, jak otwiera się w nim jakaś zastawka, a strużka gorącego płynu, niczym kwas zaczyna wypalać drogę na zewnątrz. Nie

zaniepokoiło go to. Czuł się zbyt dobrze. Po prostu ponownie wstał i powiedział:

– Zejdę na chwilę do wody.

– Pójdę z tobą – oświadczył Larry.

Księżyc wzniósł się już wyżej. Gdy się zbliżyli, rozświetlał zatokę jak lustro. Z dala od muzyki Mitchell słyszał szczekanie dzikich psów w dżungli. Poprowadził Larry’ego prosto na brzeg. Nie zatrzymując się, zsunął lungi i przeszedł nad leżącym materiałem. Wszedł do morza.

– Na golasa?

Mitchell nie odpowiedział.

– Jaka woda?

– Zimna – odpowiedział Mitchell, choć nie była to prawda: woda była ciepła. Po prostu chciał być w niej zupełnie sam. Szedł, aż sięgnęła mu do pasa. Złożywszy dłonie, skropił twarz wodą. Następnie położył się na plecach i zaczął unosić się na powierzchni.

Uszy mu się zatkały. Słyszał szum wody, potem ciszę morza, a później znowu dzwonienie. Wyraźne jak nigdy przedtem. To już nie było dzwonienie, raczej promienne światło, które przenikało jego ciało.

Podniósł głowę i powiedział:

– Larry.

– Co?

– Dzięki za opiekę nad mną.

– Nie ma sprawy.

Znalazłszy się w wodzie, znów poczuł się lepiej. Wyczuwał siłę odpływu w zatoce, wody cofającej się wraz z nocnym wiatrem i wschodzącym księżycem. Wyciekła z niego cienka gorąca strużka, odpłynął od niej i dalej unosił się na wodzie. Wpatrywał się w niebo. Nie miał ze sobą długopisu ani papieru listowego, więc zaczął cicho dyktować:

Droży Rodzice, Ziemia jest dla nas wystarczającym dowodem. Jej rytmy, nieustanne odradzanie się, wschody i zachody księżyca, fale przyprływu biegnące do lądu i potem uciekające wraz z odpływem z powrotem do morza, to wszystko stanowi lekcję dla ludzkości, tego mało pojętnego ucznia. Ziemia ciągle powtarza te ćwiczenia, raz po raz, dopóki tego nie zrozumiemy.

– Nikt by nie uwierzył, że może istnieć takie miejsce – odezwał się Larry z plaży. – To prawdziwy jebany raj.

Dzwonienie stawało się coraz głośniejsze. Minęła minuta, a może kilka minut. W końcu usłyszał, jak Larry mówi:

– Hej, Mitch, wracam na imprezę. U ciebie wszystko w porządku? – Brzmiał jakby z oddali.

Mitchell rozłożył ramiona, dzięki czemu unosił się nieco mniej zanurzony w wodzie. Nie wiedział, czy Larry odszedł czy nie. Patrzył na księżyc. Zaczął zauważać coś w księżycu, coś, czego wcześniej nie widział. Dostrzegał długości fal światła księżyca. Udało mu się do tego stopnia spowolnić umysł, żeby to zauważyć. Światło księżyca przyspieszyło na moment, rozjaśniając się, a potem spowolniało, ciemniejąc. Pulsowało. Samo światło księżyca było swego rodzaju dzwonieniem. Leżał, kołysząc się w ciepłej wodzie i obserwując zgodność księżycowego światła i dzwonienia, to, jak razem wzmagaly się i słabły. Po chwili zaczął zdawać sobie sprawę, że jest taki sam. Jego krew pulsowała wraz ze światłem księżyca, wraz z dzwonieniem. Coś z niego wychodziło, gdzieś daleko. Czuł, że jego wnętrze się opróżnia. Wrażenie opuszczającej go wody nie było już tak bolesne czy gwałtowne; stało się stałym wypływem jego istoty w naturę. Sekundę później Mitchell odniósł wrażenie, że opada w otaczającej go wodzie, a potem już nie miał żadnego poczucia siebie samego. To nie on patrzył na księżyc czy słyszał dzwonienie. A jednak był świadomy i jednego, i drugiego. Przeszło mu przez myśl, że powinien wysłać wiadomość do rodziców, powiedzieć im, żeby się nie martwili. Znalazł raj poza wyspą. Próbował zebrać się w sobie, żeby podyktować tę ostatnią wiadomość, ale natychmiast dotarło do niego, że nie zostało z niego nic, co mogłoby to zrobić – w ogóle nic – nie było już osoby mogącej utrzymać długopis czy wysłać wiadomości do ludzi, których kochał, którzy nigdy nie zrozumieją.

Pipeta do pieczeni

Przepis nadszedł pocztą:

Wymieszać spermę trzech mężczyzn.

Wstrząsnąć.

Napełnić pipetę do pieczeni.

Ułożyć się w pozycji półsiedzącej.

Włożyć końcówkę.

Ścisnąć.

SKŁADNIKI:

1 szczypta Stu Wadswortha

1 szczypta Jima Freesona

1 szczypta Wally'ego Marsa

Choć nie było adresu zwrotnego, Tomasina doskonale wiedziała, kto go przysłał: Diane, jej najlepsza przyjaciółka, a ostatnio specjalistka ds. płodności. Od czasu katastrofalnego rozpadu ostatniego związku Tomasiny Diane sugerowała, żeby postawić na coś, co nazwały Planem B. Nad Planem A pracowały już od dłuższego czasu. Obejmował miłość i wesele. Nad Planem A pracowały dobre osiem lat. Ale w ostatecznym rozrachunku – i na tym opierała się cała argumentacja Diane – Plan A okazał się zbyt idealistyczny. Dlatego zdecydowały się skupić na planie B.

Plan B wydawał się bardziej przebiegły i błyskotliwy, mniej romantyczny, a do tego było w nim więcej samotności i smutku, ale i śmiałości. Zakładał wypożyczenie mężczyzny z porządnymi zębami, ciałem i mózgiem, wolnego od poważnych chorób i gotowego rozgrzać się osobistymi fantazjami (nie musiały dotyczyć Tomasiny), by wywołać malutki rozbryzg, który był niezbędny do osiągnięcia wielkiego celu, jakim miało być posiadanie dziecka. Niczym bliźniaczy generałowie Schwarzkopfs dwie przyjaciółki zwróciły uwagę, jak bardzo zmieniło się ostatnio pole bitwy: ich własna artyleria się zmniejszyła (obie skończyły właśnie czterdzieści lat), wróg stosował coraz bardziej partyzancką taktykę

(mężczyźni już nawet nie pojawiali się na odkrytym terenie), a kodeks honorowy całkowicie podupadł. Ostatni mężczyzna, z którym Tomasina zaszła w ciążę – nie bankowiec od wyspecjalizowanych inwestycji, tylko ten przed nim, instruktor techniki Alexandra – nawet nie próbował stwarzać pozorów, że zaproponuje jej małżeństwo. Jego wyobrażenie o honorze polegało na podzieleniu kosztów aborcji. Nie dało się temu zaprzeczyć: najlepsi żołnierze zeszli z pola, zawierając pokój małżeński. Pozostała tylko rozwydrzona banda cudzołożników i nieudaczników, takich, co to tylko chcą zaliczyć, podpalaczy wiosek. Tomasina musiała porzucić myśl o spotkaniu kogoś, z kim mogłaby spędzić życie. Musiała urodzić kogoś, kto spędziłby z nią życie.

Ale dopiero gdy otrzymała przepis, zdała sobie sprawę, że jest dostatecznie zdesperowana, żeby zrobić kolejny krok. Wiedziała o tym, zanim jeszcze przestała się śmiać. Wiedziała o tym, już gdy pomyślała: Stu Wadsworth, tego ewentualnie mogę sobie wyobrazić. Ale Wally Mars?

Tomasina – powtarzam jak tykający zegar – skończyła czterdziestkę. Miała prawie wszystko, czego pragnęła w życiu. Świetną pracę asystentki producenta wieczornych wiadomości CBS prowadzonych przez Dana RATHERA. Wspaniałe mieszkanie w rozmiarze, jaki przystoi dorosłym, przy Hudson Street. Natura nie poskąpiła jej urody, która wciąż była w stanie prawie nienaruszonym. Choć czas odcisnął już swoje piętno na jej piersiach, ale wciąż trzymały się zupełnie nieźle. I miała nowe zęby. Miała zestaw lśniących zębów po bondingu. Zanim się do nich przyzwyczaiła, na początku nieco świszczała przy mówieniu, ale teraz wszystko było w porządku. Miała bicepsy. Jej indywidualne konto emerytalne sięgało kwoty stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Ale nie miała dziecka. Mogła obyć się bez męża. Pod pewnymi względami brak męża był nawet lepszy. Ale chciała mieć dziecko.

„Po ukończeniu trzydziestu pięciu lat – napisano w magazynie – kobieta zaczyna mieć problemy z zejściem w ciążę”. Tomasina nie mogła w to uwierzyć. Właśnie wtedy, gdy poukładała sobie wszystko w głowie, jej ciało zaczynało się rozpadać. Natury nie obchodził jej poziomy dojrzałości. Natura chciała, żeby poślubiła swojego chłopaka z college’u. A nawet, z czysto reprodukcyjnego punktu widzenia, natura wolałaby, żeby wyszła

za swojego chłopaka z liceum. Tomasina zajmowała się swoim życiem i jej to umknęło: komórki jajowe pogrążały się w niebycie, miesiąc po miesiącu. Dopiero teraz to wszystko widziała. Podczas gdy zabiegała w college'u o poparcie dla działającej na rzecz konsumentów organizacji Public Interest Research Group w stanie Rhode Island, ścianki jej macicy robiły się coraz cieńsze. Podczas gdy kończyła studia dziennikarskie, jej jajniki obniżyły produkcję estrogenów. I podczas gdy sypiała z tyloma mężczyznami, z iloma tylko chciała, jej jajowody zaczęły się zwężać, zapychać. Kiedy była jeszcze przed trzydziestką. W tym okresie przedłużonego amerykańskiego dzieciństwa. W czasie kiedy, zdobywszy już wykształcenie i pracę, mogła się wreszcie zabawić. Tomasina miała kiedyś pięć orgazmów z taksówkarzem, który nazywał się Ignacio Veranes, w samochodzie zaparkowanym na Gansevoort Street. Penis taksówkarza był wygięty w europejskim stylu, a on sam pachniał olejem maszynowym. Tomasina miała wtedy dwadzieścia pięć lat. Już by tego nie powtórzyła, ale cieszyła się, że do tego wówczas doszło. Żeby niczego nie żałować. Ale jeśli eliminuje się jedno żale, jednocześnie tworzy się inne. Miała wtedy dopiero dwadzieścia kilka lat. Po prostu używała życia, nic więcej. Ale nagle przestajesz być po dwudziestce i zaczynasz być po trzydziestce, a po kilku nieudanych związkach masz już trzydzieści pięć lat, pewnego dnia bierzesz do ręki czasopismo kobiece „Mirabella” i czytasz „Kiedy kobieta kończy trzydzieści pięć lat, jej płodność zaczyna się zmniejszać. Z każdym rokiem wzrasta odsetek poronień i wad wrodzonych”.

Już od pięciu lat tak to wrastało. Tomasina miała czterdzieści lat, jeden miesiąc i czternaście dni. I była przerażona, choć czasem nie czuła przerażenia. Czasem opanowywał ją spokój i godziła się z tym wszystkim.

Myślała o nich, o tych małych dzieciach, których nigdy nie miała. Widziała je, jak stoją szeregiem przy oknach upiornego szkolnego autobusu, z twarzami przyciśniętymi do szyby, z ogromnymi oczami, wilgotnymi rzęsami. Patrzyły na nią, wołając: „Rozumiemy. To nie był właściwy czas. Rozumiemy. Naprawdę”.

Autobus szarpnął i odjechał, a ona zobaczyła kierowcę. Uniósł kościstą rękę do dźwigni zmiany biegów, odwracając się do Tomasiny, a jego twarz rozchyliła się w uśmiechu.

W magazynie napisano też, że poronienia zdarzają się przez cały czas, a kobiety nawet tego nie zauważają. Małe blastule skrobały o ścianę macicy

i nie znajdując żadnego punktu oparcia, gnały w dół przez kanalizację, i tę ludzką, i te inne. Może jeszcze przez kilka sekund pozostawały przy życiu w muszli klozetowej, jak jakieś złote rybki. Tego nie wiedziała. Ale po trzech aborcjach, jednym oficjalnym poronieniu i kto wie ilu nieoficjalnych szkolny autobus Tomasiny był pełny. Kiedy obudziła się w nocy, widziała, jak powoli odjeżdża, i słyszała gwar dzieciaków stłoczonych na siedzeniach, ten krzyk dzieci, w którym nie sposób odróżnić śmiechu od płaczu.

Powszechnie wiadomo, że mężczyźni uprzedmiotawiają kobiety. Ale żadne nasze mierzenie wzrokiem piersi i nóg nie może się nawet równać z beznamiętnymi kalkulacjami kobiety krążącej na rynku nasienia. Tomasina sama była tym nieco zaskoczona, ale nic na to nie mogła poradzić: kiedy już podjęła decyzję, zaczęła postrzegać mężczyzn jako chodzące plemniki. Na przyjęciach, przy kieliszkach barolo (wkrótce miała z tego zrezygnować, piła więc jak szewc), Tomasina przyglądała się okazom, które wychodziły z kuchni, kręciły się po korytarzach lub perorowały, siedząc w fotelach. I czasami, kiedy oczy zachodziły jej mgłą, czuła, że potrafi dostrzec jakoś materiału genetycznego każdego mężczyzny. Czasami aura nasienia lśniła serdecznością, w innych wydarte były kuszące dziury brutalności, a jeszcze inne migotały i przygasały z powodu zbyt niskiego napięcia. Tomasina potrafiła ustalić stan zdrowia faceta na podstawie jego zapachu lub cery. Pewnego razu, chcąc rozbawić Diane, kazała wystawić język każdemu mężczyźnie na przyjęciu. Mężczyźni bez pytania spełnili jej prośbę. Mężczyźni zawsze chętnie pomagają. Mężczyźni lubią być uprzedmiotowiani. Myśleli, że ich języki będą sprawdzane pod kątem zwinności, ich potencjalnych ustnych kompetencji. „Otwórzcie usta i powiedzcie »a«” – Tomasina nadal rządziła towarzystwem, przez całą noc. A języki rozwijały się na pokaz. Niektóre miały żółte plamki lub podrażnione kubki smakowe, inne były niebieskie jak zepsuta wołowina. Niektóre robiły sprośne wygibasy, trzepocząc w górę i w dół lub wywijając się do góry, żeby odsłonić zwisające od spodu kolce, przypominające zbroję ryb głębinowych. Ale były też dwa lub trzy wyglądające idealnie, opalizujące jak ostrzygi i kusząco pulchne. Były to języki żonatych mężczyzn, którzy już oddali swoje nasienie – pod

dostatkiem – szczęśliwym kobietom, sprawdzającym wytrzymałość sof po drugiej stronie pokoju. Tym żonom i matkom, które teraz żaliły się z innych powodów, ich skargi dotyczyły niewystarczającej ilości snu i niespełnionych karier – skargi, których z kolei Tomasina rozpaczliwie sobie życzyła.

Nadszedł moment, kiedy powinienem się przedstawić. Nazywam się Wally Mars. Jestem starym przyjacielem Tomasiny. A w zasadzie jestem jej dawnym chłopakiem. Wiosną 1985 roku chodziliśmy ze sobą przez trzy miesiące i siedem dni. W tym czasie większość znajomych Tomasiny była zaskoczona, że się ze mną spotyka. Powiedzieli mi, co zrobiła, kiedy zobaczyła moje nazwisko na liście składników. Powiedzieli: „Wally Mars?”. Uważano, że jestem za niski (mam tylko metr sześćdziesiąt pięć) i nie jestem dostatecznie dobrze zbudowany. A jednak Tomasina mnie pokochała. Przez jakiś czas szalała na moim punkcie. Połączył nas jakiś ciemny haczyk w naszych mózgach, którego nikt nigdy nie widział. Siadywała po drugiej stronie stołu i stukając w niego palcem, mówiła: „Co jeszcze mi powiesz?”. Lubiła mnie słuchać.

I dalej tak było. Co kilka tygodni dzwoniła, by zaprosić mnie na lunch. A ja zawsze przychodziłem. W czasie opisywanych tu wydarzeń umówiliśmy się na randkę na piątek. Kiedy dotarłem do restauracji, już tam była. Przez chwilę stałem przy stanowisku obsługi gości, patrząc na Tomasinę z daleka i odpowiednio się nastawiając. Siedziała rozwalona na krześle, wysysając życie z pierwszego z trzech papierosów, na które pozwalała sobie przy lunchu. Na półce nad jej głową rozkwitała ogromna kompozycja kwiatowa. Zauważyliście to? Również kwiaty stały się wielokulturowe. Z wazonu nie podnosiły głowy róże, tulipany czy żonkily. Zamiast tego eksplodowała w nim flora dżungli: storczyki amazońskie, rosiczki z Sumatry. „Szczęki” jednej rosiczki drgnęły, pobudzone perfumami Tomasiny. Włosy opadały na obnażone ramiona Tomasiny. Nie miała na sobie topu – nie, jednak miała, cielisty i bardzo obcisły. Tomasina raczej nie ubiera się w stylu korporacyjnym, chyba że uznamy burdel za pewien rodzaj korporacji. To, co ma do wyeksponowania, było wyeksponowane (eksponowała to każdego ranka Danowi Ratherowi, który wymyślał różne przydomki dla Tomasiny, wszystkie związane z sosem

tabasco). Stroje tancerek rewiowych uchodziły jej jednak na sucho. Łagodziła ich efekt swoimi macierzyńskimi atrybutami: domowej roboty łazanie, uściskami i pocałunkami, lekarstwami na przeziębienie.

Przy stole zostałem powitany zarówno uściskiem, jak i pocałunkiem.

– Cześć, kochanie! – powiedziała i przytuliła się do mnie. Twarz Tomasiny jaśniała. Jej lewe ucho, o centymetry od mojego policzka, płonęło różowo. Czułem jego ciepło. Odsunęła się i spojrzeliśmy na siebie.

– A zatem – odezwałem się. – Wielkie wieści.

– Zamierzam to zrobić, Wally. Zamierzam mieć dziecko.

Usiedliśmy. Tomasina zaciągnęła się papierosem, po czym zwinęła wargi w trąbkę i wypuściła dym.

– Właśnie pomyślałam, że pieprzę to wszystko – powiedziała. – Mam czterdzieści lat. Jestem dorosła. Mogę to zrobić. – Jeszcze nie przyzwyczailem się do jej nowych zębów. Gdy tylko otwierała usta, miałem wrażenie, jakby świeciła lampa błyskowa. Przyznaję jednak, że wyglądały zupełnie nieźle. – Nie obchodzi mnie, co ludzie myślą. Ludzie albo są w stanie zrozumieć, albo nie. Nie zamierzam sama go wychowywać, siostra mi pomoże. I Diane. Ty też możesz zajmować się dzieckiem, Wally, jeśli zechcesz.

– Ja?

– Możesz być wujkiem. – Sięgnęła przez stół i uścisnęła moją dłoń. Odpowiedziałem uściskiem.

– Słyszałem, że masz przepis z listą kandydatów – powiedziałem.

– Co?

– Diane mówiła, że wysłała ci przepis.

– Ach, to. – Zaciągnęła się. Policzki jej się zapadły.

– I byłem tam może?

– Moi dawni faceci. – Tomasina wypuściła dym w górę. – Wszyscy moi dawni faceci.

W tym momencie pojawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie na drinki.

Tomasina wciąż wpatrywała się w dym rozchodzący się z jej papierosa.

– Wytrawne martini bez lodu, z dwiema oliwkami – powiedziała. Spojrzała na kelnera. Nie odrywała od niego wzroku. – Dzisiaj jest piątek – wyjaśniła. Przeciągnęła dłonią po włosach, odrzucając je do tyłu. Kelner się uśmiechnął.

– Ja też poproszę martini – odezwałem się. Kelner odwrócił się i spojrzał na mnie. Uniósł brwi i z powrotem odwrócił się do Tomasiny. Jeszcze raz się uśmiechnął i odszedł.

Gdy tylko zniknął, Tomasina pochyliła się nad stołem, żeby powiedzieć mi coś na ucho. Ja również się nachyliłem. Dotknęliśmy się czołami. I wtedy powiedziała:

– A co powiesz o nim?

– O kim?

– O nim.

Wskazała ruchem głowy. Naprężone pośladki kelnera na drugim końcu restauracji wycofywały się, wznosząc się i opadając naprzemiennie.

– To kelner.

– Nie zamierzam za niego wychodzić, Wally. Chcę tylko jego spermy.

– Może poda nam trochę na przystawkę.

Tomasina usiadła prosto i zgasila papierosa. Z oddali zaczęła przyglądać mi się badawczo, a następnie sięgnęła po papierosa numer dwa.

– Znowu będziesz wobec mnie wrogi?

– Nie jestem wrogi wobec ciebie.

– A właśnie, że jesteś. Byłeś wrogi, kiedy ci o tym mówiłam, i teraz też zachowujesz się wrogo.

– Po prostu nie wiem, dlaczego chcesz wybrać kelnera.

Wzruszyła ramionami.

– Jest słodki.

– Możesz znaleźć sobie kogoś lepszego.

– Gdzie?

– Nie wiem. Jest wiele miejsc. – Sięgnąłem po łyżkę do zupy. Widziałem w niej moją twarz, drobną i zniekształconą. – Idź do banku nasienia. Załatw sobie laureata Nagrody Nobla.

– Nie chodzi mi tylko o kogoś mądrego. Mózg to nie wszystko. – Tomasina zmrużyła oczy, wciągając dym, a potem odwróciła rozmarzony wzrok. – Chcę cały pakiet.

Przez chwilę się nie odzywałem. Sięgnąłem po menu. Dziewięć razy przeczytałem słowa *Fricassée de Lapereau*. Martwiło mnie jedno: porządek natury. Widziałem to teraz wyraźnie – wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej – jaką zajmowałem pozycję w naturze: po prostu niską. Gdzieś na poziomie hieny. Inaczej to wyglądało, przynajmniej o ile byłem w stanie

to ocenić, w świecie cywilizacji. Podchodząc do tego praktycznie, jestem dobrą partią. Po pierwsze, zarabiam krocie. Na moim indywidualnym koncie emerytalnym są dwieście pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Ale najwyraźniej przy wyborze nasienia nie liczą się pieniądze. Bardziej liczą się naprężone półdupki kelnera.

– Nie podoba ci się ten pomysł, prawda? – zapytała Tomasina.

– Nie mówię, że mi się nie podoba. Po prostu myślę, że jeśli masz mieć dziecko, najlepiej byłoby, gdybyś je miała z kimś innym. Z kimś, kogo kochasz. – Spojrzałem na nią. – I kto kocha ciebie.

– Tak byłoby idealnie. Ale tak nie jest.

– Skąd wiesz? – zapytałem. – Już jutro możesz się w kimś zakochać. Możesz zakochać się w kimś za sześć miesięcy. – Odwróciłem wzrok, drapiąc się po policzku. – Może już poznałaś miłość swojego życia i nawet o tym nie wiesz. – W tym momencie znowu spojrzałem jej w oczy. – I nagle zdajesz sobie z tego sprawę. Ale wtedy jest już za późno. Bo taka już jesteś. Z dzieckiem jakiegoś nieznajomego.

Tomasina kręciła głową.

– Wally, ja mam czterdzieści lat. Nie zostało mi już zbyt dużo czasu.

– Ja też mam czterdzieści lat – powiedziałem. – Co powiesz o mnie?

Spojrzała na mnie uważnie, jakby wyczuwała coś w moim tonie, zaraz jednak zbyła to machnięciem ręki.

– Ty jesteś mężczyzną. Masz jeszcze czas.

Po lunchu spacerowałem ulicami. Przez szklane drzwi restauracji wyszedłem w zapadający piątkowy wieczór. Była czwarta trzydzieści i w jaskiniach Manhattanu już robiło się ciemno. Z wystającego z asfaltu komina w paski wystrzeliwała para wodna. Wokół niego stało kilkoro turystów, którzy rozmawiali cicho po szwedzku, zadziwieni naszymi wulkanicznymi ulicami. Ja też się zatrzymałem, żeby popatrzeć na parę. Myślałem o wyrzucaniu odpadów, tak po prostu, o dymie i odpadach. Pamiętacie ten szkolny autobus Tomasiny? Z jednego okna wyglądała twarz mojego dziecka. Naszego dziecka. Chodziliśmy z sobą od trzech miesięcy, kiedy Tomasina zaszła w ciążę. Pojechała do domu do New Jersey, żeby porozmawiać o tym z rodzicami, i trzy dni później wróciła już po aborcji. Niedługo potem zerwaliśmy. I dlatego też czasami myślałem o nim, czy też

o niej, o moim jedynym rzeczywistym, sprzątniętym potomku. Właśnie wówczas o nim myślałem. Jak wyglądałby ten dzieciak? Czy tak jak ja miałby wybałuszone oczy i nos jak kartofel? Czy może wyglądałby jak Tomasina? Tak jak ona, zdecydowałem. Przy odrobinie szczęścia dziecko wyglądałoby jak ona.

Przez kilka następnych tygodni nic więcej na ten temat nie słyszałem. Starałem się zupełnie o tym zapomnieć. Ale miasto mi na to nie pozwoliło. Jakby na przekór zaczęło wypełniać się dziećmi. Widziałem je w windach, w holach i na chodniku. Widziałem je przypasane do fotelików samochodowych, śliniące się i szczebioczące. Widziałem maluchy w parku, prowadzone na smyczy. Widziałem je w metrze, kiedy patrzyły na mnie słodkimi, klejącymi się oczkami ponad ramionami niań z Dominikany. Nowy Jork to nie miejsce na rodzenie i wychowywanie dzieci. Dlaczego zatem wszyscy je mieli? Co piąta osoba na ulicy taszczyła tobolek z larwą noszącą zawiązaną pod brodą czapeczkę. Wyglądały, jakby koniecznie chciały z powrotem do łona.

Zazwyczaj widziało się je z matkami. Zawsze się zastanawiałem, kim są ojcowie. Jak wyglądają? Czy są wysocy? Dlaczego oni mieli dzieciaka, a ja nie? Pewnej nocy zobaczyłem całą meksykańską rodzinę biwakującą w wagonie metra. Dwoje małych dzieci szarpało matkę za spodnie od dresu, podczas gdy najświeższy przychówek, owinięta w liść gąsienica,ssał jej pierś, jakby to był bukłak na wino. Naprzeciwko nich, trzymając pościel i torbę pełną pieluch między szeroko rozłożonymi nogami, siedział protoplasta. Najwyżej trzydziestoletni, mały, przysadzisty, pochlapany farbą, o szerokiej płaskiej twarzy Azteka. Twarzy starożytnej, twarzy kamiennej, przekazywanej przez stulecia, aż trafiła w te ogrodniczki, do tego pędzącego pociągu, do tej właśnie chwili.

Zaproszenie nadeszło pięć dni później. Spoczywało grzecznie w mojej skrzynce pocztowej pośród rachunków i katalogów. Zauważyłem adres zwrotny Tomasiny i otworzyłem kopertę. Na przedniej stronie zaproszenia butelka szampana pieniała się słowami:

Za cho dżę w cią żę!

Wewnątrz informacja napisana wesołą zieloną czcionką: „W sobotę, 13 kwietnia, przyjdź świętować życie!”.

Jak dowiedziałem się później, data została wybrana precyzyjnie. Tomasina używała termometru owulacyjnego, żeby ustalić, kiedy jajeczkuje. Każdego ranka przed wstaniem z łóżka mierzyła temperaturę spoczynkową i sporządzała wykres uzyskanych wyników. Codziennie sprawdzała również majtki. Czysta białkowa wydzielina oznaczała, że komórka jajowa przedostała się do jajowodu. Kalendarz, który Tomasina powiesiła na lodówce, usiany był czerwonymi gwiazdkami. Niczego nie pozostawiała przypadkowi.

Myślałem, żeby się wycofać. Moje myśli krążyły wokół zmyślonych podróży służbowych i tropikalnych chorób. Nie chciałem tam iść. Nie podobała mi się idea takiej imprezy. Pytałem sam siebie, czy jestem zazdrosny, czy po prostu konserwatywny, i doszedłem do wniosku, że chodzi o jedno i drugie. A potem w końcu oczywiście poszedłem. Poszedłem, żeby nie myśleć o tym, siedząc w domu.

Tomasina od jedenastu lat zajmowała to samo mieszkanie. Ale gdy tamtego wieczoru dotarłem na miejsce, wyglądało zupełnie inaczej. Dobrze znana cętkowana różowa wykładzina, wyglądająca jak dywanik z oliwkowego chleba, prowadziła z holu obok tego samego umierającego kwiatka na podeście przed żółtymi drzwiami, które kiedyś otwierałem własnym kluczem. Nad progiem wciąż wisiała ta sama zapomniana przez poprzednich lokatorów mezuz. Mosiężna tabliczka, 2-A, potwierdzała, że było to nadal to samo drogie mieszkanie z jedną sypialnią, w którym prawie dziesięć lat temu spędziłem dziewięćdziesiąt osiem kolejnych nocy. Ale kiedy zapukałem i pchnąwszy drzwi, otworzyłem je na oścież, nie poznałem go. Światło sączyło się jedynie z porozkładanych w salonie świec. Kiedy oczy przyzwyczyły mi się do mroku, po omacku zacząłem przesuwac się wzdłuż ściany do szafy wnękowej – była tam gdzie kiedyś – i powiesiłem płaszcz. Na pobliskiej komodzie paliła się świeca i gdy przyjrzałem się jej bliżej, zacząłem rozumieć, czym kierowały się Tomasina i Diane w wyborze dekoracji. Nieludzko ogromna świeca była dokładną repliką męskiego członka wzniesionego w dumnej erekcji, z niemal hiperrealistycznymi szczegółami, łącznie z dopływami żył i piaszczystą

łachą moszny. Płomienny czubek fallusa oświeślał dwa inne przedmioty na stole: glinianą kopię starożytnej kananejskiej bogini płodności z kopulastą macicą i wydatnymi piersiami, jakie sprzedawano w feministycznych księgarniach i w dużych sklepach New Age, oraz paczkę kadzidełek Miłości, ozdobioną sylwetką splecionej w uścisku pary.

Stałem tam z rozszerzającymi się żrenicami. Z wolna pokój nabierał kształtów. Było w nim mnóstwo ludzi, może nawet siedemdziesiąt pięć osób. Przypominało to przyjęcie z okazji Halloween. Kobiety, które przez cały rok skrycie pragnęły ubierać się seksownie, w końcu ubrały się seksownie. Miały na sobie wydekoltowane topy króliczków lub suknie czarownic z rozcięciami po bokach. Sporo spośród nich wyzywająco głąskało świece lub bawiło się gorącym woskiem. Ale nie były młode. Tu nikt nie był młody. Mężczyźni wyglądali mniej więcej tak, jak mężczyźni wyglądali przez ostatnie dwadzieścia lat: już zagrożeni, ale jeszcze do przyjęcia. Wyglądali tak jak ja.

Co chwilę strzelały korki od szampana, dokładnie tak jak na zaproszeniu. Po każdym wystrzale jakaś kobieta krzyczała: „Ojejku, jestem w ciąży!” i wszyscy wybuchali śmiechem. W tym momencie rozpoznałem coś znajomego, a mianowicie muzykę. Śpiewał Jackson Browne. Jedną z rzeczy, którymi Tomasina kiedyś mnie tak oczarowała, była jej staroświecka i sentymentalna kolekcja płyt. Wciąż je miała. Pamiętałem, jak tańczyłem z Tomasiną przy tym właśnie albumie. Pewnego późnego wieczoru po prostu rozebraliśmy się i zaczęliśmy tańczyć samotnie. To był jeden z tych spontanicznych tańców w salonie, jakie się zdarzają na początku związku. Na konopnym dywaniku kręciliśmy sobą nawzajem, potajemnie nadzy i poruszający się bez gracji; nie powtórzyło się to nigdy więcej. Stałem teraz, wspominając, dopóki ktoś nie podszedł do mnie od tyłu.

– Cześć, Wally.

Zmrużyłem oczy. To była Diane.

– Powiedz mi, proszę – powiedziałem – że nie musimy tego oglądać.

– Spokojnie. Nie będzie nic, czego dzieci nie mogłyby oglądać. Tomasina zrobi to później. Kiedy już wszyscy wyjdą.

– Nie mogę długo zostać – powiedziałem, rozglądając się po pokoju.

– Musisz zobaczyć naszą pipetę. Za cztery dziewięćdziesiąt pięć, z wyprzedaży w domu towarowym Macy's.

– Jestem umówiony z kimś później na drinka.

– Mamy tam też kubek dawcy. Nie mogliśmy znaleźć niczego z pokrywką. Skończyło się więc na tym, że wyszukaliśmy taki plastikowy kubek dla maluchów. Roland już go wypełnił.

Poczułem, że mam coś w gardle. Przełknąłem ślinę.

– Roland?

– Przyszedł wcześniej. Mógł wybrać między „Hustlerem” a „Penthouse’em”.

– Będę uważał, co piję z lodówki.

– To nie jest w lodówce. Trzymamy to pod umywalką, w łazience. Obawiałam się, że ktoś to może wypić.

– Nie trzeba tego zamrażać?

– Użyjemy go za godzinę. Wytrzyma.

Skinąłem głową, sam nie wiedząc dlaczego. Zaczynałem już widzieć wyraźnie. Rozpoznałem wszystkie rodzinne zdjęcia na półce nad kominkiem. Tomasina i jej tata. Tomasina i jej mama. Cały klan Genovese na dębie. A potem powiedziałem:

– Możesz mnie uznać za staroświeckiego, ale...

Umilkłem.

– Spokojnie, Wally. Napij się szampana. Jesteś na przyjęciu.

Za barem stała barmanka. Machnięciem ręki zbyłem oferowanego szampana i poprosiłem o czystą whisky. Czekając, wodziłem wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu Tomasiny. Całkiem cicho, ale jednak na głos, powiedziałem z ożywczym sarkazmem:

– Roland. – Trudno o lepsze imię. Człowiek ze średniowiecznej epopei. – Sperma Rolanda.

Właśnie próbowałem cieszyć się tym, na ile mogłem, kiedy nieoczekiwanie gdzieś z góry dobiegł mnie głęboki głos:

– Mówiłeś do mnie?

Spojrzałem w górę i zobaczyłem może niezupełnie słońce, ale jego antropomorficzną reprezentację. Miał włosy jednocześnie blond i pomarańczowe, do tego był wielki, a stojąca za nim na półce świeca rozświetlała jego grzywę jak aureolę.

– Czy my się znamy? Jestem Roland DeMarchelier.

– A ja Wally Mars – odpowiedziałem. – Tak mi się wydawało, że to możesz być ty. Diane mi cię pokazała.

– Wszyscy na mnie pokazują. Czuję się jak wystawowy wieprzek – powiedział z uśmiechem. – Moja żona właśnie poinformowała mnie, że wychodzimy. Udało mi się wynegocjować jeszcze jednego drinka.

– Jesteś żonaty?

– Od siedmiu lat.

– I nie przeszkadza jej to?

– Do tej pory nie przeszkadzało. Ale teraz nie jestem już tego pewien.

Co mógłbym powiedzieć o jego twarzy? Była szczera. To była twarz przyzwyczajona do tego, że się na nią patrzy, że patrzy się na nią bez wzdrygnięcia. Jego skóra miała zdrowy morelowy kolor. Brwi, także morelowe, były krzaczaste jak u starego poety. Dzięki nim jego twarz nie wyglądała zbyt chłopięco. To na tę twarz spojrzała Tomasina. Spojrzała na nią i powiedziała:

– Mam dla ciebie robotę.

– Mamy z żoną dwoje dzieci. Ale początkowo mieliśmy trudności z zajściem w ciążę. Wiemy więc, jak to jest. To podenerwowanie, ustalanie odpowiedniego terminu i tak dalej.

– Twoja żona z pewnością jest kobietą wolną od uprzedzeń – odezwałem się. Roland zmrużył oczy, próbując ocenić, na ile to, co mówię, jest szczere; oczywiście nie był głupi (Tomasina prawdopodobnie odszukała wyniki jego egzaminów na studia). W końcu chyba uwierzył mi na słowo. – Mówi, że jej to schlebia. Mnie na pewno.

– Chodziłem kiedyś z Tomasiną – powiedziałem. – Mieszkaliśmy razem.

– Naprawdę?

– Teraz jesteśmy już tylko przyjaciółmi.

– Dobrze, kiedy tak się dzieje.

– Kiedy chodziliśmy ze sobą, nie myślała o dzieciach – dodałem.

– Tak to już jest. Wydaje ci się, że masz mnóstwo czasu. I nagle trach. Okazuje się, że to nieprawda.

– Wszystko mogło potoczyć się inaczej – dodałem.

Roland ponownie zerknął na mnie, nie wiedząc, jak potraktować moje słowa, a potem spojrzał przez pokój. Uśmiechnął się do kogoś i uniósł drinka. Potem odwrócił się znowu do mnie.

– Nie udało się. Moja żona chce już iść. – Odłożył kieliszek i odwrócił się, zamierzając odejść. – Miło było cię poznać, Wally.

– Dawaj dalej, Roland – powiedziałem, ale albo mnie nie usłyszała, albo udała, że nie słyszy.

Dopiłem już whisky, więc wziąłem dolewkę. Następnie udałem się na poszukiwania Tomasiny. Przepchnąłem się między ludźmi w pokoju i wcisnąłem się do przedpokoju. Stałem wyprostowany, pyszniąc się swoim garniturem. Kilka kobiet zmierzyło mnie spojrzeniem, po czym odwróciły wzrok. Drzwi sypialni Tomasiny były zamknięte, ale uznałem, że wciąż mam prawo je otworzyć.

Stała przy oknie, paląc i wyglądając na zewnątrz. Nie usłyszała, jak wszedłem, a ja nic nie powiedziałem. Po prostu tam stałem, patrząc na nią. Jaką sukienkę powinna założyć dziewczyna na swoje przyjęcie inseminacyjne? Odpowiedź: taką jak Tomasina. W zasadzie nie była zbyt kusa. Zaczynała się u szyi i kończyła na kostkach. Ale między tymi dwoma punktami w materiale wycięto żyletką pomysłowo szereg dziur, tu odsłaniając kawałek uda, tam błyszczącą kość biodrową; a wyżej białą krągłość piersi. Przywodziło to na myśl jakieś sekretne otwory i ciemne kanały. Policzyłem lśniące plamy skóry. Miałem dwa serca, jedno u góry, jedno na dole, oba pulsowały jak oszalałe.

A potem powiedziałem:

– Właśnie widziałem championa.

Odwróciła się. Uśmiechnęła się, ale niezbyt przekonująco.

– Prawda, że wspinały?

– Nadal uważam, że powinnaś była wybrać Izaaca Asimova.

Podeszła i pocałowaliśmy się w policzki. W każdym razie ja ją pocałowałem. Tomasina pocałowała głównie powietrze. Pocałowała aurę mojego nasienia.

– Diane uważa, że powinnam dać sobie spokój z pipetą i po prostu się z nim przespać.

– Jest żonaty.

– Wszyscy są. – Urwała. – Wiesz, co mam na myśli.

Nie dałem po sobie poznać, czy rzeczywiście wiem.

– Co ty tu robisz?

Dwa razy szybko zaciągnęła się papierosem, jakby chciała się pokrzepić. Potem odpowiedziała:

– Świruję.

– O co chodzi?

Zakryła twarz dłonią.

– To takie przygnębiające, Wally. Chciałam mieć dziecko, ale nie tak. Myślałam, że jeśli zorganizuję przyjęcie, to będzie zabawnie, ale jest po prostu przygnębiająco. – Opuściła rękę i spojrzała mi w oczy. – Myślisz, że jestem wariatką? Tak myślisz, prawda?

Uniosła prosząco brwi. Czy wspominałem o piegu Tomasiny? Ma pieg na dolnej wardze, jak kawałek czekolady. Wszyscy zawsze próbują go zetrzeć.

– Nie uważam cię za wariatkę, Tom – powiedziałem.

– Nie uważasz?

– Nie.

– Bo ja ci ufam, Wally. Jesteś wredny, więc ci ufam.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jestem wredny?

– Nie taki zły wredny. Dobry wredny. Nie jestem wariatką?

– Chcesz mieć dziecko. To zupełnie naturalne.

Nagle Tomasina nachyliła się i oparła głowę na mojej piersi. Musiała się pochylić, żeby to zrobić. Zamknęła oczy i westchnęła przeciągle. Położyłem dłoń na jej plecach. Moje palce znalazły dziurę i pogłaskałem jej gołą skórę. Serdecznym, pełnym dogłębnej wdzięczności głosem powiedziała:

– Ty to rozumiesz, Wally. Doskonale rozumiesz.

Wyprostowała się i uśmiechnęła. Spojrzała na sukienkę, poprawiła ją tak, żeby widać było pępek, a potem wzięła mnie pod ramię.

– Chodźmy – powiedziała. – Wracajmy na imprezę.

Zupełnie nie spodziewałem się tego, co potem nastąpiło. Kiedy wyszliśmy, wszyscy wiwatowali. Tomasina trzymała mnie za ramię i zaczęliśmy machać do tłumu jak para królewska. Przez chwilę zapomniałem, w jakim celu zorganizowano tę imprezę. Po prostu stałem ramię w ramię z Tomasiną i przyjmowałem oklaski. Kiedy radosne okrzyki ucichły, zauważyłem, że nadal gra Jackson Browne. Pochyliłem się i szepnąłem do Tomasiny:

– Pamiętasz, jak tańczyliśmy do tej piosenki?

– Tańczyliśmy do tego?

– Nie pamiętasz?

– Mam ten album od zawsze. Pewnie tańczyłam do niego z tysiąc razy. – Urwała. Puściła moje ramię.

Znów miałem pusty kieliszek.

– Mogę cię o coś zapytać, Tomasino?

– O co?

– Czy zdarza ci się o nas myśleć?

– Wally, proszę. – Odwróciła się i wbiła wzrok w podłogę. Po chwili powiedziała piskliwym i zdenerwowanym głosem: – W tamtym okresie byłam naprawdę popieprzona. Nie wydaje mi się, żebym mogła być wówczas z kimś na stałe.

Skinąłem głową. Przełknąłem ślinę. Powiedziałem sobie, że nie mogę postawić następnego pytania. Spojrzałem na kominek, jakby mnie zainteresował, a potem je zadałem:

– Czy zdarza ci się myśleć o naszym dziecku?

Jedynie lekkie drżenie w kąciku jej lewego oka zdradziło, że mnie usłyszała. Wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze.

– To było bardzo dawno temu.

– Wiem. Ale kiedy widzę, ile zachodu cię to kosztuje, myślę, że nie zawsze tak musi być.

– Nie wydaje mi się, Wally. – Marszcząc brwi, zdjęła kłaczek z ramienia mojej marynarki. Potem go odrzuciła. – Boże! Czasami żałuję, że nie jestem Benazir Bhutto czy kimś podobnym.

– Chciałabyś być premierem Pakistanu?

– Chciałabym mieć miłe, proste, skojarzone przez rodziców małżeństwo. A jak już spędziłabym noc w łóżku z mężem, mógłby sobie iść pograć w polo.

– Chciałabyś tego?

– Oczywiście, że nie. To byłoby okropne. – Pukiel włosów zsunął się jej na oczy i odsunęła go na miejsce wierzchem dłoni. Rozejrzała się po pokoju. Następnie wyprostowała się i powiedziała: – Powinnam zabawiać gości.

Podniosłem kieliszek.

– Bądźcie płodni i rozmnażajcie się – powiedziałem.

Tomasina ścisnęła mnie za ramię i zniknęła.

Nie ruszyłem się z miejsca, udając, że popijam z pustej szklanki, żeby czymś się zająć. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiejś kobiety, której jeszcze nie poznałem. Nie znalazłem żadnej. Przy barze przerzuciłem się na szampana. Barmanka trzy razy napełniała mi kieliszek. Na imię miała Julie i robiła specjalizację z historii sztuki na Uniwersytecie Columbia.

Stałem tam, kiedy Diane wyszła na środek pokoju i zastukała w kieliszek. Inni poszli za jej przykładem i w salonie zrobiło się cicho.

– Po pierwsze – zaczęła Diane – zanim was wszystkich stąd wyrzucimy, chciałabym wznieść toast za dzisiejszego tak hojnego darczyńcę, Rolanda. Szukaliśmy po całym kraju i muszę przyznać, że przesłuchania były baaardzo wyczerpujące.

Wszyscy się roześmiali. Ktoś krzyknął:

– Roland już wyszedł.

– Wyszedł? Cóż, w takim razie wzniesmy toast za jego nasienie. Nadal je mamy. – Kolejne salwy śmiechu, kilka pijackich okrzyków. Niektórzy goście, tym razem już zarówno mężczyźni, jak i kobiety, chwytały za świece i wymachiwały nimi.

– I na koniec – ciągnęła Diane – na koniec chciałabym wznieść toast za naszą już wkrótce przyszlą, odpukać w niemalowane, matkę. Jej odwaga w przejmowaniu środków produkcji jest wzorem dla nas wszystkich. – W tym momencie wyciągnęli Tomasinę na środek. Co niektórzy gwizdali. Włosy Tomasiny się rozsypywały. Rumieniła się i uśmiechała. Klepnąłem Julie w ramię, podsuwając jej kieliszek. Kiedy wszyscy patrzyli na Tomasinę, odwróciłem się i wślizgnąłem do łazienki.

Po zamknięciu drzwi zrobiłem coś, czego zwykle nie robię. Stałem przed lustrem i spojrzałem w swoje odbicie. Przestałem to robić, na dłuższą metę, co najmniej dwadzieścia lat temu. Wpatrywanie się w lustra najlepiej sprawdzało się mniej więcej w wieku trzynastu lat. Ale tego wieczoru zrobiłem to ponownie. Przyglądałem się sobie w łazience Tomasiny, w której kiedyś razem braliśmy prysznic i czyściliśmy nicią zęby, w tej wesołej, jaskrawo wykafelkowanej grocie. Wiecie, o czym myślałem? Myślałem o naturze. Znowu myślałem o hienach. Hiena, przypomniałem sobie, jest zawziętym drapieżnikiem. Czasami potrafi zaatakować nawet lwa. Takie hieny z wyglądu są może nieciekawe, ale dobrze sobie radzą. Uniosłem więc kieliszek. Uniosłem kieliszek i wzniosłem toast za siebie:

– Bądźcie płodni i rozmnażajcie się.

Kubek stał dokładnie w tym miejscu, o którym mówiła Diane. Roland z kapłańską troską umieścił go na woreczku z wacikami. Kubek malucha spoczywał na małej chmurze, jak na tronie. Otworzyłem naczynie i przyjrzałem się ofierze Rolanda. Żółtawe męty ledwo zakrywały dno kubka. Wyglądały jak klej kauczukowy. To okropne, kiedy o tym pomyśleć.

To okropne, że kobiety tego potrzebują. To przecież takie nic. Muszą dostawać szalu, kiedy okazuje się, że mają wszystko, czego potrzeba do stworzenia życia, z wyjątkiem tego marnego zaczynu. Spłukałem zaczyn Rolanda pod kranem. Potem sprawdziłem, czy drzwi są zamknięte. Nie chciałem, żeby ktoś mnie zaskoczył.

Od tego czasu minęło dziesięć miesięcy. Wkrótce potem Tomasina zaszła w ciążę. Spuchła do ogromnych rozmiarów. Byłem w delegacji, kiedy urodziła pod opieką położnej w szpitalu St. Vincent's. Ale wróciłem na czas, żeby otrzymać informację:

Tomasina Genovese z dumą ogłasza,
że 15 stycznia 1996 r.
urodziła syna,
Josepha Maria Genovesego,
2,353 kg

Już sam niewielki rozmiar dziecka przesądzał sprawę. Ostateczną odpowiedź na ważne pytanie uzyskałem jednak, przynosząc któregoś dnia łyżeczkę od Tiffany'ego dla małego dziedzica i zaglądając do łóżeczka. Nos jak kartofel. Wybałuszone oczy. Czekałem dziesięć lat, żeby zobaczyć tę twarz w oknie autobusu szkolnego. I teraz, kiedy już to zrobiłem, mogłem tylko pomachać na pożegnanie.

1995

Muzyka dawna

Zaraz po wejściu przez frontowe drzwi Rodney skierował się prosto do sali muzycznej. Tak właśnie nazywał ten pokój, nieco sarkastycznie, ale nie bez pewnej nadziei – salą muzyczną. Był to niewielki pokój w kształcie litery L, czwarty w mieszkaniu, powstały, gdy dzielono budynek na mieszkania. Spełniał kryterium sali muzycznej, ponieważ znajdował się w nim jego klawikord.

Stał tam na niezamiecionej podłodze – klawikord Rodneya. Był zielony jak jabłko, miał złotą listwę wykończeniową, a na wewnętrznej stronie uniesionej nakrywy obrazek przedstawiający geometryczne ogrody. Wzorowany na klawikordach Bodechtela z lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku, klawikord Rodneya przybył trzy lata temu ze sklepu Muzyka dawna w Edynburgu. A jednak, spoczywając majestatycznie w przyćmionym świetle – w Chicago była zima – klawikord sprawiał wrażenie, jakby czekał, aż Rodney na nim zagra, nie tylko przez dziewięć i pół godziny, które minęły, odkąd Rodney wyjechał do pracy, ale przez przynajmniej kilka wieków.

Klawikord nie wymaga dużego pokoju. Klawikord to nie fortepian. Szpinety, wirginały, pianina, klawikordy, a nawet klawesyny były względnie niewielkimi instrumentami. Osiemnastowieczni muzycy, którzy na nich grali, byli mali. Rodney należał jednak do ludzi dużych, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Usiadł delikatnie na wąskim siedzisku. Ostrożnie wsunął kolana pod klawiaturę. Z zamkniętymi oczami zaczął grać z pamięci preludium Sweelincka.

Muzyka dawna jest racjonalna, matematyczna, nieco sztywna, jak Rodney. Był taki na długo, zanim po raz pierwszy zobaczył klawikord czy zabrał się do pisania rozprawy doktorskiej (niedokończonej) na temat systemów temperacji w okresie niemieckiej reformacji. Ale zagłębienie się Rodneya w dziełach rodziny Bach *père et fils* tylko wzmocniło jego wrodzone skłonności. Drugim meblem w sali muzycznej było małe biurko z drewna tekowego. W jego szufladach i przegródkach znajdowały się idealnie uporządkowane akta, które przechowywał Rodney: polisy ubezpieczeń zdrowotnych, alfabetycznie ułożone instrukcje obsługi

urządzeń wraz z kartami gwarancyjnymi, historie szczepień bliźniąt, akty urodzenia i karty ubezpieczenia społecznego, a także zebrane z trzech lat miesięczne budżety, określające wydatki gospodarstwa domowego łącznie z maksymalną dopuszczalną kwotą na ogrzewanie (Rodney utrzymywał w mieszkaniu rześką temperaturę 14 stopni). Trochę chłodu wpływa korzystnie na człowieka. Chłód przypomina Bacha: porządkuje umysł. Na biurku leżała teczka z bieżącego miesiąca, z napisem „LUTY 05”. Zawierała trzy wyciągi z kart kredytowych z przerażającymi saldami oraz bieżącą korespondencję z agencji windykacyjnej, która upominała Rodneya z powodu zaległych miesięcznych opłat dla sklepu Muzyka dawna.

Grał z wyprostowanymi plecami, ale twarz mu drgała. Za zamkniętymi powiekami gałki oczne trzepotały w rytm szybkich taktów.

W pewnym momencie drzwi się otworzyły i Imogene, obecnie sześćioletnia, zawołała głosem dokera:

– Tatusiu, kolacja!

Po wykonaniu tego zadania ponownie zatrzasnęła drzwi. Rodney przestał grać. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że grał – ćwiczył – dokładnie przez cztery minuty.

Rodney dorastał w schludnym i uporządkowanym domu. W tamtych czasach tak właśnie było. Wówczas to oni sprząтали w domu. „Oni” to znaczy, oczywiście, matka. Te wszystkie lata odkurzonych dywanów i nieskazitelnie czystych kuchni, czasy koszul, które cudownie podnosiły się z podłogi, by ponownie pojawić się świeżo wyprane w szufladzie komody – ale cała sprawna efektywność domu zniknęła. Kobiety dały sobie z tym spokój, kiedy poszły do pracy.

A nawet jeśli nie poszły. Rebecca, żona Rodneya, nie pracowała poza domem. Pracowała w mieszkaniu, w pokoju na końcu mieszkania. Nie nazywała tego miejsca pokojem. Nazywała je biurem. Rodney miał salę muzyczną, w której trochę grał. Rebecca miała biuro, w którym trochę robiła interesy. Ale spędzała tam bardzo dużo czasu, cały dzień, kiedy Rodney pracował w prawdziwym biurze w mieście.

Po wyjściu z sanktuarium sali muzycznej Rodney ominął tekturowe pudła, zwoje opakowań z folii bąbelkowej i stłoczone w hallu zabłąkane zabawki. Odwróciwszy się bokiem, przecisnął się przez brygadę płaszczy

zimowych wiszących na ścianie nad zabłoconymi butami i pojedynczymi rękawiczkami z jednym palcem. Wchodząc do salonu, nadepnął na coś, co wydawało się kolejną rękawiczką. Ale to nie była rękawiczka, lecz wypchana mysz. Rodney westchnął i ją podniósł. Nieco większa od prawdziwej myszy, ta konkretna mysz była jasnoniebieska i miała czarny beret. Wyglądało na to, że ma rozszczep podniebienia.

– Masz być słodka – powiedział Rodney do myszy. – Postaraj się.

Właśnie to robiła Rebecca – myszy. Stanowiły część serii o nazwie Myszki Ciepłuszki™, która obecnie obejmowała cztery „postaci”: Mysz Modernistkę, Mysz Awangardową, Mysz Surfującą Realistkę i Mysz Hipiskę. Każdego artystycznego gryzonia wypełniały aromatyczne granulki i trudno było oprzeć się chęci, by go ścisnąć. Wyjątkowość tego produktu (nadal głównie teoretyczna) miała polegać na tym, że można było umieścić te myszy w kuchence mikrofalowej, a po wyjęciu były ciepłutkie jak bułeczki i pachniały jak potpourri.

Rodney wziął mysz w złożone dłonie i zaniósł, jakby była ranna, do kuchni.

– Zbieg – powiedział na powitanie.

Rebecca spojrzała znad zlewu, gdzie odcedzała makaron, i zmarszczyła brwi.

– Wyrzucić to do kosza – powiedziała. – To wybrak.

Bliźniaki przy stole podniosły krzyk. Nie podobało im się, kiedy myszy odchodziły przedwcześnie. Zerwawszy się z miejsc, z zaciśniętymi rękami rzuciły się na ojca.

Rodney uniósł wyżej Mysz Awangardową.

Immy, która odziedziczyła po Rebecce ostry podbródek oraz przenikliwą determinację, wspięła się na krzesło. Tallulah, zawsze bardziej polegająca na instynkcie i dziksza z tej dwójki, chwyciła tylko Rodneya za rękę i zaczęła wspinać się po jego nodze.

W trakcie tego ataku Rodney powiedział do Rebekki:

– Niech zgadnę. Chodzi o pyszczek.

– Tak, o pyszczek – potwierdziła Rebecca. – I zapach. Powąchaj.

Żeby to zrobić, Rodney musiał się odwrócić i włożywszy mysz do kuchenki mikrofalowej, wdusić przycisk nagrzewania.

Po dwudziestu sekundach wyjął ciepłą mysz i przyłożył ją do nosa.

– Nie jest tak źle – powiedział. – Ale rozumiem, co masz na myśli. Nieco więcej woni spod pach i byłoby idealnie.

– To ma być piżmo.

– Z drugiej strony – powiedział Rodney – zapach potu idealnie pasuje do awangardy.

– Mam pięć kilo pachnących piżmem granulek – jęknęła Rebecca – które teraz są bezużyteczne.

Rodney przeszedł przez kuchnię i nacisnął stopą na pedał kosza na śmieci, unosząc wieko. Wrzucił mysz do środka i patrzył na zamykający się kosz. Miło było wyrzucić myszkę. Chciał to zrobić jeszcze raz.

Zakup klawikordu raczej nie był mądrym posunięciem. Po pierwsze, kosztował sporą kasę. A oni nie mieli do wydania żadnej kasy, ani sporej, ani niesporej. Ponadto Rodney już dziesięć lat wcześniej przestał grać zawodowo. Po narodzinach bliźniaków w ogóle przestał grać. Jazda samochodem do Hyde Parku z Logan Square, a następnie krążenie po okolicy i szukanie miejsca do zaparkowania (Hyde Park nie tylko nie był żadnym parkiem, ale też nie było tam też gdzie parkować), a następnie odrywanie przyklejonej do portfela legitymacji Uniwersytetu Chicagowskiego, potem przykrywanie kciukiem absurdalnie nieaktualnego zdjęcia, jednocześnie machając legitymacją do ochroniarza, żeby go wpuścił do sali prób numer 113, gdzie przez godzinę na zniszczonym, choć nie można powiedzieć, że źle brzmiącym uniwersyteckim klawikordzie Rodney ćwiczył jakieś bourrée i ronda, tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy – po narodzinach dzieci to wszystko stało się zbyt trudne. W czasach gdy on i Rebecca robili doktoraty (byli wówczas bezdzietni i niezwykle skupieni na życiowych celach, żywiąc się jedynie jogurtami i drożdżami piwnymi), Rodney spędzał trzy lub cztery godziny dziennie, grając na wydziałowym klawikordzie. Klawesyn w sąsiednim pokoju miał duże wzięcie. Klawikord natomiast był zawsze wolny. Wynikało to z tego, że klawikord miał pedały, rzadki okaz, i nikt nie lubił na nim grać. Była to wykonana na podstawie domysłów replika klawikordu z początku osiemnastego wieku, a jednostka pedałów (niektórzy uczniowie z ciężką nogą rozdeptywali ją naprawdę gruntownie) była trochę nietypowa. Ale kiedy się do tego przyzwyczaił, klawikord stał się niemal jego osobistym

instrumentem, dopóki Rodney nie porzucił studiów doktoranckich, nie został ojcem i nie podjął pracy w North Side, już tylko udzielając lekcji gry na fortepianie w Old Town School of Folk Music.

Ciekawostką muzyki dawnej jest to, że nikt dokładnie nie wie, jak brzmiała. Dysputy na temat tego, jak dostroić klawesyn lub klawikord, stanowiły znaczną część tej dziedziny muzyki. Pytanie brzmiało: w jaki sposób Bach stroił swój klawesyn? I nikt tego nie wiedział. Ludzie spierali się o to, co Johann Sebastian miał na myśli przez *wohltemperirt*. Stroili instrumenty w prawdopodobny z historycznego punktu widzenia sposób i studiowali ręcznie rysowane schematy na stronach tytułowych różnych kompozycji Bacha.

Rodney zamierzał rozstrzygnąć tę kwestię w swojej rozprawie. Pragnął raz na zawsze zdecydować, jak dokładnie Bach stroił klawesyn i jak w tamtych czasach brzmiała jego muzyka, a zatem jak powinna być teraz grana. W tym celu musiał pojechać do Niemiec. Dokładnie rzecz biorąc, musiał udać się do wschodnich Niemiec (do Lipska), żeby zbadać tam autentyczny klawesyn, na którym Bach komponował i na którego klawiaturze (jak mówiono) Mistrz zapisał preferowane przez siebie oznaczenia. Jesienią 1987 roku, korzystając ze stypendium doktoranckiego – a także z Rebeccą korzystającą ze *Stiftung* na Freie Universität – Rodney wyruszył do Berlina Zachodniego. Mieszkali w okolicy Savignyplatz, w podnajmowanym dwupokojowym mieszkaniu, z prysznicem, z którego korzystało się na siedząco, i z sedesem z półką. Najemcą był pochodzący z Montany facet o imieniu Frank, który przyjechał do Berlina, żeby budować dekoracje do eksperymentalnego teatru. Z mieszkania korzystał też wcześniej pewien żonaty profesor, żeby zabawiać się ze swoimi dziewczynami. W łóżku z flanelową pościelą, w którym kochali się Rebecca i Rodney, napotykali przeróżne włosy łonowe. W małej kuchence pozostała maszynka do golenia profesora. Ich kał lądował na półce europejskiego sedesu, piętząc się wysoko i sucho, gotowy do skontrolowania. Nie znieśliby tego, gdyby nie mieli po dwadzieścia sześć lat, nie byli biedni i zakochani. Rodney i Rebecca wyprali prześcieradła i powiesili je na balkonie, żeby wyschły. Przyzwyczaili się do nędznej wanny. Nadal narzekali na tę półkę w sedesie, budzącą w nich absolutne obrzydzenie.

Berlin Zachodni bardzo odbiegał od oczekiwań Rodneya. Nie miał nic wspólnego z muzyką dawną. Berlin Zachodni okazał się całkowicie irracjonalny i niematematyczny, wcale nie był sztywny, tylko wyluzowany. Żyło tam mnóstwo wojennych wdów, dekowników, skłotersów, anarchistów. Rodney nie lubił dymu z papierosów. Po piwie miał wzdęcia. Uciekał więc, kiedy tylko mógł, do Philharmonie lub Deutsche Oper.

Rebecca radziła sobie lepiej. Zaprzyjaźniła się z mieszkającymi piętro wyżej ludźmi z *Wohngemeinschaft*. Sześcioro młodych Niemców, noszących maoistyczne buty z miękką podeszwą albo bransoletki na kostce czy ironiczne monokle, zrzucało się wspólnie na życie, wymieniało się partnerami i gardłowymi głosami toczyło dyskusje na temat zastosowania etyki kantowskiej do sporów między użytkownikami dróg. Co kilka miesięcy jedno z nich znikało w Tunezji czy w Indiach albo wracało do Hamburga, żeby podjąć pracę w rodzinnej firmie eksportowej. Na prośbę Rebekki Rodney uprzejmie uczestniczył w ich imprezach, ale w tym towarzystwie czuł się zawsze zbyt wyszorowany, zbyt apolityczny, zbyt niefrasobliwie amerykański.

W październiku, kiedy Rodney pojechał do ambasady NRD, żeby odebrać wizę studencką, powiedziano mu, że jego wniosek został odrzucony. Przekazujący mu tę wiadomość drugorzędny dyplomata nie był funkcjonariuszem bloku wschodniego, tylko sprawiającym wrażenie życzliwego zdenerwowanym łysiejącym mężczyzną, któremu chyba naprawdę było przykro. Powiedział, że pochodzi z Lipska i jako dziecko uczęszczał do Thomaskirche, gdzie Bach był dyrektorem chóru i dyrektorem muzycznym. Rodney zwrócił się do ambasady amerykańskiej w Bonn, ale ta nie była w stanie mu pomóc. W przypływie rozpaczyny zadzwonił do swojego promotora, profesora Breskina z Chicago, który właśnie się rozwodził i nie okazał mu ani krztyny współczucia. Sardonicznie spytał: „Masz jakieś inne pomysły na pracę doktorską?”.

Rosnące wzdłuż Ku'damm lipy zrzuciły liście. Zdaniem Rodneya liście nie były jeszcze dostatecznie pomarańczowe, dostatecznie czerwone, żeby umierać. Ale tak właśnie miała się jesień w Prusach. Zima też nigdy nie mogła być tam prawdziwą zimą: deszcz, szare niebo, niewielkie opady śniegu – tylko wilgoć, która przenikała Rodneya do szpiku kości, gdy szedł z jednego kościelnego koncertu na drugi kościelny koncert. Pozostało mu sześć miesięcy w Berlinie, a on nie miał pojęcia, czym je wypełnić.

I wtedy, wczesną wiosną, wydarzyło się coś wspaniałego. Lisa Turner, attaché kulturalna w ambasadzie amerykańskiej, zaprosiła Rodneya na trasę koncertową po Niemczech, podczas której miał grać Bacha w ramach programu *Deutsche-Amerikanische Freundschaft*. Przez półtora miesiąca Rodney podróżował, głównie do małych miasteczek w Szwabii, Nadrenii Północnej-Westfalii i Bawarii, koncertując w lokalnych salach. Mieszkał w pokoikach hotelowych wielkości domku dla lalek, pełnych bibelotów z domku dla lalek; spał na pojedynczych łóżkach pod cudownie miękkimi kołdrami. Lisa Turner towarzyszyła mu, dbając o wszystkie potrzeby Rodneya i szczególną troską otaczając jego towarzysza podróży. Tym towarzyszem nie była Rebecca. Rebecca została w Berlinie, żeby napisać wstępną wersję pracy doktorskiej. Towarzyszem Rodneya był klawikord, wykonany przez Hassa w 1761 roku i – tak wówczas, jak i teraz – bezdyskusyjnie najpiękniejszy, najbardziej ekspresyjny i najbardziej wymagający klawikord, jakiego kiedykolwiek dotknęły drżące, uszczęśliwione dłonie Rodneya.

Rodney nie był sławny. Ale sławny był klawikord Hassa. W Monachium, przed koncertem w Rathausie, pojawiło się trzech fotografów z różnych gazet, żeby zrobić zdjęcie klawikordu. Rodney, prosty sługa, stał z tyłu.

Mimo że publiczność, która przychodziła oglądać Rodneya, nie była zbyt liczna, mimo że ta składająca się wyłącznie z emerytów publiczność miała nieodmiennie kamienne twarze od wielu lat wiernego znoszenia kultury wysokiej, mimo że piętnaście minut po rozpoczęciu dzieła Scheidemanna jedna trzecia słuchaczy spała z otwartymi ustami, jakby śpiewali lub wspólnie wznosili długą skargę, Rodneyowi to nie przeszkadzało. Zarabiał, a coś takiego nigdy wcześniej mu się nie przytrafiło. Sale, z takim optymizmem wynajmowane przez Lisę Turner, mogły pomieścić dwie lub trzy setki ludzi. Przy dwudziestu pięciu, szesnastu lub (w Heidelbergu) trzech słuchaczach Rodney miał wrażenie, że jest sam i że gra wyłącznie dla siebie. Starał się usłyszeć dźwięki, które Mistrz grał ponad dwieście lat wcześniej, uchwycić je w atmosferze tej chwili i je odtworzyć. Z jednej strony było to niczym przywracanie Bacha do życia, a z drugiej – jak cofanie się w czasie. I o tym właśnie myślał Rodney, grając w tych przepastnych, rozbrzmiewających echem salach.

Klawikord Hassa nie był tym tak zachwycony jak Rodney. Klawikord bardzo się skarżył. Nie chciał wracać do 1761 roku. Wykonał swoją pracę

i chciał odpocząć, przejść na emeryturę, podobnie jak zrobiła to już publiczność. Tangenty łamały się i trzeba było je naprawiać. Co wieczór padał martwy kolejny klawisz.

Mimo to muzyka dawna rozbrzmiewała: finezyjna, oparta na ciągłych zmianach i niezaprzeczalnie staroświecka, a Rodney, jej środek wyrazu, choć nie wirtuoz, balansował na taborecie. Klawiatura unosiła się i opadała, łomotała, a muzyka płynęła.

Wróciwszy pod koniec maja do Berlina, Rodney doszedł do wniosku, że stracił entuzjazm do muzykologii jako takiej. Nie był już pewien, czy w ogóle chce zostać nauczycielem akademickim. Zamiast starać się uzyskać tytuł doktora, rozważał możliwość zapisania się do Królewskiej Akademii Muzycznej w Londynie i kontynuowania kariery wykonawcy.

A tymczasem Berlin Zachodni rujnował i odmieniał Rebekkę. W tym otoczonym murem dotowanym półmieście można było odnieść wrażenie, że nikt nie ma pracy. Towarzysze z *Wohngemeinschaft* spędzali czas, opiekując się smutnymi pomarańczowymi drzewkami hodowanymi na betonowym balkonie. Pracując społecznie w teatrze Schwarzfahrer, Rebecca akompaniowała na instrumentach elektronicznych, częściowo w stylu zespołu Kraftwerk, częściowo w stylu Kurta Weilla, groteskowym scenicznym poczynaniom o antynuklearnej wymowie. Siedząc do późna w nocy, śpiąc zawsze do późnego ranka, nie dokonała zbyt wielu postępów w badaniach nad *Allgemeine Theorie der schönen Künste* Johanna Georga Sulzera w odniesieniu do teoretycznych koncepcji słuchania muzyki w osiemnastowiecznych Niemczech. A konkretnie, kiedy Rodneya nie było, Rebecce udało się napisać pięć stron.

Zarówno Rodney, jak i Rebecca spędzili wspólnie rok w Berlinie. W tym czasie jednak ich doktoranckie badania doprowadziły ich do nieuniknionego wniosku, że żadne z nich wcale nie chce być doktorem w żadnej dziedzinie.

Wrócili do Chicago i zaczęli błędzić bez wyraźnego celu. Rodney dołączył do zespołu dawnych instrumentów klawiszowych, który koncertował raz na jakiś czas. Rebecca zaczęła malować. Przeprowadzili się do Bucktown, a rok później na Logan Square. Ledwo im starczało na życie. Żyli jak Mysz Awangardowa.

W dniu czterdziestych urodzin Rodney zachorował na gripę. Wstał z łóżka z temperaturą trzydziestu dziewięciu stopni i czterech kresiek,

zadzwoił do szkoły, żeby odwołać lekcje, a potem wrócił do łóżka.

Po południu Rebecca i dziewczynki przyniosły niesamowicie wyglądający tort urodzinowy. Przez zaklejone powieki Rodney dostrzegł cytrynowy biszkopt pudła rezonansowego, marcepan klawiszy i czekoladową płytę nakrywy podtrzymywaną przez miętową podpórkę.

Prezenterem od Rebekki był bilet na samolot do Edynburga i zaliczka do sklepu muzycznego Muzyka dawna.

– Zrób to – powiedziała. – Po prostu to zrób. Potrzebujesz tego. Jakoś sobie poradzimy. Myszy zaczynają się sprzedawać.

To było trzy lata temu. Teraz zgromadzili się wokół kulawego kuchennego stołu z wyprzedaży, a Rebecca ostrzegła Rodneya:

– Nie odbieraj telefonu.

Bliźnięta jadły jak zwykle sam makaron. Dorośli, jako smakoświecki, jedli makaron z sosem.

– Dzwonili dziś sześć razy.

– Kto dzwonił? – zapytała Immy.

– Nikt – odpowiedziała Rebecca.

– Kobieta? – zapytał Rodney. – Darlene?

– Nie. Ktoś nowy. Mężczyzna.

To nie brzmiało dobrze. W tym momencie Darlene była już niemal członkiem rodziny. Biorąc pod uwagę wszystkie przysyłane przez nią pisane coraz śmielszym stylem listy i wszystkie telefony od niej, w których najpierw grzecznie prosiła o pieniądze, a potem domagała się pieniędzy, a wreszcie groziła, biorąc pod uwagę też to, że miała do tego nieustające prawo, Darlene można było uznać za siostrę alkoholicką lub uzależnioną od hazardu kuzynkę. Tyle że w tym wypadku to ona wypowiadała się z pozycji moralnych wyżyn. To nie Darlene była winna dwadzieścia siedem tysięcy dolarów, kwotę rosnącą z osiemnastoprocentowymi odsetkami.

Darlene dzwoniła z wnętrza plastra miodu biura obsługi klientów; w tle słyszeć było bzyczenie niezliczonych pszczoł robotnic. Ich zadanie polegało na zbieraniu pyłku kwiatowego. Trudziły się, bijąc skrzydełkami, a w razie potrzeby unosząc żądła. Będąc muzykiem, Rodney słyszał to wszystko w sposób bardzo dokuczliwy. Czasami udawało mu się odpłynąć gdzieś myślami i zapominał o wścieklej, ścigającej go pszczołce.

Darlene miała swoje sposoby na ponowne ściągnięcie jego uwagi. W przeciwieństwie do próbującego złapać klienta telemarketera nie popełniała błędów. Nie wymawiała źle nazwiska Rodneya ani nie myliła jego adresu – znała je na pamięć. Ponieważ łatwiej jest stawić opór osobie nieznajomej, Darlene przedstawiła się, kiedy zadzwoniła po raz pierwszy. Jasno wytłumaczyła swoją misję i wyraźnie dała do zrozumienia, że nie odejdzie, dopóki nie osiągnie celu.

Teraz odeszła.

– Mężczyzna? – zapytał Rodney.

Rebecca skinęła głową.

– Niezbyt miły mężczyzna.

Immy wymachiwała widelcem.

– Mówiłaś, że nikt nie dzwonił. Jak mężczyzna może być nikim?

– Miałem na myśli nikogo, kogo znasz, kochanie. Nikogo, kim musiałabyś się martwić.

W tym momencie zadzwonił telefon bezprzewodowy i Rebecca powiedziała:

– Nie odbieraj.

Rodney sięgnął po serwetkę (w rzeczywistości będącą papierowym ręcznikiem) i złożył ją na kolanach. Podniosłym tonem, z myślą o dziewczynkach, powiedział:

– Ludzie nie powinni dzwonić podczas kolacji. To niegrzeczne.

Przez pierwsze dwa lata Rodney wnosił opłaty na bieżąco. Ale potem zrezygnował z pracy w Old Town School of Folk Music i próbował uczyć na własną rękę. Uczniowie przychodzili bezpośrednio do jego mieszkania, gdzie udzielał lekcji gry na klawikordzie (było to idealne przygotowanie do fortepianu, jak tłumaczył ich rodzicom). Przez krótki czas Rodney zarabiał prawie dwa razy więcej niż uprzednio, ale niebawem uczniowie zaczęli rezygnować. Nikt nie lubił klawikordu. Miał dziwne brzmienie, mówiły dzieci. Na tym grać mogą tylko dziewczyny, stwierdził jeden z chłopców. Ogarnięty paniką Rodney zaczął wynajmować salę prób z fortepianem i tam udzielał lekcji, ale wkrótce zarabiał mniej niż w Old Town. To właśnie wtedy zrezygnował z zawodu nauczyciela muzyki i podjął obecną pracę, w której zajmuje się prowadzeniem dokumentacji pacjentów w prywatnej kasie chorych.

W tym czasie jednak zalegał już z ratami na rzecz sklepu Muzyka dawna. Oprocentowanie wzrosło, a następnie (zapis drobnym drukiem w umowie kredytowej) wzrastało w zawrotnym tempie. A potem nie był już w stanie spłacić zaległości.

Darlene groziła mu przejęciem komorniczym, ale na razie do tego nie doszło. Dlatego też Rodney nadal grał na klawikordzie piętnaście minut rano i piętnaście minut wieczorem.

– Ale mam też dobrą wiadomość – powiedziała Rebecca, gdy telefon przestał dzwonić. – Od dziś mam nowego klienta.

– Wspaniale. Kogo?

– Sklep papierniczy w Des Plaines.

– Ile myszy chcą?

– Dwadzieścia. Na początek.

Rodney, który potrafił odróżnić 1/6 komatu kwinty bachowskiego stroju (F-C-G-D-A-E) od czystej kwinty (E-H-F#-C#) i diabelskiej 1/12 komatu kwinty (C#-G#-D#-A#), bez trudu wykonał w pamięci następujące obliczenia: każdą Ciepluszkę sprzedawano za piętnaście dolarów. Rebecca miała z tego czterdzieści procent. To dawało sześć dolarów za mysz. Ponieważ produkcja jednej myszy kosztowała około trzech i pół dolara, zysk na jednej myszy wynosił dwa i pół dolara. Po przemnożeniu przez dwadzieścia dawało to pięćdziesiąt dolarów.

Dokonał kolejnego obliczenia: po podzieleniu dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów przez dwa i pół dolara wyszło mu dziesięć tysięcy osiemset dolarów. Sklep papierniczy chciał dwadzieścia myszy na początek. Rebecca musiałaby sprzedać ponad dziesięć tysięcy, żeby udało się spłacić klawikord.

Przygasłymi oczami Rodney spojrzał na żonę siedzącą po drugiej stronie stołu.

Na świecie było mnóstwo kobiet, które miały prawdziwą pracę. A tak się po prostu złożyło, że Rebecca nie była jedną z nich. Ale czymkolwiek by się kobieta dzisiaj zajmowała, nazywano to pracą. Jeśli mężczyzna zszywał wypchane myszy, w najlepszym wypadku uważano go za kogoś, kto nie potrafi zapewnić rodzinie godnego życia, a w najgorszym za nieudacznika. Natomiast kobieta z tytułem magistra i niemal doktoratem z muzykologii, która ręcznie zszywała wkładane do mikrofali słodko pachnące gryzonie,

była obecnie uważana (zwłaszcza przez jej zamężne koleżanki) za przedsiębiorcę.

Oczywiście z powodu swojej „pracy” Rebecca nie mogła przez cały dzień zajmować się bliźniaczkami. Musieli wynająć opiekunkę, której cotygodniowe wynagrodzenie wynosiło więcej niż Rebecca była w stanie zarobić na sprzedaży Myszek Ciepłuszek (dlatego też udawało im się tylko w minimalnym stopniu spłacać swoje karty kredytowe, zaciągając coraz większy dług). Rebecca wielokrotnie proponowała, że da sobie spokój z myszami i podejmie jakąś pracę, za którą dostanie stałą pensję. Ale Rodney, który sam dobrze wiedział, co to znaczy kochać coś bezużytecznego, zawsze powtarzał: „Poczekaj jeszcze kilka lat”.

Dlaczego to, czym zajmował się Rodney, nazywało się pracą, a to, co robiła Rebecca, nie było pracą? Przede wszystkim Rodney zarabiał pieniądze. Po drugie, musiał naginać osobowość, żeby dostosować się do wymagań pracodawcy. Po trzecie, to zajęcie mu się nie podobało. Oczywiście oznaka, że to właśnie praca.

– Pięćdziesiąt dolarów – powiedział.

– Co?

– Taki jest zysk na dwudziestu myszach. Przed opodatkowaniem.

– Pięćdziesiąt dolarów! – zawołała Tallulah. – To dużo!

– To tylko jeden klient – powiedziała Rebecca.

Rodney miał ochotę zapytać, ile klientów ma w sumie. Miał ochotę poprosić o comiesięczny raport zobowiązań i należności. Był przekonany, że Rebecca ma gdzieś nagryzmolone na kopercie szczegółowe informacje finansowe. Ale nic nie powiedział, ze względu na obecność dziewczynek. Po prostu wstał i zaczął sprzątać ze stołu.

– Muszę pozmywać naczynia – powiedział, jakby to miała być istotna wiadomość.

Rebecca zagoniła dziewczynki do salonu i posadziła je przed wynajętym odtwarzaczem DVD. Zazwyczaj wykorzystywała pół godziny po kolacji na dzwonienie do swoich dostawców w Chinach, gdzie był już jutrzejszy poranek, lub żeby zatelefonować do cierpiącej na rwę kulszową matki. Zostawszy sam przy zlewie, Rodney szorował talerze i płukał pokryte kefirem szklanki. Karmił młynek do rozdrabniania odpadków, przyczajony w swojej jamie niczym smok. Prawdziwy muzyk miałby ubezpieczone ręce.

A jakie miałyoby to znaczenie, gdyby Rodney wetknął palce prosto w odpływ, w wirujące tam ostrza?

Najrozsądniej byłoby najpierw wykupić ubezpieczenie, a dopiero potem wsadzić rękę do młynka. W ten sposób mógł spłacić klawikord i co wieczór siedzieć przy nim, grając zabandażowanym kikutem.

Może gdyby został w Berlinie, gdyby zapisał się do Królewskiej Akademii Muzycznej, gdyby nie ożenił się i nie miał dzieci, Rodney grałby nadal. Może byłby znanym na całym świecie wykonawcą, takim jak Menno van Delft czy Pierre Goy.

Otworzywszy zmywarę, Rodney zobaczył, że jest pełna stojącej wody. Rura odpływowa została zainstalowana nieprawidłowo; właściciel mieszkania obiecał to naprawić, ale tego nie zrobił. Rodney wpatrywał się przez chwilę w rdzawą wodę, jakby był hydraulikiem i wiedział, co robić, aż w końcu napełnił pojemnik na płyn, zamknął drzwiczki i włączył zmywarę.

Kiedy wszedł do salonu, nie znalazł tam już nikogo. W telewizorze odtwarzany był ekran kontrolny DVD, w kółko powtarzał się muzyczny motyw przewodni. Rodney wyłączył odtwarzacz. Wyszedł do przedpokoju i ruszył w kierunku sypialń. Wanna się napełniała i słyszał głos Rebekki, która zachęcała bliźniaczki do wejścia do wody. Nasłuchiwał głosów córek. To była nowa muzyka, chciał jej posłuchać choćby przez minutę, ale woda była zbyt głośna.

W te wieczory, w które Rebecca kąpała dziewczynki, zadaniem Rodneya było czytanie im bajki na dobranoc. Idąc teraz przedpokojem do pokoju bliźniaczek, dotarł do biura Rebekki. I zrobił tam coś, czego normalnie nie robił – zatrzymał się. Na ogół przechodząc obok biura Rebekki, Rodney miał zwyczaj wpatrywać się w podłogę. Dla jego równowagi emocjonalnej lepiej było, żeby nie widział, co się tam działo, cokolwiek by to było. Ale tej nocy odwrócił się i popatrzył na drzwi. A potem, uniósłszy tę swoją nieubezpieczoną prawą rękę, je otworzył.

Od ściany naprzeciwko, gromadząc się wokół długich stołów roboczych i piętrząc po uderzeniach w maszynę do szycia, po podłodze spływały w formie wielkiej tratwy bele materiału w pastelowych kolorach. Utworzony zator niósł ze sobą szpule wstążek, podziurawione worki z perfumowanymi granulkami, ozdobne szpilki, guziki. Balansując na kłodach, niektóre w zawadiackiej postawie drwali, inne przerażone

i trzymające się kurczowo jak ofiary powodzi, cztery odmiany Ciepluszek płynęły w kierunku wodospadu rynku.

Rodney wpatrywał się w ich małe pyszczki, patrzące z budzącym litość błaganiem lub galanterią. Wpatrywał się w nie do momentu, kiedy nie mógł już znieść tego widoku, czyli około dziesięciu sekund. Odwrócił się i poszedł w ciężkich butach z powrotem w głąb przedpokoju. Minąwszy łazienkę, przy której się nie zatrzymał, żeby posłuchać głosów Immy i Luli, ruszył dalej do sali muzycznej i zamknął za sobą drzwi. Po zajęciu miejsca przy klawikordzie, wziął głęboki oddech i zaczął grać jedną z partii duetu Es-dur na instrumenty klawiszowe Müthela.

To nie był łatwy utwór. Johann Gottfried Müthel, ostatni uczeń Bacha, nie należał do kompozytorów łatwych do grania. Studiował u Bacha tylko przez trzy miesiące. A potem pojechał do Rygi i tam zniknął w bałtyckim zmierzchu swojego geniuszu. Prawie nikt już nie wiedział, kim był Müthel. Z wyjątkiem klawikordzistów. Dla klawikordzistów granie Müthela było szczytowym osiągnięciem.

Rodney dobrze zaczął.

Po dziesięciu minutach grania duetu w drzwiach pojawiła się głowa Rebekki.

– Dziewczynki czekają na bajkę – powiedziała.

Rodney nie przerywał gry.

Rebecca powtórzyła to głośniejszym głosem i Rodney przestał grać.

– Ty to zrób – powiedział.

– Muszę zadzwonić w parę miejsc.

Prawą ręką Rodney grał gamę Es-dur.

– Ćwiczę – stwierdził. Wpatrywał się w swoją dłoń, jakby był uczniem po raz pierwszy ćwiczącym gamy, i nie oderwał od niej wzroku, dopóki Rebecca nie cofnęła głowy. Następnie Rodney wstał i niemal zatrzęsł drzwi. Wrócił do klawikordu i zaczął utwór od początku.

Müthel nie napisał zbyt wiele. Komponował tylko wtedy, gdy natchnienie go natchnienie. Podobnie jak Rodney. Rodney grał tylko wtedy, gdy natchnienie go natchnienie.

Naszło go teraz, dziś wieczorem. Przez następne dwie godziny Rodney grał w kółko utwór Müthela.

Grał dobrze, z dużym wyczuciem. Ale popełniał też błędy. Nie ustawał jednak. A potem, żeby poprawić sobie humor, zagrał na zakończenie

francuską suitę d-moll Bacha, utwór, który grał od lat i znał na pamięć.

Wkrótce poczerwieniał i się spocił. Odczuwał ogromną przyjemność, znowu grając z taką koncentracją i wigorem, a kiedy w końcu przestał, wśród nut wciąż rozbrzmiewających mu w uszach niczym dzwonki i odbijających się od niskiego sufitu pokoju, Rodney opuścił głowę i zamknął oczy. Wspominał tamte półtora miesiąca, kiedy miał dwadzieścia sześć lat, kiedy grał w ekstazie i niewidzialnie w pustych zachodnioniemieckich salach koncertowych. Stojący na biurku za nim telefon zadzwonił, więc Rodney obrócił się i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Dobry wieczór, czy rozmawiam z Rodneyem Webberem?

Rodney zrozumiał swój błąd.

Jednak odpowiedział:

– Tak, to ja.

– Nazywam się James Norris i dzwonię z Reeves Collection. Wiem, że zna pan naszą instytucję.

Jeśli odłożyło się słuchawkę, dzwonili ponownie. Jeśli zmieniło się numer telefonu, zawsze zdobywali ten nowy. Jedynej nadziei można było szukać w zawarciu jakiejś ugody, graniu na zwłokę, złożeniu obietnicy i zyskaniu na czasie.

– Niestety muszę przyznać, że dobrze znam waszą instytucję. – Rodney starał się mówić odpowiednim tonem, lekkim, ale nie beztroskim czy niegrzecznym.

– Uprzednio, o ile wiem, miał pan do czynienia z panią Darlene Jackson. To ona była wyznaczona do zajmowania się pańską sprawą. Aż do dziś. Obecnie ja jestem za to odpowiedzialny i mam nadzieję, że coś wspólnie wymyślimy.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedział Rodney.

– Panie Webber, wkraczam w momencie, kiedy sprawy się komplikują, i staram się je uprościć. Z tego co widzę, pani Jackson proponowała panu różne plany płatności.

– W grudniu wpłaciłem tysiąc dolarów.

– Tak, to prawda. I to był początek. Ale według naszych danych zgodził się pan wpłacić dwa tysiące.

– Nie mogłem zebrać tak dużo. Były święta Bożego Narodzenia.

– Panie Webber, nie komplikujmy sprawy. Już ponad rok temu przestał pan regulować należności wobec naszego klienta, sklepu Muzyka dawna. I chyba Boże Narodzenie nie ma z tym wiele wspólnego, prawda?

Rodney nie lubił rozmów z Darlene. Ale teraz zorientował się, że Darlene była równie rozsądna, elastyczna, jak ten cały James był nierozsądny i nieelastyczny. W głosie Jamesa może nie wyczuwało się groźby, a raczej jakąś zatwardziałość – kamienny mur głosu.

– Zalega pan z płatnościami za instrument muzyczny, prawda? Co to za instrument?

– Klawikord.

– Nie znam takiego instrumentu.

– Zdziwiłbym się, gdyby pan znał.

Mężczyzna zachichotał, nie obrażając się jednak.

– Na moje szczęście, wykonuję pracę, która nie polega na znajomości starodawnych instrumentów.

– Klawikord jest pierwowzorem fortepianu – powiedział Rodney. – Tylko że gra się na nim za pomocą tangentów, a nie młoteczków. Mój klawikord...

– I chyba sam pan widzi, panie Webber? Tu tkwi błąd. On nie jest pański. Instrument nadal należy do sklepu Muzyka dawna z Edynburga. Pan go tylko dzierżawi. Dopóki pan nie spłaci tej pożyczki.

– Sądziłem, że może zainteresuje pana pochodzenie instrumentu – odparł Rodney. Jak to się stało, że zaczął mówić w tym stylu, tak górnolotnym? To proste: chciał tylko pokazać temu całemu Jamesowi Norrisowi z Reeves Collection, gdzie jego miejsce. Następnie Rodney usłyszał, jak wypowiada kolejne słowa: – To kopia, zbudowana przez Verwolfa, w stylu klawikordu stworzonego w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku przez człowieka o nazwisku Bodechtel.

– Pan pozwoli, że przejdę do konkretów – powiedział James.

Ale Rodney mu na to nie pozwolił.

– Tym się właśnie zajmuję – powiedział Rodney, głosem ściśniętym i pełnym napięcia, jakby przestrojonym. – Tym się zajmuję. Jestem klawikordzistą. Potrzebuję instrumentu, żeby zarabiać na życie. Jeśli mi go zabierzecie, nigdy nie będę w stanie was spłacić. Ani zapłacić sklepowi Muzyka dawna.

– Możesz pan zatrzymać klawikord. Z przyjemnością pozwolę panu go zatrzymać. Musi pan jedynie za niego zapłacić, w całości, do jutra, do piątej po południu, czekiem potwierdzonym lub przelewem z pańskiego banku, i może pan sobie dalej grać na klawikordzie, ile tylko będzie pan chciał.

Śmiech Rodneya brzmiał gorczą.

– Tego oczywiście nie mogę zrobić.

– W takim razie niestety jutro o piątej po południu będziemy zmuszeni pojawić się i przejąć instrument.

– Nie uzbieram do jutra tak wielkiej sumy.

– To już koniec, panie Rodney.

– Musi być jakiś sposób...

– Jest tylko jeden sposób, panie Rodney. Płatność w całości.

Nieporadnie, z wściekłością, ręką jak cegła próbująca rzucić cegłą, Rodney trzasnął telefonem.

Przez chwilę się nie ruszał. Potem odwrócił się i położył dłonie na klawikordzie.

Może starał się wyczuć bicie serca. Przesunął palcami po złotych zdobieniach i po powierzchni lodowatych klawiszy. Nie był to najpiękniejszy czy najdoskonalszy klawikord, na jakim zdarzyło mu się w życiu grać. Nie mógł równać się z Hassem, ale był jego – albo raczej kiedyś był – i był dostatecznie piękny, a do tego brzmiał dostatecznie zachwycająco. Nigdy by go nie miał, gdyby Rebecca nie wysłała Rodneya do Edynburga. Nigdy by się nie dowiedział, jak bardzo był wówczas przygnębiony ani też jak go uszczęśliwiał, przynajmniej przez pewien czas, ten klawikord.

Jego prawa ręka znów grała utwór Müthela.

Rodney zdawał sobie sprawę, że nigdy nie był wybitnym muzykologiem. W najlepszym razie był miernym, choć szczerym wykonawcą. Ćwicząc po piętnaście minut rano i wieczorem, nie mógł udoskonalić swojej gry.

Zawód klawikordzisty zawsze wydawał się nieco żałosny. Rodney o tym wiedział. Ale Müthel w jego wykonaniu, przy tych wszystkich błędach i całej reszcie niedociągnięć, nadal wydawał się piękny, może właśnie ze względu na swoją archaiczność. Rodney grał przez kolejną minutę. Potem położył dłonie na ciepłym drewnie klawikordu i pochyliwszy się, wpatrywał w malowany ogród pod nakrywą.

Było już po dziesiątej, kiedy wyszedł z sali muzycznej. W mieszkaniu było cicho i ciemno. Wchodząc do sypialni, Rodney nie zapalił światła, nie chcąc budzić Rebekki. Rozebrał się w ciemności, po omacku szukając wieszaka w szafie.

Powłócząc nogami, przeszedł w bieliźnie na swoją stronę łóżka i wgramolił się na nie. Wsparty na łokciu pochylił się, żeby sprawdzić, czy Rebecca nie śpi. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jej strona łóżka jest pusta. Rebecca wciąż była w biurze, wciąż pracowała.

Rodney opadł na plecy. Leżał nieruchomo. Pod nim, gdzieś w niewłaściwym miejscu, znajdowała się poduszka, ale nie miał siły, żeby się przewrócić i ją wyciągnąć.

Jego sytuacja nie różniła się specjalnie od położenia innych osób. Po prostu trochę wcześniej dotarł do końca drogi. Ale tak samo było z gwiazdami rocka i muzykami jazzowymi, z powieściopisarzami i poetami (szczególnie z poetami); to samo dotyczyło biznesmenów, biologów, programistów komputerowych, księgowych, florystów. Artysta czy nieartysta, pracownik akademicki czy nieakademicki, czy to Menno van Delft, czy Rodney Webber, nawet Darlene i James z Reeves Collection Agency – to nie miało znaczenia. Nikt nie wiedział, jak brzmiała oryginalna muzyka. Można było tylko się tego domyślać na podstawie posiadanych informacji, a potem starać się ze wszystkich sił. Bo cokolwiek było twoim instrumentem, nie istniał żaden bezdyskusyjny strój lub odrębny schemat, a wizy, potrzebnej, żeby zobaczyć klawiaturę Mistrza, nigdy nie przyznawano. Czasami, zwłaszcza w młodości, wydawało ci się, że słyszysz muzykę, a potem spędzałeś resztę życia, próbując odtworzyć ten dźwięk.

Każde życie to muzyka dawna.

Wciąż jeszcze nie spał, kiedy pół godziny później weszła Rebecca.

– Czy mogę zapalić światło? – zapytała.

– Nie – odrzekł Rodney.

Zatrzymała się i powiedziała:

– Długo ćwiczyłeś.

– Ćwiczenie czyni mistrza.

– Kto dzwonił? Ktoś dzwonił.

Rodney nie odpowiedział.

– Nie odebrałeś, prawda? Ostatnio dzwonią coraz później.

– Ćwiczyłem. Nie odebrałem.

Rebecca usiadła na skraju łóżka. Rzuciła coś w kierunku Rodneya. Podniósł rzucony przedmiot i spojrzał na niego spod zmrużonych powiek. Beret, rozszczęp podniebienia. Mysz Awangardowa.

– Zamierzam dać sobie z tym spokój – powiedziała Rebecca.

– Z czym?

– Z myszami. Rezygnuję. – Wstała i zaczęła się rozbierać, rzucając ubranie na podłogę. – Powinnam była zrobić doktorat. Mogłam być profesorem muzykologii. A teraz jestem tylko Mamusią. Mamusia, Mamusia, Mamusia. Mamusia, która robi wypchane zwierzęta. – Weszła do łazienki. Rodney słyszał, jak myje zęby i twarz. Wróciła do sypialni i położyła się do łóżka.

Po długiej chwili ciszy Rodney się odezwał:

– Nie możesz zrezygnować.

– Dlaczego nie? Zawsze tego chciałaś.

– Zmieniłem zdanie.

– Czemu?

Rodney przełknął ślinę.

– Te myszy są naszą jedyną nadzieją.

– Wiesz, co robiłam dziś wieczorem? – zapytała Rebecca. – Najpierw wyjęłam mysz z kosza na śmieci. Potem sprułam szwy i wyjęłam piżmowe granulki. A potem napełniłam mysz cynamonowymi granulkami i zszyłam z powrotem. Na tym spędziłam wieczór.

Rodney przysunął mysz do nosa.

– Ładnie pachnie – stwierdził. – Tym myszom pisana jest wielkość. Dzięki tobie zarobimy milion dolarów.

– Jeśli zarobię milion dolarów – powiedziała Rebecca – spłacę twój klawikord.

– Umowa stoi – odparł Rodney.

– I będziesz mógł zrezygnować z pracy i zająć się wyłącznie graniem muzyki. – Przewróciła się na bok i pocałowała go w policzek, po czym odwróciła się z powrotem i poprawiała poduszki i koce.

Rodney trzymał wypchaną mysz na nosie, wdychając jej pikantny aromat. Nie przestawał jej wąchać, nawet gdy Rebecca już zasnęła. Gdyby w pobliżu była kuchenka mikrofalowa, Rodney pobudziłby Mysz Awangardową, żeby odtworzyć jej bukiet. Ale kuchenka mikrofalowa stała

na końcu przedpokoju, w obskurnej kuchni, więc po prostu leżał, wachając
mysz, która była już zimna i prawie bezwonna.

2005

Apartamenty

Ojciec oprowadza mnie po swoim nowym motelu. Po wszystkich jego objaśnieniach nie powinienem nazywać tego motelem, nadal to jednak robię. Jak mówi ojciec, to jest, a raczej będzie, kurort działający na zasadach *timeshare*. Kiedy wraz z nim i matką chodzimy po ciemnym korytarzu (część żarówek się spaliła), ojciec informuje mnie o ostatnich usprawnieniach.

– Robimy nowy taras z widokiem na ocean – mówi. – Miałem tu architekta krajobrazu, ale chciał kupę forsy. Postanowiłem więc sam to zaprojektować.

Większość apartamentów nie została jeszcze wyremontowana. Budynek był zupełnie zdewastowany, kiedy mój ojciec pożyczał pieniądze na jego zakup, a z tego co mówi mi matka, obecnie wygląda już dużo lepiej. Po pierwsze, odmalowali go i położyli nowy dach. W każdym pokoju będzie zainstalowana kuchnia. Ale obecnie zajętych jest tylko kilka pokoi. Niektóre apartamenty nie mają nawet drzwi. Przechodząc, widzę plandeki malarskie i leżące na podłodze popsute klimatyzatory. Przesięknięte wodą wykładziny odrywają się od podłogi przy ścianach pokoi. W niektórych ścianach widnieją dziury wielkości pięści, pozostałość po przyjeżdżających tu na wiosnę dzieciakach z college’u. Ojciec zamierza położyć nowe wykładziny i nie wynajmować pokoi studentom.

– A jeśli się zgodzę – mówi – zażądam wysokiej kaucji, jakichś trzystu dolarów. I zatrudnię ochroniarza na kilka tygodni. W każdym razie chodzi o to, żeby było tu bardziej ekskluzywnie. Chromolić młodzież z college’u.

Kierownik ekipy remontowej nazywa się Buddy. Ojciec spotkał go przy autostradzie, gdzie rano ustawiają się pracownicy dniówkowi. To mały facet o czerwonej twarzy, który za swoją pracę bierze pięć dolarów na godzinę.

– Tutaj, na Florydzie, płace są dużo niższe – tłumaczy mi ojciec.

Matka jest zaskoczona, jak silny jest Buddy, zważywszy na jego wzrost. Właśnie wczoraj widziała, jak niósł stertę pustaków do kontenera na odpadki.

– To taki mały Herkules – mówi.

Dochodzimy do końca korytarza i wkraczamy na klatkę schodową. Kiedy chwytam za aluminiową poręcz, czuję, że prawie wypada ze ściany. Wszystkie domy na Florydzie mają takie same ściany.

– Co to za zapach? – pytam.

Wspinający się nade mną zgarbiony ojciec nie odpowiada.

– Czy sprawdziłeś grunt, zanim kupiłeś to miejsce? – pytam. – Może ten dom zbudowano na toksycznym wysypisku.

– To Floryda – mówi matka. – Tak tu pachnie.

Cienki zielony chodnik u szczytu schodów biegnie w dół kolejnego zaciemnionego korytarza. Ojciec prowadzi, a w tym czasie matka mnie szturcha i zauważam to, o czym mówiła: ojciec idzie przekrzywiony, żeby złagodzić ból kręgosłupa. Stara się go namówić, żeby poszedł do lekarza, ale on się nie zgadza. Co jakiś czas kręgosłup odmawia mu posłuszeństwa i ojciec spędza cały dzień, mocząc się w wannie (w pokoju 308, gdzie moi rodzice tymczasowo mieszkają). Przechodzimy obok wózka pokojówki, załadowanego płynami czyszczącymi, mopami i mokrymi szmatami. Pokojówka stoi w otwartych drzwiach, bacznie się przyglądając; to duża czarnoskóra kobieta w dżinsach i fartuchu. Ojciec się do niej nie odzywa. Mama wita się z nią radośnie, a pokojówka kiwa głową w odpowiedzi.

W połowie korytarza jest wyjście na mały balkon. Gdy tylko na niego wchodzimy, ojciec oznajmia:

– Patrzcie tylko!

Myślę, że mówi o oceanie, który widzę po raz pierwszy – wzburzone, wznoszące się fale są szare – ale zaraz przypominam sobie, że ojciec nigdy nie zwraca uwagi na krajobraz. Ma na myśli taras. Wyłożony czerwonymi płytkami, z niebieskim basenem, białymi leżakami i dwiema palmami, taras wygląda tak, jakby stanowił część prawdziwego nadmorskiego kurortu. Jest pusto, ale przez moment zaczynam widzieć to wszystko oczami ojca – jako rojne i odnowione rentowne przedsiębiorstwo. Na dole pojawia się Buddy z puszką farby w ręce.

– Hej, Buddy – woła z góry mój ojciec – tamto drzewo dalej jakoś marnie wygląda. Sprawdziłeś to?

– Posłałem tam faceta.

– Niedobrze by było, gdyby zwiędło.

– Ten facet właśnie poszedł mu się przyjrzeć.

Patrzymy na drzewo. Ojciec mówi, że wyższe palmy były zbyt drogie.

- A to inna odmiana.
- Podobają mi się te wielkie – mówię.
- Palmy królewskie? Takie ci się podobają? Cóż, później, jak rozkręcimy interes, posadzimy ich tu kilka.
- Przez chwilę nic nie mówimy, spoglądając na taras i fioletowe morze.
- To wszystko zostanie wyremontowane, a my zarobimy milion dolarów! – odzywa się matka.
- Odpukać w niemalowane drewno – mówi ojciec.

Pięć lat temu mój ojciec rzeczywiście zarobił milion. Właśnie skończył sześćdziesiątkę i po spędzeniu całego życia w bankowości hipotecznej rozpoczął własną działalność gospodarczą. Kupił budynek z mieszkaniami własnościowymi w Fort Lauderdale, odsprzedał go i dużo na tym zarobił. Potem zrobił to samo w Miami. W tym momencie miał już dość pieniędzy na spokojną emeryturę, ale nie chciał iść na emeryturę. Zamiast tego kupił nowego cadillaca i piętnastometrową łódź motorową. Nabył też dwusilnikowy samolot i nauczył się latać. A potem latał po całym kraju i kupował nieruchomości, poleciał do Kalifornii, na Bahamy, przez ocean. Sam był sobie szefem, a to poprawiało mu humor. Później los się odwrócił. Jedno z jego przedsięwzięć w Karolinie Północnej, ośrodek narciarski, zbankrutowało. Okazało się, że jego partner zdefraudował sto tysięcy dolarów. Ojciec musiał podać go do sądu, a to wiązało się z kolejnymi wydatkami. Tymczasem instytucja oszczędnościowo-kredytowa pozwała mojego ojca za wciskanie im niespłaconych hipotek. Pojawiły się kolejne opłaty prawne. Milion dolarów szybko się kończył i w miarę jak pieniądze zaczęły znikać, ojciec chwycił się różnych pomysłów, żeby je odzyskać. Kupił firmę produkującą „domy z prefabrykatów”. Można je porównać do przyczep kempingowych, w których ludzie mieszkają na stałe, jak mi powiedział, tyle że są solidniejsze. Można je było stawiać w dowolnym miejscu i wyglądały jak prawdziwe domy. W obecnej sytuacji ekonomicznej ludzie potrzebowali tanich mieszkań. Prefabrykowane domy sprzedawały się jak ciepłe bułeczki.

Ojciec zabrał mnie na oglądanie pierwszego wybudowanego domu. To było dwa lata temu, podczas świąt Bożego Narodzenia, kiedy moi rodzice mieli jeszcze mieszkanie własnościowe. Właśnie skończyliśmy otwierać

prezenty i ojciec powiedział, że chce zabrać mnie na małą przejażdżkę. Wkrótce znaleźliśmy się na autostradzie. Opuściliśmy znaną mi część Florydy, Florydę plaż, wieżowców i rozwiniętego społeczeństwa, i wjechaliśmy w biedniejszą, bardziej wiejską okolicę. Z miejscowych drzew zwisała oplątwa brodaczkowata, a niepomalowane domy były zbudowane z drewna. Podróż trwała około dwóch godzin. W końcu ujrzelśmy w oddali cebulowaty kształt wieży ciśnień z wymalowaną nazwą OCALA. Wjechaliśmy do miasta, po czym, minawszy rzędy schludnych domów, dotarliśmy do jego końca i pojechaliśmy dalej.

– Chyba mówiłeś, że to w Ocala – powiedziałem.

– To trochę dalej – odparł ojciec.

Ponownie zaczęły się tereny wiejskie. Wjechaliśmy w nie. Po mniej więcej dwudziestu pięciu kilometrach dotarliśmy do gruntowej drogi wiodącej na otwarte, pozbawione trawy pole, na którym nie rosły żadne drzewa. W pobliżu jego krańca, na błotnistym terenie, stał dom z prefabrykatów.

Rzeczywiście nie wyglądał jak przyczepa kempingowa. Nie był ani długi, ani wąski, tylko prostokątny i dość szeroki. Skonstruowano go z trzech lub czterech skreślonych ze sobą elementów, a następnie na górze umieszczono tradycyjny dach. Wysiedliśmy z samochodu i przeszliśmy po ceglach, żeby podejść bliżej. Powiat właśnie teraz podłączał tę okolicę do kanalizacji i ziemia przed domem – podwórze, jak nazwał to mój ojciec – była rozkopana. W błocie przed domem zasadzono trzy małe krzewy. Ojciec przyjrzał się im, po czym machnął ręką w stronę pola.

– To wszystko obsiejemy trawą – powiedział.

Drzwi frontowe znajdowały się pół metra nad ziemią. Jeszcze nie było ganku, ale mieli go postawić. Ojciec otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Kiedy zatrzasnąłem je za sobą, ściana zabrzęczała jak teatralne dekoracje. Zapukałem w nią, chcąc sprawdzić, z czego jest zrobiona, i usłyszałem pusty, metaliczny dźwięk. Kiedy się odwróciłem, ojciec uśmiechał się, stojąc na środku salonu. Wyciągnął w górę palec wskazujący prawej ręki.

– Przyjrzyj się temu – powiedział. – Coś takiego nazywają „sufitem katedralnym”. Wysoki na trzy metry. Mnóstwo przestrzeni nad głową, chłopcze.

Chociaż czasy były ciężkie, nikt nie kupił prefabrykowanego domu, a ojciec, odpisawszy stratę, zajął się innymi rzeczami. Wkrótce zacząłem

dostawać od niego formularze rejestracji spółek, powołujące mnie na stanowisko wiceprezesa Baron Development Corporation, Atlantic Glass Company czy Fidelity Mini-Storage Inc. Zyski z tych firm, jak mnie zapewniał, pewnego dnia trafią do mnie. Tak naprawdę trafił do mnie tylko człowiek z protezą nogi. Któregoś ranka odezwał się dzwonek domofonu i nacisnąłem przycisk, żeby wpuścić gościa. Chwilę później usłyszałem, jak ciężkim krokiem wchodzi po schodach. Patrząc z góry, widziałem blond szczecinę na jego łysinie i słyszałem ciężki oddech. Myślałem, że to jakiś dostawca. Kiedy dotarł na szczyt schodów, zapytał mnie, czy jestem wiceprezesem Duke Development. Odparłem, że chyba tak. Wręczył mi wezwanie do sądu.

Miało to związek z jakąś aferą prawną. Wkrótce się w tym pogubiłem. Tymczasem dowiedziałem się od brata, że rodzice żyją z oszczędności, ojcowskiego indywidualnego konta emerytalnego i bankowych kredytów. W końcu ojciec znalazł to miejsce, Palm Bay Resort, ruinę nad morzem, i udało mu się przekonać kolejną instytucję oszczędnościowo-kredytową do pożyczania mu pieniędzy na ponowne otwarcie kurortu. On miał zapewnić pracę i specjalistyczną wiedzę, a kiedy zaczną zjeżdżać się ludzie, spłaci instytucję oszczędnościowo-kredytową i kurort będzie jego.

Po obejrzeniu tarasu ojciec chce mi pokazać model.

– Mamy tu ładny mały model – mówi. – Wszyscy, którzy go widzieli, byli bardzo mile zaskoczeni.

– Znowu idziemy ciemnym korytarzem, a potem po schodach i korytarzem na parterze. Mój ojciec ma klucz uniwersalny i wprowadza nas za drzwi oznaczone numerem 103. Światło w korytarzu nie działa, więc przechodzimy gęsiego przez ciemny salon do sypialni. Ojciec włącza światło, a mnie natychmiast ogarnia jakieś dziwne uczucie. Mam wrażenie, jakbym był tu, w tym pokoju, już wcześniej, i po chwili zdaję sobie sprawę, co to jest: ten pokój to stara sypialnia moich rodziców. Przenieśli tu meble ze swojego starego mieszkania: pawia narzuta na łóżko, chińskie kredensy i dopasowane do nich wezgłowie, złote lampy. Meble, które kiedyś wypełniały znacznie większą przestrzeń, w tym małym pokoju sprawiają wrażenie ściśniętych.

– To wszystko wasze stare rzeczy – mówię.

– Świetnie tu pasują, nie sądzisz? – pyta ojciec.

– Co wam teraz służy za narzutę?

– Mamy dwa łóżka w naszym apartamencie – mówi matka. – Ta narzuta i tak by nie pasowała. Mamy zwykłe narzuty na łóżka. Podobnie jak w innych pokojach. Wyposażenie dla hoteli. Są zupełnie w porządku.

– Chodź zobaczyć salon – mówi ojciec, a ja podążam za nim przez drzwi. Przez chwilę szuka po omacku, aż w końcu udaje mu się włączyć działające światło. Wszystkie meble w salonie są nowe i niczego mi nie przypominają. Na ścianie wisi obraz z wyrzuconym przez morze na plażę drewnem. – Jak ci się podoba ten obraz? Mamy je z hurtowni, pięćdziesiąt sztuk. Pięć dolców za sztukę. I każdy jest inny. Na niektórych są rozgwiazdy, na innych muszle. Wszystkie w morskim klimacie. Każdy z nich to podpisany obraz olejny. – Podchodzi do ściany i zdejmując okulary, odczytuje podpis: – Cesar Amarollo! Chłopcze, to lepsze niż Picasso.

Z uśmiechem odwraca się do mnie plecami, szczęśliwy, tak mu się tu podoba.

Przyjechałem tu na kilka tygodni, może nawet na miesiąc. Nie zamierzam teraz tłumaczyć dlaczego. Ojciec dał mi apartament 207, tuż nad oceanem. Nazywa pokoje „apartamentami”, żeby odróżnić je od pokoi motelowych, jakimi w przeszłości były. W moim jest mała kuchnia. I balkon. Widzę z niego samochody jadące wzdłuż plaży, w miarę równomierny strumień pojazdów. To jedyne miejsce na Florydzie, mówi ojciec, gdzie można jeździć po plaży.

Motel lśni w słońcu. Gdzieś w okolicy ktoś w coś tłucze. Kilka dni temu ojciec zaczął oferować bezpłatny krem do opalania każdemu, kto zostanie tu na noc. Reklamuje to na markizie z przodu, ale jak na razie nikt się nie zatrzymał. Obecnie przebywa tu tylko kilka rodzin, głównie starsze pary. Jest też kobieta na elektrycznym wózku inwalidzkim. Rano przyjeżdża na basen i tam siedzi, a potem pojawia się jej mąż, blady facet w kostiumie kąpielowym i flanelowej koszuli.

– My już się nie opalamy – mówi mi ta kobieta. – W pewnym wieku po prostu człowiek już się nie opala. Niech pan spojrzy na Kurta. Jesteśmy tu tydzień i to cała jego opalenizna.

Również Judy, dziewczyna pracująca w biurze, wychodzi czasami, żeby poopalać się podczas lunchu. Ojciec w ramach uposażenia udostępnił jej za darmo pokój na trzecim piętrze. Judy pochodzi z Ohio i nosi włosy związane w długi spleciony kucyk, jak dziewczyna w piątej klasie.

W nocy, leżąc w łóżku z wyposażenia dla hoteli, moja matka miewa prorocze sny. Przyśniło jej się, że dach zaczął przeciekać, na dwa dni przed tym, jak to się wydarzyło. Śniło jej się, że chuda pokojówka odejdzie, i nazajutrz chuda pokojówka tak zrobiła. Przyśniło jej się też, że ktoś skrzyknął kark, skacząc do pustego basenu (zamiast tego zepsuł się filtr i trzeba było spuścić wodę, żeby to naprawić, ale jej zdaniem to też się liczy). Opowiada mi o tym przy basenie. Ja jestem w środku; ona dynda nogami w wodzie. Moja matka nie umie pływać. Ostatni raz widziałem ją w kostiumie kąpielowym, kiedy miałem pięć lat. Łatwo się spieka, jest piegowata, w słomkowym kapeluszu stawia czoła słońcu tylko po to, żeby ze mną rozmawiać, żeby zwierzyć się z tego przedziwnego zjawiska. Mam wrażenie, że przyszła zabrać mnie do domu po lekcji pływania. W gardle czuję smak chloru. Ale kiedy spoglądam w dół i widzę włosy na mojej piersi, groteskowo czarne na białej skórze, przypominam sobie, że ja też jestem stary.

Dziś prace remontowe, jeśli w ogóle coś się dzieje, odbywają się po drugiej stronie budynku. Idąc na basen, zobaczyłem Buddy'ego, który z kluczem francuskim w ręce wchodził do pokoju. Tutaj jesteśmy sami, a matka tłumaczy mi, że to wszystko z powodu braku korzeni.

– Nie śniłoby mi się to wszystko, gdybym miała własny przyzwoity dom. Nie jestem jakąś Cyganką. To wszystko przez to włączanie się. Najpierw mieszkaliśmy w motelu w Hilton Head. Potem to mieszkanie własnościowe w Vero. Potem studio nagrań, które kupił twój ojciec, bez okien, i które o mało mnie nie wykończyło. A teraz to. Wszystkie moje rzeczy są schowane w magazynie. O nich też śnię. Moje kanapy, moje porządne zastawy stołowe, wszystkie nasze stare rodzinne zdjęcia. Prawie co noc mi się śnią, jak leżą gdzieś spakowane.

– Co się z nimi dzieje?

– Nic. Tylko że nikt po te rzeczy nie przyjeżdża.

Kiedy sytuacja się już poprawi, rodzice zamierzają poddać się szeregowi zabiegów medycznych. Już od jakiegoś czasu moja matka chce sobie zrobić lifting. Kiedy byli przy forsie, poszła nawet do chirurga plastycznego, który zrobił zdjęcia jej twarzy i sporządził wykres struktury kości. Jak się okazuje, to nie tylko kwestia samego naciągnięcia luźnej skóry. Wzmocnienia wymagają również niektóre kości twarzy. Z biegiem lat górne podniebienie mojej matki powoli się cofało. Jej zgryz zrobił się krzywy. Do przywrócenia funkcjonalności czaszki, na którą zostanie naciągnięta skóra, potrzebny jest zabieg chirurgii szczękowej. Pierwszy z tych zabiegów miał się odbyć mniej więcej wtedy, gdy mój ojciec przyłapał współnika na defraudacji. W związku z wynikłymi z tego kłopotami musiała odłożyć ten pomysł na później.

Również ojciec odłożył na potem dwa zabiegi chirurgiczne. Pierwszym jest operacja dysku, która miała usunąć ból w dolnej części pleców. Drugi to operacja prostaty, by zmniejszyć blokadę cewki moczowej i zwiększyć przepływ moczu. W tym drugim wypadku opóźnienie nie wynika wyłącznie z kwestii finansowych.

– Oni jadą tam z tą maszyną do czyszczenia kanalizacji, a to boli jak diabli – powiedział mi. – A ponadto może się to skończyć problemami z nietrzymaniem moczu.

Zamiast tego zdecydował, że woli chodzić do toalety piętnaście do dwudziestu razy dziennie, przy czym żadna z tych wypraw nie przynosiła mu pełnej satysfakcji. Podczas przerw w proroczych snach moja matka słyszy, jak ojciec raz za razem wstaje.

– Strumień twojego ojca nie jest już tak wspaniały – powiedziała mi. – Jak się z kimś mieszka, to się co nieco wie.

Jeśli chodzi o mnie, potrzebuję nowej pary butów. Jakiejś rozsądnej pary. Odpowiedniej do tropików. Jak głupi zabrałem tutaj parę starych czarnych półbutów, przy czym prawy but ma dziurę w podeszwie. Potrzebuję pary kłapek. Co wieczór, jadąc ojcowskim cadillakiem do barów (jachtu już nie ma, samolotu też, ale wciąż mamy żółty wóz „Florida Special” z białym winylowym dachem), mijam sklepy pamiątkarskie, z witrynami po brzegi wypełnionymi koszulkami, muszlami, kapeluszami od słońca, kokosami z namalowanymi twarzami. Za każdym razem myślę, czyby się nie zatrzymać i nie kupić kłapek, ale jeszcze tego nie zrobiłem.

Pewnego ranka, kiedy schodzę do biura, znajduję je pogrążone w kompletnym chaosie. Judy, sekretarka, siedzi przy biurku i żuje koniec końskiego ogona.

– Twój ojciec musiał zwolnić Buddy’ego – mówi. Ale zanim zdążyła powiedzieć mi coś więcej, wchodzi jeden z gości, skarżąc się na przeciekający sufit.

– Bezpośrednio nad łóżkiem – mówi mężczyzna. – Chyba pan się nie spodziewa, że zapłacę za pokój z łóżkiem pod przeciekającym sufitem? Musieliśmy spać na podłodze! Wczoraj wieczorem przyszedłem do biura, żeby zamienić pokój, ale nikogo tu nie było.

W tym momencie wchodzi mój ojciec z arborystą.

– Chyba mówił mi pan, że ten rodzaj palmy jest wytrzymały.

– Bo jest.

– Więc co się stało z tym drzewem?

– Jest w nieodpowiedniej glebie.

– Nie mówił mi pan, żebym zmienił glebę – ojciec podnosi głos.

– To nie tylko gleba – odpowiada arborysta. – Drzewa są jak ludzie. Chorują. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Może potrzebowało więcej wody.

– Podlewaliśmy je! – Teraz ojciec już krzyczy. – Cholera, kazałem podlewać je każdego dnia! A pan mi mówi, że ono uschło? – Mężczyzna nie odpowiada. Ojciec mnie zauważa. – Cześć, synu! – mówi serdecznie. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Mężczyzna z przeciekającym sufitem zaczyna wyjaśniać swoje kłopoty mojemu ojcu. Ten przerywa mu w pół zdania. Wskazując na arborystę, mówi:

– Judy, zapłać temu draniowi. – Potem wraca do słuchania opowieści gościa hotelowego. Kiedy mężczyzna kończy, mój ojciec proponuje mu zwrot pieniędzy i darmowy nocleg.

Dziesięć minut później, w samochodzie, słyszę dziwną historię. Ojciec zwolnił Buddy’ego za picie w pracy.

– Ale poczekaj tylko, kiedy usłyszysz, jak on pił – mówi. Wczesnym rankiem zobaczył Buddy’ego leżącego na podłodze apartamentu 106, pod klimatyzatorem. – Miał go naprawić. Przez cały ranek co chwilę przechodziłem obok i za każdym razem widziałem, jak Buddy leży pod tym klimatyzatorem. Pomyślałem sobie: nieźle. Ale wtedy pojawił się ten

cholerny oszust, ten niby-arborysta. I mówi mi, że to cholerne drzewo, które miał wyleczyć, uschło, więc zupełnie zapomniałem o Buddym. Idziemy popatrzeć na drzewo, a ten facet zaczyna wciskać mi ten cały kit: że niby klimat to, klimat tamto, aż w końcu mówię mu, że w takim razie zadzwonię do szkółki. Wracam więc do biura. I jeszcze raz idę obok apartamentu sto sześć. A Buddy dalej leży tam na podłodze.

Kiedy mój ojciec do niego podszedł, Buddy spoczywał wygodnie na plecach, oczy miał zamknięte, a w ustach trzymał końcówkę węzownicy klimatyzatora.

– Podejrzewam, że płyn chłodzący zawiera alkohol – powiedział ojciec. Wystarczyło, że Buddy odłączył węzownicę, wygiął ją cążkami i już mógł się napić. Tyle że tym razem sączył zbyt długo i stracił przytomność. – Powinienem był się domyślić, że coś jest nie tak – mówi ojciec. – Przez ostatni tydzień zajmował się wyłącznie naprawą klimatyzatorów.

Po wezwaniu karetki (Buddy nadal był nieprzytomny, kiedy go wynoszono) ojciec zadzwonił do szkółki. Nie zgodzili się na zwrot pieniędzy ani na wymianę palmy. Co więcej, w nocy padało i nikt nie musiał mu mówić o przeciekających sufitach. Strop przeciekał również w jego łazience. Źle położono nowy dach, który kosztował znaczną sumę. Trzeba będzie go przynajmniej jeszcze raz wysmołować.

– Potrzebuję kogoś, kto wejdzie na dach i położy smołę wzdłuż krawędzi. Bo widzisz, to właśnie brzegami leje się woda. Może w ten sposób uda mi się zaoszczędzić parę dolców.

Ojciec mówi mi o tym wszystkim, kiedy jedziemy drogą stanową A1A. Dochodzi już dziesiąta rano i wzdłuż pobocza stoją pojedynczo i grupkami tacy, co to nigdzie miejsca nie zagrzeją, szukając pracy na dniówkę. Można ich rozpoznać po ciemnej opaleniznie. Ojciec mija pierwszych kilku, a ja początkowo nie mam pojęcia, dlaczego tak robi. Potem dostrzega białego człowieka około trzydziestki, w zielonych spodniach i koszulce Disneyworld. Stoi w pełnym słońcu, jedząc surowego kalafiora. Ojciec podjeżdża do niego cadillakiem. Dotyka elektronicznej konsoli samochodu i szyba po stronie pasażera opuszcza się z buczeniem. Stojący na zewnątrz mężczyzna mruga, próbując przyzwyczaić wzrok i zajrzeć do ciemnego, chłodnego wnętrza samochodu.

Późnym wieczorem, kiedy rodzice idą spać, jeżdżę wzdłuż plaży do miasta. W przeciwieństwie do większości miejsc, do których trafiali moi rodzice, w Daytona Beach panuje atmosfera właściwa dla ludzi z klasy robotniczej. Mniej osób starszych, więcej motocyklistów. W barze, do którego jeżdżę, trzymają prawdziwego żywego rekina. Ma metr długości i pływa w akwarium nad ułożonymi w stos butelkami. Rekin ma na tyle miejsca w zbiorniku, żeby się odwrócić i popłynąć w przeciwnym kierunku. Nie wiem, jaki wpływ mogą mieć światła na tę rybę. Tancerki noszą bikini, stroje niektórych skrzą się jak rybie łuski. Dziewczyny krążą w mroku niczym syreny, podczas gdy rekin uderza łbem o szybę.

Byłem tu już trzy razy, dostatecznie długo, żeby się zorientować, że w oczach dziewczyn wyglądam jak student wydziału nauk humanistycznych i że zgodnie z prawem stanowym nie mogą one pokazywać piersi, więc muszą zaklejać je wzorkami w kształcie skrzydełek. Zapytałem, jakiego rodzaju kleju używają („kleju Elmer’s”), jak to zdejmują („wystarczy trochę ciepłej wody”), i co myślą o tym ich chłopacy (jakoś pieniądze im nie przeszkadzają). Za dziesięć dolarów dziewczyna weźmie cię za rękę, poprowadzi obok innych stolików, przy których siedzą w większości samotni mężczyźni, na tyły, gdzie jest jeszcze ciemniej. Usadowi cię na wyściełanej ławce i przez dwa pełne utwory będzie się o ciebie ocierać. Czasami weźmie w ręce twoje dłonie i zapyta:

– Nie potrafisz tańczyć?

– Ależ ja tańczę – odpowiadasz, chociaż siedzisz na miejscu.

O trzeciej nad ranem jadę z powrotem, słuchając stacji nadającej muzykę country, żeby przypomnieć sobie, że znajduję się daleko od domu. O tej porze jestem zwykle pijany, ale podróż nie jest długa, jakieś półtora kilometra, miła przejażdżka obok innych nadbrzeżnych nieruchomości, dużych i mniejszych hoteli, moteli z tematycznym wystrojem. Jeden nazywa się Warownia wikingów. Chcąc się zameldować, trzeba przejechać pod norweską łodzią, która służy za wiatę dla samochodów.

Do ferii wiosennych pozostał jeszcze ponad miesiąc. Większość hoteli nie jest zapełniona nawet w połowie. Wiele zamknięto, zwłaszcza te bardziej oddalone od miasta. Stojący obok naszego motel jest wciąż otwarty. Utrzymany jest w stylu polinezyjskim. Przy basenie znajduje się bar pod chatką z trawy. W naszym ośrodku panuje bardziej wyszukany klimat. Białe żwirowy chodnik z przodu prowadzi do dwóch

miniaturowych drzewek pomarańczowych stojących z dwóch stron frontowych drzwi. Mój ojciec uznał, że warto wydać pieniądze na wejście, zważywszy, że liczy się pierwsze wrażenie. Zaraz po wejściu, po lewej stronie od wyłożonego luksusową wykładziną holu, znajduje się biuro wynajmu. Sprzedawca, Bob McHugh, ma na ścianie plan kurortu, na którym widać dostępne apartamenty i tygodnie wynajmu apartamentów w systemie timeshare. Ale obecnie większość ludzi szuka miejsca tylko na jeden nocleg. Zwykle wjeżdżają na parking przy budynku i rozmawiają z Judy w biurze kompleksu.

Znowu padało podczas mojego pobytu w barze. Kiedy wjeżdżam na nasz parking i wysiadam, słyszę wodę spływającą z dachu motelu. W pokoju Judy pali się światło. Zastanawiam się, czy nie pójść na górę i nie zapukać do jej drzwi. Cześć, to ja, syn szefa! Kiedy jednak tak stoję, słuchając kapiącej wody i planując następny krok, światło w jej oknie gaśnie. A wraz z nim, jak mi się wydaje, wszystkie światła dookoła. Ośrodek ojca pogrąża się w ciemnościach. Wyciągam rękę i kładę dłoń na masce cadillaca, żeby uspokoić się jego ciepłem, i przez chwilę wyobrażam sobie drogę na górę, gdzie zaczynają się schody, ile pięter muszę pokonać, ile drzwi minąć, zanim dojdę do mojego pokoju.

– Chodź – mówi ojciec. – Chcę ci coś pokazać.

Ma na sobie szorty do tenisa, a w ręku trzyma rakietę do racquetballa. W zeszłym tygodniu Jerry, facet, który obecnie jest u nas złotą rączką (człowiek, który zastąpił Buddy'ego, pewnego ranka się nie pojawił), w końcu wyniósł dodatkowe łóżka i zasłony z kortu do racquetballa. Ojciec polecił pomalować podłogę i wyzwał mnie na pojedynek. Ale w związku ze złą wentylacją i przez wilgoć podłoga była śliska i musieliśmy dać sobie spokój po czterech punktach. Ojciec nie chciał złamać sobie biodra.

Kazał Jerry'emu przytargać z biura stary osuszacz i dziś rano rozegrali kilka partii.

– Jak tam podłoga? – pytam.

– Nadal trochę śliska. Ten osuszacz jest do niczego.

Czyli ojciec nie przyszedł po mnie, żeby pokazać mi nowy, suchy kort do gry w racquetballa. Sądząc po wyrazie jego twarzy, jest to coś zdecydowanie ważniejszego. Przechylony (ćwiczenia nie pomogły mu na

kręgosłup) prowadzi mnie na trzecie piętro, a potem jeszcze wyżej, kolejnymi, mniejszymi schodkami, których wcześniej nie zauważyłem. Wyprowadzają prosto na dach. Kiedy docieramy na górę, zauważam tam jakiś inny budynek. Jest dość duży, wygląda jak bunkier, ale we wszystkich ścianach są okna.

– Nie wiedziałeś o tym, prawda? – mówi ojciec. – To penthouse. Zamierzamy się tu z mamą wprowadzić, gdy tylko będzie gotowy.

Penthouse ma czerwone drzwi wejściowe, a przed nimi leży wycieraczka. Budynek znajduje się na środku ciągnącego się we wszystkie strony smołowanego dachu. Nie widać stąd sąsiednich budynków, jedynie niebo i ocean. Obok penthouse'u ojciec zainstalował mały japoński grill hibachi.

– Dziś wieczorem możemy sobie zrobić przyjęcie z grillem – mówi.

Mama myje okna wewnątrz domku. Ma na sobie te same żółte gumowe rękawiczki jak w czasach, gdy myła okna naszego domu na przedmieściach Detroit. Na razie do zamieszkania nadają się tylko dwa pokoje w penthousie. Trzeci jest wykorzystywany jako magazyn i nadal mieści się w nim układanka krzeseł i stołów, poupychanych jedno na drugim. W głównym pokoju, przy zielonym winylowym krześle, zainstalowano telefon. Na ścianie wisi jeden z obrazów z hurtowni, martwa natura z muszlami i koralowcem.

Słońce zachodzi. Siedzimy na dachu na składanych krzesłach przy grillu.

– Milutko będzie tu na górze – mówi matka. – Jakbyśmy byli pośrodku nieba.

– A mnie najbardziej podoba się to – dodaje ojciec – że nikogo tu nie widać. Prywatny widok na ocean, bezpośrednio z posesji. Taki duży dom nad wodą kosztowałby krocie.

– Gdy tylko ośrodek zarobi na sobie – kontynuuje – ten penthouse będzie nasz. Zostanie w rodzinie, będziemy przekazywać go z pokolenia na pokolenie. Jeśli zapragniesz przyjechać i zatrzymać się we własnym penthousie na Florydzie, możesz to zrobić.

– Wspaniale – mówię, i wcale nie żartuję. Po raz pierwszy motel wydaje mi się atrakcyjny. Niespodziewane uczucie wyzwolenia, jakie ogarnęło mnie na dachu, słonawa zgnilizna nad brzegiem oceanu, przyjemna absurdalność Ameryki – wszystko to razem sprawia, że potrafię wyobrazić sobie, jak w przyszłości sprowadzam na ten dach przyjaciół i kobiety.

Kiedy w końcu zapadają ciemności, wchodzimy do środka. Moi rodzice jeszcze tu nie śpią, ale nie chcemy stąd odchodzić. Moja matka włącza lampy.

Podchodzę do mamy i kładę jej ręce na ramionach.

– O czym śniłaś ostatniej nocy? – pytam.

Patrzy na mnie, w moje oczy. Kiedy to robi, jest nie tyle moją matką, co po prostu zwykłą ludzką istotą, z jej kłopotami i poczuciem humoru.

– Nie chcesz tego wiedzieć – odpowiada.

Wchodzę do sypialni, żeby się tam rozejrzeć. Meble wyglądają jak w każdym motelu, ale na biurku matka ustawiła fotografię przedstawiającą mnie i moich braci. Po drugiej stronie otwartych drzwi do łazienki znajduje się lustro. W lustrze widzę swojego ojca. Oddaje mocz. A może raczej stara się to zrobić. Stoi przed sedesem i ze skonsternowaną miną patrzy w dół. Koncentruje się na jakimś problemie, na którym nigdy nie musiałem się koncentrować, na czymś, o czym wiem, że mnie czeka, ale jeszcze nie mogę sobie tego wyobrazić. Unosi dłoń i zaciska ją w pięść. Następnie, jakby robił to od lat, zaczyna walić się w brzuch, w miejsce, w którym znajduje się pęcherz. Nie widzi, że na niego patrzę. Uderza się raz za razem, a spod jego ręki dobywa się głuchy odgłos. W końcu, jakby usłyszał jakiś sygnał, przestaje to robić. Po chwili ciszy w wodę uderza strumień cieczy.

Matka wciąż jest w salonie, kiedy wychodzę z sypialni. Zauważam, że wiszący nad jej głową obraz z muszlami jest przekrzywiony. Przechodzi mi przez myśl, żeby go poprawić, ale po chwili myślę sobie, że mam to w nosie. Wychodzę na dach. Jest ciemno, ale słyszę ocean. Spoglądam na plażę, na inne oświetlone wieżowce, na hotele Hilton, Ramada. Podchodzę do krawędzi dachu i widzę stojący obok motel. W barze pod tropikalną chatą jarzą się czerwone światła. Okna naszego motelu, zarówno pode mną, jak i z boku, są czarne. Spod przymrużonych powiek patrzę na taras, ale nic nie widzę. Na dachu wciąż stoją kałuże po burzy, która przeszła ubiegłej nocy, i kiedy robię krok, czuję, że woda wlewa mi się do buta. Dziura się powiększa. Nie zostaję tam długo, jedynie na tyle, żeby odetchnąć światem. Kiedy wracam, widzę, że ojciec jest już z powrotem w salonie. Rozmawia

przez telefon, kłóci się z kimś, a może się śmieje, zajmując się
zapewnieniem mi dziedzictwa.

1997

Znajdź winowajcę

Z tego co pamiętam, mamy ten dom od jakichś dwunastu lat. Kupiliśmy go od starszej pary, niejakich De Rougemontów, i w niektórych miejscach wciąż można wyczuć ich zapach, zwłaszcza w głównej sypialni, a także w domowym biurze, gdzie w letnie dni stary zgred zwykł drzemać, a i też trochę w kuchni nadal się unosi.

Pamiętam, jak za dzieciaka chodziłem do domów innych ludzi i myślałem: Czy oni nie czują swojego zapachu? Niektóre domy pachniały lepiej, inne gorzej. U Pruittów z sąsiedztwa unosił się tłustawy zapach kuchni polowej, takiej z rancza, dość znośny. Willotowie, którzy w swoim pokoju rekreacyjnym prowadzili akademię szermierczą, śmierdzieli skupnią cuchnącą. Nie można było wspominać o tych zapachach kolegom, bo sami po części go wydzielali. Czy chodziło o higienę? Czy też, no wiecie, gruczoły, a sam zapach danej rodziny ma coś wspólnego z przebiegającymi gdzieś głęboko w ciałach jej członków funkcjami fizjologicznymi? Cała ta sprawa powodowała, że im dłużej się człowiek nad tym zastanawiał, tym bardziej robiło mu się od tego niedobrze.

Teraz mieszkam w starym domu, który prawdopodobnie ma zdaniem osób postronnych dziwny zapach.

A raczej mieszkałem. Obecnie znajduję się w ogródku przed domem, ukrywając się między otynkowanym murem a pielgrzanami madagaskarskimi.

W pokoju Meg pali się światło. Ona jest moim cukiereczkiem. Ma trzynaście lat. Z mojego punktu obserwacyjnego nie widzę wnętrza pokoju Lucasa, ale z reguły woli odrabiać pracę domową na dole, w dużym salonie. Gdybym zbliżył się do domu, najprawdopodobniej dostrzegłbym Lucasa w jego szkolnym swetrze w serek i w krawacie, wyposażonego do walki o sukces: kalkulator graficzny (na miejscu), iPad Boniface St. (na miejscu), narzędzie Quizlet do nauki łaciny (na miejscu), kuliste akwarium ze złotymi rybkami (na miejscu). Ale nie mogę tam teraz pójść, ponieważ naruszyłbym sądowy zakaz zbliżania się.

Nie wolno mi podejść do mojej uroczej żony, Johanny, bliżej niż na piętnaście metrów. Zakaz został wydany w trybie przyspieszonym (czyli

jest tymczasowy), w nocy, na posiedzeniu z udziałem sędziego orzekającego. Mój adwokat, Mike Peekskill, stara się załatwić jego uchylenie. Ale wiecie co? Bo właśnie ja, nikt inny, wasz Charlie D., wciąż dysponuję planami opracowanymi przez architekta krajobrazu, z czasów kiedy wraz z Johanną myśleliśmy o zastąpieniu tych palm czymś mniej przypominającym dżunglę i mniej podatnym na szkodniki. Tak się więc składa, że wiem na pewno, że odległość od domu do otynkowanego muru wynosi dziewiętnaście metrów. W tej chwili, jak mi się wydaje, siedząc tu pośród roślinności, jestem oddalony od budynku o szesnaście czy szesnaście i pół metra. A poza tym i tak nikt mnie nie widzi, bo jest luty i w tych stronach jest już ciemno.

Jest czwartek, a zatem gdzie jest Bryce? Jasne. Ma lekcje gry na trąbce u pana Talawatamy'ego. Johanna wkrótce go odbierze. Nie mogę tu długo zostać.

Gdybym teraz opuścił kryjówkę i obszedł dom z boku, zobaczyłbym pokój gościnny, do którego się chowałem, kiedy między mną a Johanną szło na noże, i gdzie zeszłej wiosny, po tym jak Johanna dostała awans w Hyundaiu, zacząłem posuwać naszą opiekunkę do dzieci, Cheyenne.

A gdybym poszedł dalej, aż na podwórko za domem, stanąłbym twarzą w twarz ze szklanymi drzwiami, które rozbiłem, kiedy cisnąłem w nie krasnałem ogrodowym. Oczywiście byłem wówczas pijany.

Tak jest. Dostarczyłem Johannie mnóstwo amunicji do gry w Znajdź winowajcę na terapii małżeńskiej.

Choć nie jest tu strasznie zimno, to jak na Houston jest bardzo zimno. Kiedy sięgam do buta po telefon, czuję ukłucie w biodrze. Lekki artretyzm.

Wyjmuję telefon, żeby zagrać w grę słowną w aplikacji Words with Friends. Zacząłem jej używać w stacji radiowej, trochę dla zabicia czasu, ale kiedy odkryłem, że gra w to również Meg, natychmiast wysłałem jej zaproszenie.

W rozgrywce mrsbieber kontra radiocowboy widzę, że mrsbieber właśnie ułożyła słowo „pupa” (chyba chce mnie wkurzyć). Pierwsze „p” tego słowa Meg znajduje się na polu z podwójną premią słowną, a drugie na polu z podwójną premią literową, co daje jej w sumie dwadzieścia osiem punktów. Zupełnie nieźle. Teraz wpisuję proste słowo, por, uzyskując marny wynik dziewięciu punktów. Mam przewagę pięćdziesięciu jeden punktów. Nie chcę, żeby się zniechęciła i zrezygnowała z gry ze mną.

Widzę jej cień poruszający się u góry. Ale ona nie zajmuje się wymyślaniem kolejnego słowa. Pewnie korzysta ze Skype'a lub bloga, malując paznokcie.

Johanna i ja – nawiasem mówiąc, jej imię wymawia się „Jo-hanna”, do czego przywiązuje szczególną wagę – jesteśmy małżeństwem od dwudziestu jeden lat. Kiedy się poznaliśmy, mieszkałem w Dallas z moją ówczesną dziewczyną, Jenny Braggs. W tamtym czasie byłem konsultantem tylko dla trzech rozrzuconych po całym stanie stacji radiowych, więc większość tygodnia spędzałem w drodze. Pewnego dnia byłem w San Antonio, w stacji WWWR, i właśnie tam zobaczyłem Johannę. Układała kompaktówkę na półkach. Wysoka, naprawdę rasowa laska.

– Jak tam pogoda na górze? – zapytałem.

– Przepraszam?

– Nic takiego. Cześć, jestem Charlie D. Chyba słyszałem jakiś obcy akcent?

– Tak. Jestem Niemką.

– Nie wiedziałem, że w Niemczech lubią country.

– Nie lubią.

– Może powinienem udzielać tam konsultacji. Głosić ewangelię. Kto jest twoim ulubionym artystą country?

– Bardziej interesuję się operą – powiedziała Johanna.

– Aha, czaję. Tutaj to tylko praca.

Za każdym razem, gdy później byłem w okolicy San Antone, zatrzymywałem się przy biurku Johanny. Czułem się mniej zestresowany, gdy siedziała.

– Grasz może w koszykówkę, Johanna?

– Nie.

– W Niemczech dziewczyny grają w koszykówkę?

– W Niemczech nie jestem aż taka wysoka – odpowiedziała Johanna.

I tak to szło. A potem, kiedy pewnego dnia podszedłem do jej biurka, spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi niebieskimi oczami i powiedziała:

– Charlie, jesteś dobrym aktorem?

– Aktorem czy kłamcą?

– Kłamcą.

– Zupełnie niezłym – odpowiedziałem. – Ale mogę kłamać.

– Potrzebuję zielonej karty – powiedziała Johanna.

I obrazki z przeszłości: opróżniam łóżko wodne do wanny, żeby móc się wyprowadzić, podczas gdy Jenny Braggs zalewa się rześzystymi łzami. Wraz z Johanną wciskamy się do automatu fotograficznego i robimy słodkie zdjęcia z „początków związku” do naszego „albumu z wycinkami”. Sześć miesięcy później zanosimy ten album na nasze przesłuchanie w urzędzie imigracyjnym.

– A zatem, pani Lubbock... Dobrze wymawiam?

– Lübeck – powiedziała Johanna do urzędnika. – Nad „u” jest umlaut.

– Nie w Teksasie, tu tego nie ma – odrzekł urzędnik. – A zatem, pani Lubbock, rozumiem, że zdaje sobie pani sprawę, że Stany Zjednoczone muszą się upewnić, czy osoby, którym otwieramy drogę do obywatelstwa na mocy małżeństwa z obywatelami amerykańskimi, są rzeczywiście i naprawdę małżonkami tych obywateli. Będę więc musiał zadać pani kilka osobistych pytań, które mogą wydawać się pani nieco wścibskie. Czy zgadza się pani na to?

Johanna skinęła głową.

– Kiedy po raz pierwszy pani i pan D.... – Urwał i spojrzał na mnie. – Zaraz, pan chyba nie jest tym Charliem Danielssem, muzykiem country, prawda?

– No nie. Właśnie dlatego używam samego D. Aby uniknąć nieporozumień.

– Bo trochę pan go przypomina.

– Jestem jego wielkim wielbicielem – odrzekłem. – Traktuję to jako komplement.

Odwrócił się do Johanny, gładki jak masło.

– Kiedy po raz pierwszy pani i pan D. odbyliście stosunek seksualny?

– Nie powie pan mojej mamie? – spytała Johanna, próbując zażartować.

Ale urzędnik był zupełnie poważny.

– Przed ślubem czy po?

– Przed.

– A jak ocenia pani sprawność seksualną pana D.?

– A co pan myśli? Wspaniale. W końcu za niego wyszłam, prawda?

– Zauważyła pani jakieś znaki charakterystyczne na jego narządzie płciowym?

– Napis „Pokładamy nadzieję w Bogu”. Jak u wszystkich Amerykanów.

Urzędnik odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Masz pan tutaj prawdziwą złośnicę – stwierdził.
- Mnie pan to mówi? – odrzekłem.

Wówczas jednak jeszcze ze sobą nie sypialiśmy. Do tego miało dojść dopiero później. Chcąc udawać moją narzeczoną, a potem przyszłą żonę, Johanna musiała spędzać ze mną czas i mnie poznać. Pochodzi z Bawarii. Zgodnie z jej własną teorią Bawaria jest Teksasem Niemiec. Ludzie w Bawarii są bardziej konserwatywni niż przeciętni europejscy lewicowcy. Są katolikami, choć może niezupełnie ludźmi bogobojnymi. Poza tym lubią nosić skórzane kurtki i takie tam. Johanna chciała dowiedzieć się wszystkiego o Teksasie, a ja byłem po prostu facetem, który miał ją tego uczyć. Zabrałem ją na teksaski festiwal muzyki SXSW, który w tamtych czasach nie był jeszcze castingiem dla amatorów. I mój Boże, żebyście widzieli, jak Johanna świetnie wyglądała w niebieskich dżinsach i kowbojkach.

Zanim się spostrzegłem, poleciliśmy do mojego domu w Michigan, żeby spotkać się z moją rodziną. (Pochodzę z Traverse City. Zacząłem tak gadać, ponieważ mieszkam tu od tak dawna. Mój brat Ted zawsze mnie beszta z tego powodu. A ja mu mówię, że jeśli jest się w takim biznesie jak mój, to właśnie tak trzeba gadać).

Może to przez Michigan. Była zima. Zabrałem Johannę na przejażdżkę na skuterach śnieżnych i na łowienie ryb w przerębli. Moja mama nigdy nie pochwaliłaby tej całej sprawy z zieloną kartą, więc powiedziałem jej, że jesteśmy przyjaciółmi. Gdy już tam jednak byliśmy, usłyszałem, jak Johanna mówi mojej siostrze, że „chodzimy ze sobą”. Kiedy poszliśmy na tradycyjne święto okonia, które odbywało się w sali organizacji weteranów wojen zagranicznych, po wypiciu kilku browarów PBR Johanna zaczęła łapać mnie za rękę pod stołem. Nie, żebym narzekał. To znaczy, taka dziewczyna, mająca ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, hoża i z niezłym apetytem, trzyma mnie za rękę w tajemnicy przed wszystkimi. Powiem wam, byłem szczęśliwy, jakby ktoś napluł mi do kieszeni.

Moja mama umieściła nas w osobnych pokojach. Ale pewnej nocy Johanna przyszła do mojego, cichutko jak Indianka, i wpęzła mi do łóżka.

– Ćwiczenia aktorskie z umiejętności emocjonalnego wczuwania się? – zapytałem.

– Nie, Charlie. To jest prawdziwe.

Objęła mnie ramionami i kołysaliśmy się bardzo łagodnie, tak jak Meg kołysała tego kociaka, którego jej daliśmy, to znaczy, zanim zdechł, kiedy jeszcze był taki ciepłutki i miłutki, zanim dostał pryszczycy i pożegnał się z tym światem.

– Czuję, że to jest prawdziwe – powiedziałem. – Tak prawdziwe, jak coś najprawdziwszego.

– A to też czujesz, że jest prawdziwe, Charlie?

– Tak, proszę pani.

– I to?

– Niech no sprawdzę. Muszę przeprowadzić rozpoznanie. O tak. To jest prawdziwe, bardzo prawdziwe.

Miłość od piętnastego wejrzenia, tak to chyba trzeba nazwać.

Przyglądam się mojemu domowi i trochę rozmyślam – tak naprawdę nie chcę mówić o czym. Chodzi o to, że jestem człowiekiem sukcesu w kwiecie wieku. DJ-em zostałem w college’u, ale też muszę przyznać, że chociaż mój głos nadawał się do audycji między trzecią a szóstą rano w radiu w Marquette, kiedy przyszło co do czego, okazało się, że nie przeskoczę pewnego poziomu. Nigdy nie udało mi się załatwić sobie pracy przed mikrofonem. Zamiast tego zajmowałem się telemarketingiem. A potem powróciła mi miłość do radia i zająłem się doradztwem. To było w latach osiemdziesiątych, kiedy zaczęły się pojawiać pierwsze pomysły łączenia country z rockiem. Wiele stacji miało trudności, żeby się w tym połapać. A ja mówiłem im, kogo i co grać. Na początku doradzałem trzem stacjom, a teraz jest ich już sześćdziesiąt siedem. Pytają mnie: Charlie D., jak zwiększyć nasz udział w rynku? Przekaż nam swoją mądrość o łączeniu stylów, Mędrco Mędrców. (Tak jest na mojej stronie internetowej, ludzie nawet to kupili).

Ale to, o czym teraz myślę, wcale nie sprawia, że czuję się jak jakiś mędrzec. Prawdę mówiąc, ani odrobinę. Zastanawiam się, jak mogło do tego dojść, że siedzę tu w krzakach.

Określenie „znajdź winowajcę” jest terminem, który poznaliśmy podczas terapii małżeńskiej. Wraz z Johanną przez mniej więcej rok spotykaliśmy się z terapeutką, niejaką doktor van der Jagt. Holenderką. Jej dom mieści

się przy uniwersytecie i do drzwi z przodu i z tyłu prowadzą dwa odrębne chodniki. Dzięki temu ludzie wychodzący nie napotykają tych, którzy przychodzą.

Założmy, że wychodzisz z terapii małżeńskiej i właśnie przyjeżdża twój sąsiad.

– Cześć, Charlie D. – mówi. – Jak leci?

A ty odpowiadasz:

– Moja stara właśnie mówiła, że znęcam się nad nią werbalnie, ale poza tym wszystko w porządku.

No nie. Na pewno nie chcesz czegoś takiego.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem zachwycony, kiedy się okazało, że to kobieta, a do tego Europejka, będzie zajmować się naszą terapią. Uznałem, że w związku z tym przynajmniej częściowo będzie po stronie Johanny.

Podczas naszej pierwszej sesji Johanna i ja usiedliśmy na przeciwległych krańcach kanapy, rozdzielając się dekoracyjnymi poduszkami.

Doktor van der Jagt stanęła przed nami, zawinięta w chustę wielką jak końska derka.

Zapytała o powód naszej wizyty.

Wiadomo, że mówienie, tworzenie miłej atmosfery to kobieca specjalność. Czekalem, aż Johanna rozpocznie.

Ale również jej, tak jak mnie, odjęło mowę.

Doktor van der Jagt spróbowała ponownie:

– Johanno, powiedz mi, jak się czujesz w małżeństwie? W trzech słowach.

– Sfrustrowana. Zła. Samotna.

– Czemu?

– Kiedy się poznaliśmy, Charlie zabierał mnie na tańce. Kiedy urodziły się dzieci, to się skończyło. Teraz oboje pracujemy na pełnych etatach. Nie widzimy się całymi dniami. Ale gdy tylko Charlie wraca do domu, zaraz idzie do tego swojego paleniska ogrodowego...

– Zawsze możesz do mnie dołączyć – odezwałem się.

– ...i pije. Całą noc. Co noc. Bardziej ożenił się z tym paleniskiem niż ze mną.

Byłem tam, by słuchać Johanny, starać się nawiązać z nią kontakt, więc robiłem, co mogłem. Ale po chwili przestałem zwracać uwagę na to, co mówi, i tylko słuchałem jej tak obco brzmiącego głosu. Gdybyśmy byli

ptakami, nie potrafiłbym rozpoznać jej pieśni. Jakby to była pieśń jakiegoś gatunku ptaka z innego kontynentu, jakiegoś gatunku gnieźdzącego się w dzwonicach katedralnych lub wiatrakach, pieśń, która dla mojego gatunku brzmiałaby – jak by to powiedzieć? – pretensjonalnie.

Weźmy na przykład to palenisko. Czy nie próbowałem każdego wieczoru wszystkich tam zebrać? Czy kiedykolwiek powiedziałem, że chcę siedzieć samotnie? Nie, proszę państwa. Chciałem, żebyśmy byli tam razem, jak prawdziwa rodzina, pod gwiazdami, przy płonących i strzelających jadłoszynach. Ale Johanna, Bryce, Meg, a nawet Lucas nigdy tego nie chcieli. Byli zbyt zajęci przy swoich komputerach i swoich Instagramach.

– Co myślisz o tym, co mówi Johanna? – zapytała mnie doktor van der Jagt.

– Cóż – odpowiedziałem – kiedy kupiliśmy dom, Johanna była zachwycona paleniskiem.

– Nigdy nie lubiłam tego paleniska. Zawsze myślisz, że jeśli coś ci się podoba, to ja też to lubię.

– A kto, kiedy pani z agencji nieruchomości pokazywała nam ten dom, powiedział: „Spójrz, Charlie, spójrz na to! To ci się chyba spodoba”?

– *Natürlich*, a ty chciałeś kuchenkę. Musiałeś mieć kuchenkę firmy Wolf. Ale powiedz tylko, czy kiedykolwiek coś ugotowałeś?

– Kiedyś grillowałem steki na palenisku, nie pamiętasz?

Mniej więcej w tym momencie doktor van der Jagt uniosła delikatną rączkę.

– Musimy postarać się wyjść poza te sprzeczki. Musimy znaleźć to, co sprawia, że jesteście nieszczęśliwi. Mówicie tylko o tym, co dzieje się na powierzchni.

Poszliśmy tam też w następnym tygodniu, a potem tydzień później. Doktor van der Jagt poprosiła nas o wypełnienie kwestionariusza oceniającego nasz poziom zadowolenia z małżeństwa. Dała nam też książki do przeczytania: *Przytul mnie*, traktującą o tym, że pary często mają problemy z porozumiewaniem się, oraz *Wulkan pod łóżkiem*, która dotyczyła pokonywania okresów seksualnej posuchy i była całkiem pikantną lekturą. Zdjąłem okładki z obu książek i założyłem nowe. Dzięki temu ludzie w radiu myśleli, że czytam Toma Clancy’ego.

Pomalutku załapałem ten żargon.

Określenie „znajdź winowajcę” odnosi się do sytuacji, kiedy kłócisz się ze swoim współmałżonkiem i obie osoby starają się mieć ostatnie słowo. Kto nie zamknął drzwi do garażu? Kto zostawił kłaki Wielkiej Stopy w odpływie prysznica? Będąc parą, musicie zrozumieć, że nie ma winowajcy. Jeśli jesteś w związku małżeńskim, nie możesz mieć ostatniego słowa w sporze. Bo jeśli wygrasz, współmałżonek przegra, a to jemu czy jej się nie spodoba, w konsekwencji zaś również ty, w dużej mierze, przegrywasz.

Ponieważ byłem ułomnym mężem i jako natura introspektywna, zacząłem spędzać dużo czasu samotnie. Chodziłem więc na siłownię i korzystałem z sauny. Wlewałem trochę olejku eukaliptusowego do wiadra z wodą, polewałem wodą sztuczne kamienie i czekałem, aż nagromadzi się para, a potem odwracałem miniaturową klepsydrę i dopóki piasek się nie przesypał, prowadziłem introspekcję. Lubilem sobie wyobrażać, że ciepło wypala cały mój nadbagaż – mogłem spokojnie nieco zrzucić, podobnie jak ten gość obok mnie – aż nie będzie już nic poza czystą pozostałością Charliego D. Większość facetów już po dziesięciu minutach wrzeszczała, że się upiekli; wyrwali stamtąd jak poparzeni. A ja nie. Odwracałem tylko klepsydrę i dalej siedziałem w kucki. Teraz gorąc wypalał moje prawdziwe zanieczyszczenia. Rzeczy, o których nikomu nawet nie wspominałem. Na przykład to, jak wkrótce po narodzinach Bryce przez sześć miesięcy ciągiem miał kolkę, a ja, żeby nie wyrzucić go przez okno, wypijałem kilka szklaneczek bourbona przed kolacją, a gdy nikt nie patrzył, traktowałem Grzywkę jako mój osobisty worek treningowy. Był wtedy tylko szczeniakiem, miał osiem czy dziewięć miesięcy. Zawsze czymś się naraził. I ja, dorosły mężczyzna, tłukący własnego psa, który skomlał tak, że Johanna wołała: „Hej! Co robisz?”. A ja krzyczałem w odpowiedzi: „On tylko udaje! Nawet nie wiesz, jaki to oszust!”. Albo też czasami, względnie niedawno, kiedy Johanna leciała do Chicago albo do Phoenix, myślałem: Co by to było, gdyby jej samolot spadł? Czy inni ludzie czuli to samo, czy to tylko ja? Czy byłem zły? Czy Damien w *Omenie* i w *Omenie II* wiedział, że jest zły? Czy uważał, że *Ave Satani* to po prostu chwytliwa ścieżka dźwiękowa? „Posłuchajcie tylko, oni grają moją piosenkę!”

Moje introspekcje musiały na coś się przydać, ponieważ zacząłem zauważać wzorce zachowań. I tak, na przykład, jeśli Johanna przychodziła do mojego biura, żeby wręczyć mi nakrętkę z pasty do zębów, którą zapomniałem zakręcić, to ja później mówiłem *Achtung!*, kiedy Johanna prosiła mnie, żebym wyniósł posortowane odpady, na co Johanna wściekała się jak wszyscy diabli, i zanim zdążyliśmy się zorientować, toczyliśmy trzecią wojnę światową.

Podczas spotkań terapeutycznych, gdy doktor van der Jagt prosiła mnie, żebym coś powiedział, mówiłem:

– W tym tygodniu do pozytywów mogę zaliczyć to, że staję się bardziej świadomy, jak upiorne są nasze dyskusje. Zdaję sobie sprawę, że to nasz prawdziwy wróg. Nie my nawzajem. To te nasze upiorne dyskusje. Dobrze wiedzieć, że Johanna i ja możemy się zjednoczyć przeciw tym wzorcom zachowań, właśnie teraz, gdy jesteśmy ich bardziej świadomi.

Ale łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić.

W pewien weekend jedliśmy kolację ze znajomą parą. Dziewczyna, Terri, pracowała z Johanną w Hyundaiu. Jej mąż, o imieniu Burton, pochodził ze wschodniego wybrzeża.

Chociaż tego po mnie nie widać, jestem z natury człowiekiem nieśmiałym. Jeśli mam się odprężyć wśród ludzi, lubię najpierw wychylić kilka margarit. I właśnie zacząłem czuć się zupełnie dobrze, kiedy ta dziewczyna, Terri, oparła łokcie na stole i pochyliła się ku mojej żonie, gotowa na to ich babskie gadanie.

– Jak się poznaliście? – zapytała Terri.

W tym czasie byłem zajęty rozmową z Burtonem o jego alergii na pszenicę.

– To miało być małżeństwo, żeby załatwić mi zieloną kartę – odparła Johanna.

– Na początku – wtrąciłem.

Johanna nie odrywała wzroku od Terri.

– Pracowałam w stacji radiowej. Kończyła mi się wiza. Znałam trochę Charliego. Uważałam go za naprawdę miłego faceta. No i, *ja*, pobraliśmy się, mam zieloną kartę, no i wiesz, *ja, ja*.

– To rozsądne – odezwał się Burton, patrząc to na jedno, to na drugie z nas i kiwając głową, jakby rozwiązał zagadkę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem.

– Charlie, bądź uprzejmy – powiedziała Johanna.

– Przecież jestem uprzejmy – odparłem. – Burton, czy uważasz, że jestem nieuprzejmy?

– Chodziło mi tylko o to, że jesteście z różnych krajów. Musiało być tu jakieś drugie dno.

W następnym tygodniu podczas sesji terapii małżeńskiej po raz pierwszy to ja zacząłem rozmowę.

– Mój problem polega na tym... – odezwałem się. – Tak, bo mam pewien problem. Kiedy ludzie pytają, jak się poznaliśmy, Johanna zawsze mówi, że poślubiła mnie, żeby dostać zieloną kartę. Tak jakby nasze małżeństwo było jakimś teatrem.

– Wcale tak nie mówię – odpowiedziała Johanna.

– Oczywiście, że tak mówisz, jak dwa razy dwa to cztery.

– Ale przecież to prawda, czyż nie?

– Z tego co mówi Charlie – odezwała się doktor van der Jagt – wynika, że kiedy tak mówisz, nawet jeśli twoim zdaniem podajesz tylko fakty, Charlie może odnieść wrażenie, że lekceważysz waszą więź.

– A co mam mówić? – zapytała Johanna. – Wymyślić jakąś historię, żeby móc opowiedzieć, jak się poznaliśmy?

Według *Przytul mnie*, kiedy Johanna powiedziała Terri o zielonej karcie, poczułem, że moja więź przywiązaniowa jest zagrożona. Miałem wrażenie, że Johanna się ode mnie odsuwa, a to powodowało, że chciałem ją odnaleźć, próbując uprawiać seks, kiedy wróciliśmy do domu. Ponieważ nie zachowywałem się zbyt miło wobec Johanny podczas wieczornego wyjścia (a to dlatego, że wściekłem się z powodu tej sprawy z zieloną kartą), nie była w odpowiednim nastroju. Miałem też powyżej uszu grania tej przyjaznej istoty. Innymi słowy, to gburowaty, pijany, skrycie niedowartościowany i przestraszony towarzysz życia ruszył na drugą stronę materaca z pianki z pamięcią kształtu. Pianka z pamięcią kształtu sama w sobie jest punktem spornym, ponieważ Johanna uwielbia ten materac, a ja jestem przekonany, że to on jest przyczyną bólu, który czuję w okolicy lędźwi.

To był nasz wzór zachowania: Johanna uciekała, a ja tropiłem ją jak pies.

Czytając i rozmyślając, ciężko nad tym wszystkim pracowałem. Po blisko trzech miesiącach terapii sprawy wokół La Casa D. zaczęły wyglądać lepiej. Po pierwsze, Johanna awansowała, o czym już wspominałem, z przedstawiciela lokalnego na regionalnego. Naszym priorytetem było wspólne spędzanie czasu. Zgodziłem się nieco ograniczyć picie.

Mniej więcej w tym czasie Cheyenne, mała dziewczyna, która była opiekunką naszych dzieci, pojawiła się u nas w nocy, cuchnąc chlewem. Okazało się, że ojciec wyrzucił ją z domu. Najpierw przeprowadziła się do brata, ale było tam za dużo narkotyków, więc się wyniosła. Każdy facet, który oferował jej miejsce u siebie, chciał tylko jednego, więc w końcu Cheyenne zmuszona była spać w swoim chevrolecie. Słyszając to, Johanna, którą łatwo wziąć na litość i która marnuje swój głos w wyborach, popierając Partię Zielonych, zaproponowała Cheyenne pokój. W związku z częstszymi podróżami Johanny i tak potrzebowaliśmy dodatkowej pomocy przy dzieciach.

Gdy Johanna wracała z podróży, obie zachowywały się jak najlepsze przyjaciółki, śmiały się i plotkowały. Potem Johanna wyjeżdżała, a ja uzmysławiałem sobie, że wyglądam przez okno, kiedy Cheyenne opala się przy basenie. Mógłbym policzyć jej wszystkie zębra.

A do tego lubiła palenisko. Przychodziła prawie co wieczór.

– Masz ochotę poznać mojego przyjaciela, pana George’a Dickela? – zapytałem.

Cheyenne spojrzała na mnie, jakby czytała w moich myślach.

– Jestem niepełnoletnia, pan wie – powiedziała. – Nie mogę pić alkoholu.

– Ale głosować już możesz, prawda? A także wstąpić do sił zbrojnych i bronić swojego kraju.

Nalałem jej szklaneczkę.

Wyglądało na to, że próbowała już wcześniej.

Te wszystkie noce spędzone przy ognisku z Cheyenne sprawiły, że zapomniałem, kim jestem, że jestem Charliem D., mężczyzną pokrytym plamami od słońca i śladami długiego życia, a Cheyenne to tylko Cheyenne, dziewczyna niewiele starsza od tej, której John Wayne szuka w *Poszukiwaczach*.

Zacząłem wysyłać jej SMS-y z pracy. Zanim się obejrzałem, zacząłem zabierać ją do sklepów; kupowałem jej koszulkę z czaszką, paczkę stringów z Victoria’s Secret albo nowy telefon z Androidem.

– Nie wiem, czy mogę przyjmować od ciebie te wszystkie prezenty – powiedziała Cheyenne.

– Wyluzuj, przynajmniej tyle mogę zrobić. Pomagasz i mnie, i Johannię. To część twojej pracy. A to uczciwa zapłata.

Byłem na poły tatusiem, na poły ukochanym. Wieczorami rozmawialiśmy przy ognisku o dzieciństwie, moim nieszczęśliwym w przeszłości, jej nieszczęśliwym w teraźniejszości.

Johanna znikła z domu na połowę każdego tygodnia. Wracała rozpieszczona życiem w hotelu, oczekując obsługi do pokoju i papieru toaletowego złożonego w kształcie litery V. Potem znowu znikła.

Pewnej nocy oglądałem program *Monday Night Football*. Kiedy pojawiła się reklama rumu Captain Morgan – przyznaję, że reklamy mnie rajcują – pomyślałem, żeby napić się morgana z colą, więc przyrządziłem sobie drinka. Cheyenne weszła do pokoju.

– Co oglądasz? – zapytała.

– Futbol. Chcesz się napić? Rum korzenny.

– Nie, dziękuję.

– Pamiętasz te stringi, które ci niedawno kupiłem? Jak ci pasują?

– Świetnie.

– Mogłabyś być modelką Victoria's Secret, uwierz mi, Cheyenne.

– Ależ skądże! – Roześmiała się, wyraźnie spodobał jej się ten pomysł.

– Może byś je przede mną przymierzyła? A ja to ocenię.

Cheyenne odwróciła się przodem do mnie. Wszystkie dzieci spały. W telewizji krzyczeli kibice. Patrząc mi prosto w oczy, rozpięła kłamrę obciętych džinsów i pozwoliła im spaść na podłogę.

Rzuciłem się na kolana, jakbym się modlił. Wtuliłem twarz w twarde, drobny brzuch Cheyenne, starając się wdychać jej zapach. Przesunąłem się niżej.

W tym czasie Cheyenne podniosła nogę jak kapitan Morgan i rymnęliśmy.

Okropne, wiem. Karygodne. Nietrudno tu wskazać winowajcę.

Dwa razy, może trzy. No dobra, raczej siedem. Ale pewnego ranka Cheyenne otwiera nabiegłe krwią oczy nastolatki i mówi:

– Wiesz, mógłbyś być moim dziadkiem.

A potem dzwoni do mnie do pracy, kompletnie rozhisteryzowana. Jadę po nią samochodem, gnamy do apteki CVS po domowy test ciążowy. Jest

tak podenerwowana, że ani myśli czekać, aż wróci do domu, żeby go użyć. Każe mi zatrzymać samochód, potem schodzi do rowu i w nim kuca, a kiedy wraca, po policzkach spływa jej tusz do rzęs.

– Nie mogę mieć dziecka! Mam dopiero dziewiętnaście lat!

– Spokojnie, Cheyenne, pomyślmy chwilę – odpowiedziałem.

– Będiesz wychowywał to dziecko, Charlie D.? Będiesz utrzymywać mnie i to dziecko? Jesteś stary. Twoje plemniki są stare. Dziecko może mieć autyzm.

– Gdzie to wyczytałaś?

– Widziałam materiał o tym w wiadomościach.

Nie musiała długo się zastanawiać. Jestem przeciwnikiem aborcji, ale w tych okolicznościach doszedłem do wniosku, że to jej wybór. Cheyenne powiedziała, że sama się wszystkim zajmie. Sama się umówiła. Powiedziała, że nawet nie muszę z nią iść. Potrzebowała tylko trzech tysięcy dolarów.

Tak, również mnie wydawało się to dużo.

Tydzień później idę z Johanną na terapię małżeńską. Kroczymy frontową ścieżką do domu doktor van der Jagt, kiedy czuję, że w kieszeni wibruje mi telefon. Otwieram drzwi przed Johanną i mówię:

– Ty pierwsza, kochanie.

To była wiadomość od Cheyenne.

– Już po wszystkim. Powodzenia w życiu.

Wcale nie zaszła w ciążę. Wtedy to zrozumiałem. W ogóle mnie to nie obchodziło. Zniknęła. Byłem bezpieczny. Znowu się wywinąłem.

I co wtedy zrobiłem? Wszedłem do gabinetu doktor van der Jagt, usiadłem na kozetce i spojrzałem na Johannę. Moja żona. Już nie tak młoda jak kiedyś, to jasne. Ale starsza i bardziej zużyta głównie z mojego powodu. Z powodu wychowywania moich dzieci, prania moich rzeczy i gotowania moich posiłków, cały czas pracując w pełnym wymiarze godzin. Widząc, jak Johanna wygląda, taka smutna i wykończona, poczułem, że coś mnie dławi. I gdy tylko doktor van der Jagt zapytała, co mam do powiedzenia, ta cała historia po prostu się ze mnie wylała.

Musiałem wyznać zbrodnię. Miałem wrażenie, że wybuchnę, jeśli tego nie zrobię.

A to coś znaczy. To znaczy, że kiedy się nad tym zastanowić, prawda jest prawdą. Prawda wyjdzie na jaw.

Aż do tamtej chwili nie byłem tego taki pewien.

Kiedy minęło nasze pięćdziesiąt minut, doktor van der Jagt odprowadziła nas do tylnych drzwi. Jak zawsze nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie rozglądać, czy ktoś nas nie widzi.

Ale prawdę mówiąc, dlaczego się tak czailiśmy? Czego się wstydziliśmy? Byliśmy tylko dwojgiem ludzi, zakochanych i w kłopotach, zmierzających do naszego nissana, żeby odebrać dzieci ze szkoły. Kiedy daleko w Alpach znaleźli i wykopali prehistorycznego człowieka zamrożonego w tundrze, faceta, którego nazwali Ötzim, zobaczyli, że oprócz skórzanych butów wypełnionych trawą i czapki z niedźwiedziego futra nosił też małe drewniane pudełko z węgielkiem w środku. I to właśnie robiliśmy z Johanną, chodząc na terapię małżeńską. Przeżywaliśmy epokę lodowcową, uzbrojeni w łuki i strzały. Mieliśmy rany odniesione w poprzednich potyczkach. Jeśli chorowaliśmy, mogliśmy sięgnąć tylko po lecznicze zioła. W lewym ramieniu tkwił mi krzemienny grot strzały, co trochę mnie spowalniało. Ale mieliśmy ze sobą tę skrzynkę z węgielkiem i gdybyśmy tylko mogli ją gdzieś zanieść – nie wiem, do jakiejś jaskini czy kępy sosen – moglibyśmy użyć tego węgielka, żeby ponownie wzniecić ogień naszej miłości. Siedząc z kamienną twarzą na kozetce doktor van der Jagt, myślałem długo o Ötzim, zupełnie samotnym tam, gdzie został zabity. Najwyraźniej go zamordowano. Miał pękniętą czaszkę. Trzeba zdawać sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach nie jest aż tak źle, jak mogłoby się wydawać. Statystycznie rzecz biorąc, poziom przemocy wśród ludzi jest znacznie niższy niż w czasach prehistorycznych. Gdybyśmy żyli w czasach Ötziego, musielibyśmy oglądać się za siebie za każdym razem, gdy wychodziliśmy na spacer. W tych warunkach któż mógłby być dla mnie bardziej pożądanym towarzyszem niż Johanna z jej szerokimi ramionami, silnymi nogami i niegdyś płodnym łonem? Przez cały czas nosiła nasz węgielek, już od lat, mimo wszystkich moich prób, by go zdmuchnąć.

Przy samochodzie, jak na złość, pilot w breloczku na klucze musiał nie zadziałać właśnie w tym momencie. Naciskałem i naciskałem. Johanna stała na żwirze, sprawiając wrażenie poniżonej, dziwnie jak na nią małej, i krzyczała: „Nienawidzę cię! Nienawidzę!”. Patrzyłem na moją płaczącą żonę, jakbym obserwował ją z daleka. To była ta sama kobieta, która kiedy staraliśmy się o Lucasa, zadzwoniła do mnie i podobnie jak Tom Cruise w *Top Gun* powiedziała: „Czuję potrzebę. Potrzebę płodności!”. Gnałem

wówczas do domu z pracy i gdy tylko wbiegałem do sypialni, ścigałem kamizelkę i krawat bolo, czasami zostawiając na nogach kowbojskie buty (choć czułem, że nie należy tak robić, i starałem się tego unikać), a tam czekała Johanna, leżąc na plecach, z nogami i rękami rozłożonymi szeroko na powitanie, z ognistoczerwonymi policzkami, więc rzucałem się na nią i opadałem, i tak głęboko w nią opadałem – miałem wrażenie, że bez końca – i oboje gubiliśmy się w słodkim, uroczystym zajęciu płodzenia dziecka.

I właśnie dlatego siedzę w tych krzakach. Johanna mnie wyrzuciła. Teraz mieszkam w centrum, w pobliżu dzielnicy kin, gdzie wynajmuję dwupokojowe mieszkanie w przesadnie drogim kompleksie mieszkań własnościowych, które pobudowali przed załamaniem rynku i teraz nie mogą ich zapełnić.

Jestem pewien, że znajduję się teraz około osiemnastu metrów od domu. Może siedemnaście i pół. Chyba podejść bliżej.

Siedemnaście.

Szesnaście i pół.

I co pan na to powie, panie stróżu prawa?

Stojąc obok jednego z reflektorów, przypominam sobie, że zakaz zbliżania się nie mówi o piętnastu metrach. To ma być pięćdziesiąt metrów. Powinienem być w odległości pięćdziesięciu metrów!

Psiakrew.

Nie ruszam się jednak. I nawet powiem dlaczego: jeśli mam być pięćdziesiąt metrów dalej, to oznacza, że od tygodni łamię zakaz zbliżania się.

Już jestem winny.

Równie dobrze mogę więc znaleźć się bliżej.

Na przykład na ganku.

Tak jak myślałem: drzwi frontowe są otwarte. Niech to szlag, Johanna! – tak sobie myślę. Faktycznie, dlaczego po prostu nie zostawić szeroko otwartego domu, żeby pierwszy lepszy napastnik mógł wejść do środka jak gdyby nigdy nic?

Przez chwilę mam wrażenie, jakby wróciły dawne czasy. Zły jak osa stoję we własnym domu. Przepełnia mnie słodka potrzeba, by się

usprawiedliwić. Wiem, kto jest winowajcą. To Johanna. Aż mnie nosi, żeby pójść, znaleźć ją i krzyknąć: „Zostawiłaś otwarte drzwi! Znowu”. Ale nie mogę zrobić tego teraz, ponieważ, formalnie rzecz biorąc, włamuję się i wchodzę.

Potem dociera do mnie zapach. To nie woń De Rougemontów. To częściowo zapach kolacji – kotletów jagnięcych i wina do gotowania. Miły. A częściowo zapach szamponu Meg, która przed chwilą wzięła prysznic na górze. Wilgotne, ciepłe, przepojone perfumami powietrze spływa w dół schodów. Czuję je na policzkach. Mogę też wyczuć Grzywkę, który jest zbyt stary nawet na to, żeby przyjść i powitać swojego pana, co w tych okolicznościach akurat mi odpowiada. Wszystkie te zapachy czuję naraz, a to oznacza, że to nasz zapach. Zapach rodziny D.! W końcu przeżyliśmy tu już tyle czasu, żeby wyprzeć zapach starych ludzi, zapach po De Rougemontach. Po prostu nie zdawałem sobie z tego wcześniej sprawy. Musiałem zostać wyrzucony z własnego domu, żeby po powrocie poczuć ten zapach, który, jak mi się wydaje, nawet gdybym był małym dzieckiem o wyjątkowym węchu, wydawałby mi się wyłącznie przyjemny.

Na górze Meg wybiega ze swojego pokoju.

– Lucas! – krzyczy. – Co zrobiłeś z moją ładowarką?!

– Nic nie zrobiłem – odpowiada Lucas (jest w swoim pokoju).

– Właśnie, że ją wzięłeś!

– Nie wzięłem!

– Tak, wzięłeś!

– Mamo! – Meg krzyczy i podchodzi na szczyt schodów, skąd mnie widzi. A może nie. Musi nosić okulary. Patrzy w dół, tam, gdzie stoję w cieniu, i krzyczy:

– Mamo! Powiedz Lucasowi, żeby oddał mi moją ładowarkę!

Coś słyszę i się odwracam. Za mną stoi Johanna. Na mój widok robi coś zabawnego – odskakuje. Twarz jej bieleje i moja żona mówi:

– Dzieciaki! Zostańcie na górze!

No co ty, daj spokój, myślę. To tylko ja.

Wciąż cofając się, Johanna naciska przycisk szybkiego wybierania na swoim telefonie.

– Nie musisz tego robić – mówię. – Daj spokój, Jo-Jo.

Dalej wybiera 911. Wyciągam rękę w jej stronę. Nie zamierzam wyrwać jej telefonu. Chcę tylko, żeby się rozłączyła, i odejdę. Ale nagle trzymam

telefon w ręce, Johanna krzyczy i ni stąd, ni zowąd coś wskakuje mi na plecy, obalając mnie na ziemię.

To Bryce. Mój syn.

Nie jest na lekcji gry na trąbce. Może zrezygnował. Zawsze dowiaduję się o wszystkim ostatni.

Bryce ma w ręce jakiś sznur czy przedłużacz, a do tego jest silny jak byk. Zawsze brał stronę Johanny. Mocno przyciska kolano do moich pleców, próbując związać mi ręce przedłużaczem.

– Mam go, mamgo! – krzyczy.

Próbuję coś powiedzieć. Ale mój syn wciska mi twarz w dywan.

– Hej, Bryce, puść mnie – mówię. – To ja, tato. Pod spodem jest tato. Bryce? Nie czas na żarty.

Próbuję zastosować stary chwyt zapaśniczy z Michigan, nożyce. Działa jak marzenie. Zrzucam Bryce'a z siebie, a on upada na plecy. Próbuje się wyrwać, ale jestem od niego szybszy.

– A teraz – mówię. – Kto jest teraz twoim tatusiem, Bryce? No? Kto jest twoim tatusiem?

W tym momencie zauważam Meg stojącą na schodach. Stała tam sparaliżowana przez cały czas. Ale kiedy podnoszę na nią wzrok, zmyka. Boi się mnie.

Na ten widok opuszcza mnie jakakolwiek wola walki. Meg? Cukiereczku? Tatuś cię nie skrzywdzi.

Ale już jej nie ma.

– Dobra – mówię. – Spadam.

Odwracam się i wychodzę na zewnątrz. Patrzę w niebo. Nie ma gwiazd. Wyciągam ręce przed siebie i czekam.

Po dostarczeniu mnie na komendę policjant zdjął mi kajdanki i przekazał mnie szeryfowi, który polecił mi opróżnić kieszenie: portfel, telefon komórkowy, drobnizny, buteleczka 5-Godzinnej Energii i wyrwana z jakiegoś magazynu reklama internetowego serwisu randkowego Ashley Madison. Kazał mi umieścić wszystkie te rzeczy w zamkniętym plastikowym woreczku i podpisać formularz potwierdzający jego zawartość.

Było już za późno, żeby dzwonić do biura mojego adwokata, więc wybrałem numer komórki Peekskilla i zostawiłem wiadomość na jego poczcie głosowej. Zapytałem, czy coś takiego liczy się jako połączenie. Liczyło się.

Poprowadzili mnie korytarzem do pokoju przesłuchań. Mniej więcej pół godziny później zjawia się facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem, oficer śledczy, i siada.

– Ile wypił pan dziś wieczorem? – pyta mnie.

– Trochę.

– Barman w Le Grange powiedział, że przyszedł pan koło południa i został pan, aż skończyli podawać drinki w niższych cenach.

– Tak jest. Nie będę pana okłamywać.

Śledczy odsuwa się na krzesło.

– Ciągłe mamy tutaj takich gości jak pan – mówi. – Wiem, jak pan się czuje. Też jestem rozwiedziony. Dwa razy. Myśli pan, że czasami nie chcę wsadzić mojej starej? Ale wie pan co? Ona jest matką moich dzieci. Wydaje się to panu żalosne? Bo mnie nie, dla mnie tak nie jest. Musi pan dopilnować, żeby była szczęśliwa, czy to się panu podoba, czy nie. Ponieważ pańskie dzieci będą z nią mieszkać i to one za to zapłacą.

– One są też moimi dziećmi – mówię. Mój głos brzmi nienaturalnie.

– Jasne.

Powiedziawszy to, wychodzi. Rozglądam się po pokoju, sprawdzając, czy nie ma tu lustra weneckiego, jak w serialu *Prawo i porządek*, a kiedy się upewniam, że nie, po prostu zwieszam głowę i płaczę. Kiedy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie moje aresztowanie i to, jaki będzie ze mnie twardziel. Nic by ze mnie nie wyciągnęli. Prawdziwy człowiek wyjęty spod prawa. Ale teraz, gdy rzeczywiście zostałem aresztowany, jestem tylko facetem z siwą szczecina na policzkach i z wciąż lekko krwawiącym nosem, po tym jak Bryce rozgniół go o dywan.

Jest coś, co udało się zrozumieć na temat miłości. Naukowo. Przeprowadzono badania, żeby dowiedzieć się, co łączy pary. I wiecie, co to jest? Nie chodzi o to, żeby się ze sobą zgadzać. Nie chodzi o pieniądze ani o dzieci, ani o podobne spojrzenie na życie. Tylko o kontaktowanie się ze sobą. Robienie sobie nawzajem małych uprzejmości. Przy śniadaniu podajesz dżem. Lub na wycieczce po Nowym Jorku przez sekundę

trzymacie się za ręce w windzie metra. Pytasz: „Jak ci minął dzień?”. I udajesz, że cię to obchodzi. Takie rzeczy naprawdę działają.

Wydaje się to bardzo łatwe, prawda? Tylko że większość ludzi nie potrafi tego dopilnować. Pary nie tylko szukają winowajcy w czasie każdej kłótni, lecz wdają się też w coś, co nazywa się Polką Protestu. To taki rodzaj tańca, w którym jeden partner szuka otuchy w związku i zbliża się do drugiego, ale ponieważ zazwyczaj robi to, narzekając lub się gniewając, drugi partner chce uciec gdzie pieprz rośnie, więc się wycofuje. Dla większości ludzi ten skomplikowany manewr jest łatwiejszy niż pytanie: „Jak tam dzisiaj twoje zatoki, kochanie? Nadal zapchane? Tak mi przykro. Pozwól, że przyniosę ci sól fizjologiczną”.

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiam, ponownie wchodzi śledczy i mówi:

– No dobra. Spływaj pan.

Jego słowa oznaczają, że wychodzę. Nie protestuję. Podążam za nim korytarzem do holu przy wejściu do komendy. Spodziewam się zobaczyć Peekskilla, i rzeczywiście tam jest. Papla z sierżantem przy biurku, ubarwiając rozmowę radosnymi przekleństwami. Nikt nie potrafi powiedzieć „ty skurwysynu” z większą radością życia niż adwokat Peekskill. Zupełnie mnie to wszystko nie zaskakuje. Zaskakuje mnie to, że metr za Peekskillem stoi moja żona.

– Johanna nie zamierza wnosić oskarżenia – mówi Peekskill, podchodząc do mnie. – Z prawnego punktu widzenia to głównie oznacza, ponieważ zakaz zbliżania się jest egzekwowany przez władze stanowe. Ale policja nie chce cię o nic oskarżać, jeśli żona nie zamierza tego popierać. Muszę ci jednak powiedzieć, że to ci nie pomoże przed sędzią. Może nie udać się nam uchylić tego zakazu.

– Nigdy? – pytam. – Jestem teraz bliżej od niej niż pięćdziesiąt metrów.

– To prawda, ale jesteś na posterunku policji.

– Czy mogę z nią porozmawiać?

– Chcesz z nią porozmawiać? Nie radziłbym tego w tym momencie.

Ale już idę przez hol komisariatu.

Johanna z opuszczoną głową stoi przy drzwiach.

Nie jestem pewien, kiedy znowu się z nią zobaczę, więc przyglądam jej się bardzo uważnie.

Patrzę na nią, ale nic nie czuję.

Nie mogę nawet powiedzieć, czy jest jeszcze ładna.

Pewnie jest. Na przyjęciach inni ludzie, a przynajmniej mężczyźni, zawsze mówią: „Wyglądasz jakoś znajomo. Byłaś może kiedyś cheerleaderką drużyny Dallas Cowboys?”.

Patrzę. Nie odrywam od niej wzroku. W końcu Johanna spogląda mi w oczy.

– Chciałbym, żebyśmy znowu byli rodziną – mówię.

Trudno odczytać wyraz jej twarzy. Ale mam wrażenie, że młoda twarz Johanny jest schowana pod jej nowym, starszym obliczem i że jest ono czymś w rodzaju maski. Chcę, żeby jej młodsza twarz wyszła na wierzch, nie tylko dlatego, że to była twarz, w której się zakochałem, ale dlatego, że to ta twarz mnie kochała. Pamiętam, jak marszczyła się, kiedy tylko wchodziłem do pokoju.

Teraz się nie marszczy. Wygląda bardziej jak dynia na Halloween, dynia, w której zgasła świeca.

I wtedy mówi mi, co i jak:

– Próbowалаm przez długi czas, Charlie. Chciałam cię uszczęśliwić. Myślałam, że jeśli zarobię więcej pieniędzy, to cię uszczęśliwi. Albo jeśli będziemy mieli większy dom. Albo jeśli dam ci spokój, żebyś mógł przez cały czas pić. Ale żadna z tych rzeczy cię nie uszczęśliwiła, Charlie. A i mnie one też nie uszczęśliwiły. Teraz, kiedy się wyprowadziłeś, jestem smutna. Płacę co noc. Ale teraz, kiedy znam prawdę, mogę zacząć sobie z tym radzić.

– Ale to nie jest jedyna prawda – mówię. Brzmi to bardziej niejasno, niż zamierzałem, więc rozpościeram szeroko ramiona, jakbym obejmował cały świat, ale w efekcie wygląda to jeszcze bardziej niejasno.

Próbuję jeszcze raz.

– Nie chcę być tą osobą, którą byłem – mówię. – Chcę się zmienić.

Mówię to szczerze. Ale jak większość szczerych wypowiedzi, i ta jest dosyć wyświechtana. Poza tym, ponieważ wyszedłem z praktyki, jeśli chodzi o bycie szczerym, stale mam wrażenie, że kłamię.

Nie jestem zbyt przekonujący.

– Jest późno – mówi Johanna. – Jestem zmęczona. Idę do domu.

– Do naszego domu – mówię.

Ale ona jest już w połowie drogi do samochodu.

Nie wiem, dokąd idę. Po prostu wędruję. Nie chcę wracać do mojego mieszkania.

Po tym, jak ja i Johanna kupiliśmy dom, spotkaliśmy się z dawnymi właścicielami; nie zgadniecie, jaki numer ten stary gość mi wykreślił. Szliśmy do kotłowni – chciał objaśnić mi obsługę bojlera – i ten stary poruszał się bardzo powoli. Ale nagle szybko się odwrócił i spojrzawszy na mnie spod swojego starego łysego łba, powiedział:

– Jeszcze się doczekasz.

Miał kręgosłup powykrzywiany we wszystkie strony. Mógł tylko powłóczyć nogami. I chyba dlatego, chcąc choć na chwilę pozbyć się wstydu, że jest bliżej śmierci niż ja, zaserwował mi ponure przypomnienie, że pewnego dnia skończę tak jak on, szurając nogami po tym domu jak inwalida.

Rozmyślając o panu De Rougemont, nagle odkryłem, w czym tkwi mój problem i dlaczego zachowuję się tak obłądnie.

To śmierć. To śmierć jest winowajcą.

Hej, Johanna. Znalazłem winowajcę! To śmierć.

Idę dalej, rozmyślając o tym. Tracę poczucie czasu.

Kiedy w końcu podnoszę wzrok, niech mnie drzwi ścisną, jeśli znowu nie stoję przed moim domem! Po drugiej stronie ulicy, tym razem na legalnym terenie, ale jednak. Nogi poniosły mnie tu z przyzwyczajenia, jak stary, sterany koń.

Wyciągam ponownie telefon. Może Meg wpisała jakieś słowo w naszej grze, kiedy byłem w areszcie.

Niestety, nie.

Kiedy nowe słowo ukazuje się w aplikacji Words with Friends, jest to piękny widok. Litery pojawiają się znikąd, jak drobiny gwiazdnego pyłu. Mogę być gdziekolwiek, robić cokolwiek, ale kiedy kolejne słowo Meg nadlatuje przez noc, a potem podskakuje i tańczy w moim telefonie, od razu wiem, że myśli o mnie, nawet jeśli stara się mnie pokonać.

Kiedy po raz pierwszy poszliśmy z Johanną do łóżka, byłem trochę onieśmielony. Nie jestem małym mężczyzną, ale leżenie na Johannie to zupełnie coś innego, coś jak z *Podróży Guliwera*. Wyglądało to tak, jakby Johanna usnęła, a ja wspiąłem się tam, żeby przyjrzeć się scenerii. Piękny widok! Pofałdowane wzgórza! Żyzne pola! Ale byłem tam sam jeden, nie całe miasteczko rzucających liny i przygwożdżających ją Liliputów.

Było to jednak dziwne. Tej pierwszej nocy z Johanną, a potem jeszcze bardziej każdej następnej, odczuwaliśmy to tak, jakby ona kurczyła się w łóżku – albo to ja rosłem – dopóki nie byliśmy tej samej wielkości. I krok po kroku to wyrównywanie rozmiaru ciągnęło się też w świetle dziennym. Nadal ściągaliśmy wzrok ludzi. Ale wyglądało to tak, jakby ludzie patrzyli na nas, na jedno stworzenie, a nie na dwoje odmieńców zrośniętych taliami. Na nas. Razem. W tamtych czasach nie uciekaliśmy przed sobą ani nie goniliśmy jedno za drugim. Po prostu się szukaliśmy i za każdym razem, gdy jedno z nas zaczynało poszukiwania, to drugie tam było, czekało, aż zostanie odnalezione.

Odnajdywaliśmy się tak długo, dopóki nie pogubiliśmy się nawzajem. „Tutaj jestem!” – mogło powiedzieć każde z nas gdzieś w głębi serca. „Chodź, znajdź mnie”. To tak proste, jak nałożenie rumieńca na tęczę.

2013

Proroczy srom

Czaszki to lepsze poduszki, niż mogłoby się z pozoru wydawać. Doktor Peter Luce (sławny seksuolog) opiera policzek na wyglądającej jak lakierowana kości ciemieniowej jakiegoś przodka plemienia Dawatów, trudno byłoby mi powiedzieć którego. Czaszka przechyla się w przód i w tył, od szczęki do podbródka, podczas gdy Luce'a delikatnie kołysze opierający się na następnej czaszce chłopiec, który masuje stopami plecy doktora. Luce gołymi nogami czuje szorstkość maty z włókien pandanu.

Jest środek nocy, pora, kiedy z jakichś powodów wszystkie jazgoczące bez przerwy stworzenia z dżungli na chwilę się zamykają. Luce nie jest specjalistą w zakresie zoologii. Odkąd tu przybył, nie zwracał większej uwagi na miejscową faunę. Nie mówił o tym nikomu w zespole, ale panicznie boi się węży i dlatego nie oddala się zbyt od wioski. Kiedy inni idą polować na dzika lub ścinać palmy sagowe, Luce zostaje, żeby dumać nad swoją sytuacją (a dokładniej, nad swoją zrujnowaną karierą, ale ma też inne powody do narzekań). Tylko raz, kiedy pijany nabrał odwagi i idąc się wysikać, ośmielił się oddalić od długich domów i stanął w gęstej roślinności; po mniej więcej trzydziestu pięciu sekundach poczuł, że dostaje gęsiej skórki, i pospieszył z powrotem. Nie wie, co się dzieje w dżungli, i nic go to nie obchodzi. Wie tylko, że każdego wieczoru o zachodzie słońca mały i ptaki zaczynają krzyczeć, a potem około pierwszej po południu czasu nowojorskiego – na który jego fosforyzujący zegarek jest wciąż wiernie ustawiony – milkną. Robi się idealnie cicho. Tak cicho, że Luce się budzi. Albo prawie się budzi. Ma teraz otwarte oczy, przynajmniej tak mu się wydaje. Nie robi to żadnej różnicy. Taka jest dżungla podczas nowiu. Ciemność absolutna. Luce trzyma ręce przed twarzą, dłonie niemal dotykają nosa, i nie może ich zobaczyć. Przesuwa policzek po czaszce, co powoduje, że chłopiec na moment przestaje go masować i wydaje cichy, pokorny okrzyk.

Dżungla, przesycona wilgocią niczym para, wdziera mu się w nozdrza; teraz już na pewno nie śpi. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego. Woń kojarzy mu się z błotem i kałem zmieszanymi z potem spod pach i robakami, choć i tak to nie wszystko. Jest tam też zapach dzikiej świni,

serowaty odór dwumetrowych orchidei i trupi oddech mięsożernych muchołówek. Wokół wioski, od bagnistego gruntu aż po wierzchołki drzew, zwierzęta zjadają się i trawią, bekając ciągle otwartymi pyskami.

Ewolucja nie ma spójnej strategii działania. Choć słynie z tego, że pozostaje wierna pewnym eleganckim formom (doktor Luce lubi na przykład wskazywać na strukturalne podobieństwo między małżami i żeńskimi narządami płciowymi), potrafi także ni z tego, ni z owego przejść do improwizacji. Taka jest właśnie ewolucja: mnogość możliwości, rozwijających się nie na drodze kolejnych ulepszeń, tylko poprzez zmiany, czasami dobre, czasami złe, a żadna z nich nie jest wcześniej przemyślana. Bo to rynek – to znaczy świat – decyduje. I dlatego tutaj, na wybrzeżu Casuarina, kwiaty wykształciły cechy, których Luce, chłopak z Connecticut, wcale nie kojarzy z kwiatami, choć również botanika nie jest jego specjalnością. Sądził, że kwiaty powinny ładnie pachnieć. Żeby przyciągnąć pszczoły. Tutaj jest zupełnie inaczej. Kilka jaskrawych kwiatów, w które nierozsądnie wetknął nos, cuchnęło prawie jak śmierć. Wewnątrz znajduje się zawsze niewielka ilość deszczówki (w rzeczywistości jest to kwas trawienny) i konsumowany przez roślinę uskrzydłony chrząszcz. Luce cofa gwałtownie głowę, trzymając się za nos, a potem słyszy, jak kilku Dawatów śmieje się do rozpuku gdzieś w krzakach.

Rozmyślenia przerywa mu kwilenie chłopca obok.

– *Cemen* – krzyczy chłopiec. – *Ake cemen*.

Wokół panuje cisza, kilku Dawatów mamrocze do siebie we śnie, a potem, jak każdej nocy, Luce czuje rękę chłopaka wpełzającą w jego szorty. Łapie chłopca delikatnie za nadgarstek, drugą ręką starając się natrafić w ciemnościach na latarkę. Włącza ją i blada wiązka oświetla twarz chłopca. On również opiera policzek o czołkę (konkretnie jego dziadka), upstrzoną ciemnopomarańczowymi plamami, śladami po wieloletnim zaroście i olejku do skóry. Pod kręconymi włosami chłopca są szeroko otwarte oczy, przestraszone światłem. Przypomina trochę młodego Jimiego Hendriksa. Ma szeroki, płaski nos i wydatne kości policzkowe. Jego pełne wargi są stale wydęte od mówienia pełnym wybuchowych dźwięków językiem Dawatów.

– *Ake cemen* – mówi znowu i może to coś znaczy. Jego uwięziona dłoń po raz kolejny sięga w stronę brzucha Luce’a, ale ten podwaja siłę uchwytu.

A teraz kolejne powody do narzekań: po pierwsze, konieczność pracy w terenie, i to w jego wieku. Wczoraj, po raz pierwszy od ośmiu tygodni otrzymawszy pocztę, zrywał w podekscytowaniu przemoczoną paczkę tylko po to, żeby znaleźć na okładce „The New England Journal of Medicine” informację o niemiarodajnych badaniach Pappas-Kikuchi. I do tego, bardziej bezpośrednio dotyczący go problem, ten dzieciak.

– Daj spokój – mówi Luce. – Idź spać.

– *Cemen. Ake cemen!*

– Dzięki za gościnność, ale nie, dziękuję.

Chłopak odwraca się i spogląda w ciemności chaty, a kiedy odwraca się ponownie, w świetle latarki widać w jego oczach łzy. Boi się. Szarpie Luce’a, błagalnie pochylając głowę.

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak etyka zawodowa, dzieciaku? – Mówi Luce.

Chłopiec prostuje się, patrzy na niego, próbuje zrozumieć, po czym znów zaczyna go szarpać.

Ten dzieciak prześladowuje go już od trzech tygodni. I nie chodzi o to, że jest zakochany czy coś podobnego. Jedną z wielu rzadkich cech plemienia Dawatów – co prawda to nie ta biologiczna osobliwość spowodowała Luce’a i jego zespół do Irianu Zachodniego, ale jest ona powiązana antropologicznie – jest to, że utrzymuje się w nim ścisłą segregację między jedną a drugą płcią. Wioska ma kształt ciężarka do ćwiczeń, zwężając się pośrodku, a na obu końcach mieszczą się długie domy. Mężczyźni i chłopcy śpią w jednym z nich, kobiety i dziewczęta w drugim. Mężczyźni Dawatów uważają kontakty z kobietami za wysoce nieczyste, w związku z czym ich organizacja struktur społecznych ma na celu w jak największym stopniu ograniczenie ryzyka takich kontaktów. I tak na przykład mężczyźni z plemienia Dawatów wchodzi do długiego domu kobiet wyłącznie w celu prokreacji. Szybko robią to co trzeba i zaraz wychodzą. Według Randy’ego, antropologa, który zna język Dawatów, słowo oznaczające „pochwę” w tym języku tłumaczy się dosłownie jako „to, co naprawdę nie jest dobre”. To, oczywiście, rozsierdziło Sally Ward, naszą endokrynolog, która przybyła tu, żeby zbadać poziomy hormonów osocza, i która jest mało tolerancyjna wobec tak zwanych różnic kulturowych, więc z czystego obrzydzenia i usprawiedliwionej złości podważa wartość antropologii, ilekroć ma okazję powiedzieć to Randy’emu prosto w twarz. Ale nie zdarza się to zbyt często,

ponieważ zgodnie z prawem plemiennym musi pozostać na drugim końcu wioski. A Luce nie ma pojęcia, jak tam jest. Plemię Dawatów wzniosło wał ziemny między tymi dwoma obszarami, naszpikowany włócznie i nabite są podłużne zielone tykwy, które początkowo sprawiały na Luce’u wrażenie krzepiąco odświeżających, niczym weneckie latarnie, dopóki Randy nie wyjaśnił, że tykwy tylko zastępują nabijane przed laty ludzkie głowy. W każdym razie ponad wałem niewiele można zobaczyć, a obie strony łączy tylko wąska ścieżka, na której kobiety zostawiają pożywienie dla mężczyzn i którą mężczyźni raz w miesiącu udają się, żeby przez trzy i pół minuty pokrywać swoje żony.

Chociaż w ograniczaniu seksu wyłącznie do prokreacji Dawatowie mogą wydawać się bardziej papiescy niż sam papież, są bardzo dużym wyzwaniem dla tutejszych misjonarzy. W Długim Domu Mężczyzn bynajmniej nie zachowują takiej czystości. Chłopcy z plemienia Dawatów mieszkają z matkami, dopóki nie ukończą siedmiu lat, kiedy to przeprowadzają się do domu mężczyzn. Przez następne osiem lat chłopcy są zmuszani do oralnej stymulacji męskich narządów płciowych starszych członków plemienia. Dawatowie w swoich wierzeniach nie tylko deprecjonują pochwy, lecz też wysławiają męskie narządy płciowe, a zwłaszcza nasienie, które uważa się za eliksir o oszałamiającej mocy odżywczej. Chcąc stać się mężczyznami, stać się wojownikami, chłopcy muszą przyjmować jak najwięcej nasienia i robią to co noc, co dzień, co godzinę. Pierwszej nocy w długim domu Luce i jego asystent, Mort, byli, delikatnie mówiąc, zaskoczeni, kiedy zobaczyli słodkich małych chłopców przechodzących posłusznie od jednego mężczyzny do drugiego, pochłonięci zajęciem przypominającym zabawę w chwytywanie zębami wiszących na sznurkach jabłek. Randy po prostu siedział i robił notatki. Gdy wszyscy mężczyźni byli zaspokojeni, jeden z wodzów, bez wątplenia w przejawie gościnności, krzyknął coś do dwóch chłopców, którzy podeszli wówczas do amerykańskich naukowców.

– Dziękuję – powiedział Mort do swojego dzieciaka. – Nie potrzebuję.

Nawet Luce poczuł, że zaczyna się pocić. Chłopcy spełniali swoje obowiązki na terenie chaty albo radośnie, albo z łagodną rezygnacją, jak dzieciaki wykonujące swoje prace domowe. Luce po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że wstydlivość seksualna jest konstruktem społecznym,

w pełni zależnym od kultury. A jednak wywodził się z kultury amerykańskiej, konkretnie z anglo-irlandzkiej, był niepraktykującym członkiem Kościoła episkopalnego i uprzejmie nie skorzystał z oferty młodego Dawata, ani tamtej nocy, ani dzisiejszej.

Nie umknęło mu jednak, że on, doktor Peter Luce, dyrektor Kliniki Zaburzeń Seksualnych i Tożsamości Płciowej, były sekretarz generalny Towarzystwa Naukowego Badania Seksualności, orędownik prowadzenia otwartych badań nad ludzkimi zachowaniami seksualnymi, przeciwnik pruderii, przekleństwa zahamowań i bojownik o prawo do wszelkich form przyjemności fizycznej, znalazłszy się na drugim końcu świata w erotycznej dżungli, czuje się aż tak spięty. W swoim dorocznym przemówieniu do członków towarzystwa w 1969 roku doktor Luce przypomniał zebranim seksuologom o historycznym konflikcie między badaniami naukowymi a powszechną moralnością. Popatrzcie tylko na Wesaliusza, powiedział. Popatrzcie na Galileusza. Zawsze myślący praktycznie Luce radził swoim słuchaczom podróżować do obcych krajów, gdzie tak zwane nietypowe praktyki seksualne były tolerowane i w związku z tym łatwiej je badać (na przykład sodomia w Holandii czy prostytutka na wyspie Phuket). Szczycił się otwartością swego umysłu. Ludzka seksualność była dla niego jak wielki obraz Bruegla, a on uwielbiał obserwować wszystkie aspekty. Luce starał się nie oceniać wartościująco rozmaitych klinicznie udokumentowanych parafilii i wyrażał sprzeciw tylko wtedy, gdy wyrządzały one wyraźną szkodę (jak w wypadku pedofilii i gwałtu). Jego tolerancja szła jeszcze dalej, gdy dotyczyło to innej kultury. Obciążanie druta w Długim Domu Mężczyzn mogłoby denerwować Luce'a, gdyby do czegoś takiego dochodziło w YMCA na Zachodniej Dwudziestej Trzeciej Ulicy, ale uważa, że tutaj nie ma prawa tego potępiać. W niczym nie pomoże mu to w pracy. Nie jest tu w roli misjonarza. Biorąc pod uwagę tutejsze obyczaje, ci chłopcy najprawdopodobniej nie zostaną wypaczeni przez swoje oralne obowiązki. W każdym razie oni i tak nie wyrastają na typowych heteroseksualnych mężów. Po prostu przechodzą od roli dawców do roli odbiorców i wszyscy są zadowoleni.

Dlaczego zatem Luce tak się denerwuje za każdym razem, gdy dzieciak zaczyna pocierać stopami o jego plecy i wydaje te swoje ciche krzyki godowe? Może ma to coś wspólnego z coraz niecierpliwszym brzmieniem samych okrzyków, nie mówiąc już o zmartwionym wyrazie twarzy tego

chłopaka. A może jest tak, że jeśli dziecko nie zaspokoi zagranicznych gości, czeka je jakaś kara? Luce w żaden inny sposób nie potrafi wyjaśnić zapachu dziecka. Czy uważają, że nasienie białych posiada szczególną moc? To raczej mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę, jak tragicznie wyglądają obecnie Luce, Randy i Mort z tłustymi włosami i z łupieżem. Dawatowie prawdopodobnie myślą, że ciała wszystkich białych mężczyzn są pokryte potówkami. Luce marzy o wzięciu prysznic. Marzy o założeniu kaszmirowego golfu, butów do kostki, zamszowej marynarki i wyjściu na whiskey sour. Po tej wyprawie jego najbardziej egzotycznym pragnieniem jest kolacja w polinezyjskiej restauracji Trader Vic's. A jeśli wszystko się uda, tak właśnie będzie. On na Manhattanie, a do tego drink Mai Tai z parasoleczką.

Jeszcze trzy lata temu – aż do tego wieczoru, kiedy Pappas-Kikuchi Niemile zaskoczyła go nieoczekiwanymi wynikami swojej pracy w terenie – doktora Petera Luce'a uważano za najwybitniejszy na świecie autorytet w dziedzinie ludzkiej interseksualności. Był autorem poważnej pracy seksuologicznej *Proroczy srom*, która stała się klasyczną lekturą dla przedstawicieli różnych nauk, od genetyki i pediatrii do psychologii. Pod tym samym tytułem od sierpnia 1969 do grudnia 1973 roku ukazywały się w „Playboyu” felietony, w których spersonifikowany i wszechwiedzący żeński narząd płciowy odpowiadał na pytania męskich czytelników, udzielając błyskotliwych, a czasami sybilińskich odpowiedzi. Hugh Hefner trafił na nazwisko Petera Luce'a w artykułach traktujących o wolności seksualnej. Na głównym placu miasteczka studenckiego Uniwersytetu Columbia sześćcioro studentów zorganizowało orgię w namiocie, którą przerwała policja, a na pytanie, co sądzi o takiej działalności na terenie kampusu, doktor Peter Luce, lat trzydzieści cztery, odpowiedział: „Jestem absolutnie za orgiami seksualnymi, obojętnie, gdzie się odbywają”. Zwróciło to uwagę Hefa. Nie chcąc powtarzać pomysłu z kolumną *Call Me Madam*, prowadzoną w „Penthouse” przez Xaviere Holander, Hefner wpadł na pomysł, żeby Luce zajął się opisem naukowych i historycznych aspektów seksu. W związku z tym w trzech pierwszych numerach *Proroczy srom* przedstawił rozprawy na temat sztuki erotycznej japońskiego malarza Hiroshi Yamamoto, epidemiologii syfilisu oraz panującego wśród Indian

Nawaho zwyczaju przyjmowaniu przez mężczyzn kobiecej tożsamości, zwanym *berdache*, a wszystko to w upiornym, rozwlekłym stylu, wzorowanym na wypowiedziach ciotki Luce'a, Rose Pepperdine, która prawila mu kiedyś kazania na temat Biblii, mocząc sobie przy tym stopy w kuchni. Felietony zyskały popularność, choć rzadko zdarzały się inteligentne pytania od czytelników; większość była bardziej zainteresowana publikowanymi w kolumnie *Poradnik Playboya* wskazówkami dotyczącymi seksu oralnego lub lekarstwem na przedwczesny wytrysk. W końcu Hefner poradził Luce'owi, żeby to olał i sam pisał pytania, co też Luce zaczął robić.

W 1987 roku Peter Luce wystąpił w programie Phila Donahue wraz z dwoma osobami interseksualnymi i jedną transseksualną, aby omówić zarówno medyczne, jak i psychologiczne aspekty takich przypadków. W programie tym Phil Donahue powiedział: „Ann Parker urodziła się i dorastała jako dziewczynka. Wygrałeś nawet konkurs piękności na plaży w Miami w 1968 roku, w starym dobrym Dade County na Florydzie, prawda? To się zdziwią, jak się dowiedzą. Żyłeś jako kobieta aż do wieku dwudziestu dziewięciu lat i wtedy rozpocząłeś życie jako mężczyzna. Ann ma anatomiczne cechy zarówno kobiety, jak i mężczyzny. Niech skonam, jeśli kłamię”.

Dodał jeszcze: „Ale nie wszystko jest tu takie zabawne. Te żywe, niepowtarzalne dzieci boże, te istoty ludzkie chcą, abyście zapamiętali, że przede wszystkim są właśnie nimi, czyli istotami ludzkimi”.

Luce zainteresował się hermafrodytyzmem prawie trzydzieści lat wcześniej, kiedy był jeszcze rezydentem w szpitalu Mount Sinai. Na badania do szpitala przyszła szesnastoletnia dziewczyna. Nazywała się Felicity Kennington i już na pierwszy rzut oka wzbudziła w nim jakieś sprzeczne z etyką zawodową myśli. Felicity Kennington była bardzo atrakcyjna, szczupła, w typie mola książkowego i w okularach, a okularom nigdy nie potrafił się oprzeć.

Luce przyjrzał się jej z poważną miną i stwierdził:

- Masz plamy melanotyczne.
- Co takiego? – zapytała zaniepokojona dziewczyna.
- Piegi.

Uśmiechnął się. Felicity Kennington odpowiedziała uśmiechem. Luce przypomniał sobie, że pewnego wieczoru brat zapytał go, wymownie poruszając przy tym brwiami, czy Luce czasami nie podnieca się przy badaniu kobiet, i że odpowiedział mu starą śpiewką, że tak bardzo pochłania cię wtedy praca, że nawet tego nie zauważasz. Ale z łatwością zauważał Felicity Kennington, jej piękną twarz, różowe dziąsła i małe jak u dziecka zęby, jej nieśmiałe blade nogi, które raz po raz krzyżowała, kiedy siedziała na stole do badań. Nie zauważył jedynie jej siedzącej w kącie pokoju matki.

– Lissie – wtrąciła kobieta – powiedz panu doktorowi o bólu, który odczuwasz.

Felicity zarumieniała się, spoglądając na podłogę.

– Boli mnie w... to znaczy tuż pod brzuchem.

– Jaki to rodzaj bólu?

– Są jakieś rodzaje?

– Ostry czy tępy?

– Ostry.

Na tym etapie swojej kariery Luce przeprowadził osiem wewnętrznych badań ginekologicznych. To, które zrobił Felicity Kennington, nadal zalicza do najtrudniejszych. Po pierwsze, pojawił się problem jego straszliwego pociągu. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat. Był zdenerwowany, serce waliło mu jak oszałałe. Upuścił wziernik i musiał pójść po następny. Dosłownie kręciło mu się w głowie od tego, jak Felicity Kennington odwracała twarz i zagryzała dolną wargę, zanim jeszcze rozchyliła kolana. Po drugie, sprawy nie ułatwiała obserwująca go przez cały czas matka. Zaproponował, żeby poczekała na zewnątrz, ale pani Kennington odpowiedziała: „Zostanę tutaj z Lissie, dziękuję”. Po trzecie, i to było najgorsze ze wszystkiego, wydawało się, że cokolwiek robił, zadawał Felicity Kennington ból. Zanim jeszcze wziernik wszedł do połowy, już krzyknęła. Zacisnęła kolana jak imadło i musiał się poddać. Następnie próbował zbadać jej genitalia jedynie palpacyjnie, ale gdy tylko nacisnął, ponownie krzyknęła. W końcu musiał poprosić doktora Budekinda, ginekologa, żeby dokończył badanie za niego, podczas gdy sam się przyglądał, czując, jak ściska go w dołku. Ginekolog popatrzył na Felicity nie dłużej niż piętnaście sekund, po czym wziął Luce’a na drugą stronę sali.

– Co się z nią dzieje?

- Niezstąpione jądra.
- Co?!
- Wygląda na zespół adrenogenitalny. Widziałeś kiedyś coś takiego?
- Nie.
- Po to tu jesteś, prawda? Masz się uczyć.
- Ta dziewczyna ma jądra?
- Dowiemy się za chwilę.

Po włożeniu próbki pod mikroskop okazało się, że nagromadzenie tkanki w pachwinowym kanale Felicity Kennington ma charakter jądrowy. W tym czasie – w 1961 roku – oznaczało to, że Felicity Kennington jest mężczyzną. Od XIX wieku medycyna korzystała z tego samego prymitywnego kryterium diagnozowania płci, który sformułował Edwin Klebs jeszcze w 1876 roku. Utrzymywał on, że o płci człowieka decydują gonady. Jeżeli były problemy z określeniem płci, sprawdzano tkankę gonad pod mikroskopem. Jeśli miała charakter jądrowy, człowiek był mężczyzną, jeśli jajnikowy – kobietą. Ale ta metoda stwarzała pewne problemy. Luce jasno to sobie uświadomił, kiedy zobaczył, co stało się z Felicity Kennington w 1961 roku. Wyglądała jak dziewczyna i uważała się za dziewczynę, jednak w związku z tym, że posiadała męskie gonady, Budekind uznał ją za chłopca. Rodzice nie zgodzili się z tą diagnozą. Konsultowano się z innymi lekarzami – endokrynologami, urologami, genetykami – ale również oni nie potrafili dojść do porozumienia. Tymczasem, podczas gdy społeczność medyczna nie mogła się zdecydować, Felicity zaczęła przechodzić okres dojrzewania. Głos jej się obniżył. Na twarzy wyrosły jej rzadkie kępki jasnobrązowych włosów. Przestała chodzić do szkoły i wkrótce przestała w ogóle wychodzić z domu. Luce widział ją po raz ostatni, kiedy przyszła na kolejną konsultację. Miała na sobie długą sukienkę i szalik, który wiązała sobie pod brodą, zasłaniając większą część twarzy. W dłoni z obgryzionymi paznokciami trzymała egzemplarz *Dziwnych losów Jane Eyre*. Luce natknął się na Felicity przy wodotrysku z wodą do picia.

– Ta woda smakuje rdzą – powiedziała, patrząc na niego i go nie rozpoznając, po czym oddaliła się pospiesznie. Tydzień później zastrzeliła się z ojcowskiego automatu kaliber 0,45.

– A to dowodzi, że była chłopcem – powiedział Budekind następnego dnia w stołówce.

– Co masz na myśli? – zapytał Luce.

– Chłopcy odbierają sobie życie za pomocą broni. Statystycznie. Dziewczyny używają mniej gwałtownych metod. Tabletki na sen, zatrucie tlenkiem węgla.

Luce już nigdy więcej nie rozmawiał z Budekindem. Spotkanie z Felicity Kennington było dla niego przełomem. Odtąd poświęcił się staraniom, żeby już nigdy nic takiego nikomu się nie przytrafiło. Rzucił się w wir badań nad hermafrodytyzmem. Przeczytał na ten temat wszystko, co tylko mógł, ale nie było tego dużo. Im więcej się uczył i im więcej czytał, tym większe zyskiwał przekonanie, że uświęcone tradycją kategorie mężczyzn i kobiet były w rzeczywistości jedną wielką lipą. W związku z pewnymi uwarunkowaniami genetycznymi i hormonalnymi czasami rozpoznanie płci dziecka było wręcz niemożliwe. Ale historycznie rzecz biorąc, ludzie z zasady nie dopuszczali do siebie oczywistego wniosku. Widząc dziecko o nieokreślonej płci, Spartanie zostawiali je na skalistym wzgórzu i szybko odchodzili. Przodkowie samego Luce’a, Anglicy, nie chcieli nawet poruszać tego tematu i być może nigdy by go nie poruszyli, gdyby nie fakt, że takie „utajone genitalia” zakłóciły sprawne działanie prawa o dziedziczeniu. Lord Coke, wybitny siedemnastowieczny angielski prawnik, starał się wyjaśnić kwestię dziedziczenia posiadłości ziemskich, definiując, że osoba dziedzicząca powinna „być albo mężczyzną, albo kobietą, a przynależna część spadku będzie określana na podstawie przeważającej w danej sytuacji płci”. Oczywiście nie podał żadnej metody określania, która płć przeważa. Musiał pojawić się dopiero Niemiec Klebs, żeby podjąć się tego zadania. A potem, sto lat później, Peter Luce je dokończył.

W 1965 roku Luce opublikował artykuł zatytułowany *Niejedna droga prowadzi do Rzymu – płciowe pojęcia ludzkiego hermafrodytyzmu*. Na dwudziestu pięciu stronach Luce dowodził, że na płć mają wpływ różne czynniki: płć chromosomalna, płć gonadalna, hormony, wewnętrzne struktury genitaliów, genitalia zewnętrzne oraz – albo przede wszystkim – płć, w jakiej dany pacjent był wychowywany. Często płć gonadalna pacjenta nie determinuje jego lub jej tożsamości płciowej. Płć przypominała pod tym względem język ojczysty. Dzieci uczyły się mówić językiem mężczyzn lub kobiet, tak jak uczyły się mówić po angielsku czy francusku.

Artykuł wzbudził sensację. Luce wciąż pamiętał, jak w tygodniach po publikacji ludzie zaczęli inaczej patrzeć na autora tekstu. Kobiety częściej śmiały się z jego żartów, wyraźnie dawały do zrozumienia, że są wolne, kilka razy pojawiały się nawet w jego mieszkaniu bardzo skąpo odziane. Jego telefon dzwonił częściej; po drugiej stronie linii byli ludzie, których nie znał, ale którzy go znali. Składali mu propozycje i oferowali rozrywki, chcieli, żeby recenzował artykuły, uczestniczył w panelach, pojawił się na Festiwalu Ślimaków w San Luis Obispo, żeby wydać werdykt w konkursie na escargot, jako że przecież większość ślimaków jest rozdzielnopłciowa. W ciągu kilku miesięcy prawie wszyscy odrzucili kryterium Klebsa i przyjęli kryteria Luce'a.

Dzięki sukcesowi Luce mógł otworzyć oddział psychohormonalny w prezbiteriańskim szpitalu Uniwersytetu Columbia. W ciągu dekady dogłębnych pionierskich badań Luce dokonał swojego drugiego wielkiego odkrycia – stwierdził, że tożsamość płciowa jest ustalana na bardzo wczesnym etapie życia, mniej więcej w wieku dwóch lat. Później jego popularność sięgnęła zenitu. Napływały fundusze – z Fundacji Rockefellera, z Fundacji Forda i z National Institute of Health. Był to wspaniały czas dla seksuologów. Rewolucja seksualna stwarzała nowe możliwości dla przedsiębiorczych badaczy seksu. Sprawą wagi państwowej, przynajmniej przez tych kilka lat, stało się zbadanie mechanizmu kobiecego orgazmu. Albo zgłębienie psychologicznych powodów, dla których pewni mężczyźni obnażali się publicznie na ulicy. W 1968 roku doktor Luce otworzył Klinikę Zaburzeń Seksualnych i Tożsamości Płciowej, która wkrótce stała się czołowym na świecie centrum badań nad przypadkami nieokreślonej płci i ich leczeniem. Luce leczył wszystkich: nastolatki z płetwiastymi szycjami cierpiące na zespół Turnera, długonogie piękności z zespołem niewrażliwości na androgeny, gburowate przypadki cierpiących na zespół Klinefeltera, którzy, wszyscy bez wyjątku, albo psuli automat z chłodzoną wodą, albo próbowali znokautować pielęgniarkę. Gdy w szpitalu rodziły się dzieci o nie do końca wykształconych genitaliach, wzywano doktora Luce'a, aby porozmawiał ze zdeorientowanymi rodzicami. Luce zajmował się również transseksualistami. Wszyscy przychodzili do jego kliniki, dzięki czemu Luce miał do swojej dyspozycji obszerny i bogaty materiał badawczy –

składający się z żyjących i oddychających okazów – jakim nigdy wcześniej nie dysponował żaden tego typu naukowiec.

Był rok 1968 i cały świat płonął. Luce dzierżył jedną z pochodni. Dwa tysiące lat seksualnej tyranii kończyło się w płomieniach. Żadna studentka na zajęciach z cytogenetyki behawioralnej nie nosiła stanika. Luce pisał dla „Timesa” polemiki, w których wzywał do rewizji kodeksu karnego w odniesieniu do nieszkodliwych społecznie i popełnianych bez użycia przemocy przestępstw seksualnych. W kawiarniach w Greenwich Village rozdawał proantykonceptyjne ulotki. Tak to wyglądało w nauce. Mniej więcej co pokolenie wnikiwość, pracowitość i potrzeba chwili składały się na to, że praca naukowca opuszczała mury uczelni i zaczynała promieniować na całą kulturę, gdzie lśniła światłem przewodnim przyszłości.

Gdzieś z głębi dżungli nadciąga z bzyczeniem i przelatuje obok lewego ucha Luce’a komar. To jeden z modeli jumbo. Nigdy ich nie widzi, jedynie słyszy w nocy, jak huczą niczym latające kosiarki do trawy. Luce wzdryga się i zamyka oczy, a chwilę później czuje, że owad rzeczywiście siada na pachnącej krwią skórze poniżej łokcia. Owad jest tak duży, że słysząc, jak ląduje, jakby to była kropla deszczu. Luce odchyła głowę, zaciskając powieki, i mówi: „Psiakrew”. Ma ogromną ochotę pacnąć insekta, ale nie może tego zrobić; rękoma trzyma dzieciaka z dala od swojego pasa. Nic nie widzi. Na ziemi, obok czaszki, latarka świeci słabym płomieniem. Luce upuścił ją w trakcie wciąż trwającej przepychanki. Teraz oświetla dwudziestopięciocentymetrowy stożek maty. Do niczego się to nie przydaje. A do tego ptaki znów zaczęły swoje, sygnalizując, że zbliża się poranek. Luce leży czujnie w pozycji płodowej, na plecach, trzymając przypominające gałązki dziesięcioletnie nadgarstki Dawata. Po ich ułożeniu wnioskuje, że głowa chłopaka znajduje się gdzieś w powietrzu nad jego pępkiem, prawdopodobnie zwieszona do przodu. Dzieciak nieustannie wydaje przygnębiające Luce’a dźwięki przypominające cmokanie.

– Psiakrew.

Żądło zostało wbite. Komar napiera, kręci odwłokiem z zadowoleniem, a potem się uspokaja i zaczyna pić. Szczepienie przeciw tyfusowi, któremu

Luce się kiedyś poddał, wydawało mu się delikatniejsze. Niemal czuje, jak owad ssie. Czuje, jak insekt przybiera na wadze.

Światło przewodnie przyszłości? Kogo on oszukuje? Praca Luce'a, jak się okazuje, nie rzuca już więcej światła niż ta latarka na podłodze. Nie więcej światła niż księżyc w nowiu, który nie świeci nad baldachimem dżungli.

Nie musi czytać artykułu Pappas-Kikuchi w „The New England Journal of Medicine”. Już to wszystko wcześniej słyszał, na własne uszy. Trzy lata temu, na dorocznym zjeździe towarzystwa, kiedy spóźnił się na ostatnią prezentację tego dnia.

– Dzisiejszego popołudnia – mówiła Pappas-Kikuchi, kiedy Luce wszedł – chciałabym podzielić się wynikami badań, które nasz zespół właśnie zakończył w południowo-zachodniej Gwatemali.

Luce usiadł w tylnym rzędzie, uważając na spodnie. Miał na sobie smoking od Pierre'a Cardina. Tego samego wieczoru towarzystwo miało wręczyć mu nagrodę za całokształt dokonań. Wyjął z wyściełanej satyną kieszeni zabraną z minibaru buteleczkę whisky J&B i dyskretnie z niej popijał. On już świętował.

– Wioska nazywa się San Juan de la Cruz – kontynuowała Pappas-Kikuchi. Luce zlustrował ją na tyle, na ile widać ją było zza mównicy. Wydawała się atrakcyjna, na sposób szkolnej nauczycielki. Łagodne ciemne oczy, równo obcięta grzywka, brak kolczyków i makijażu oraz okulary. Z jego doświadczenia wynikało, że właśnie te skromne, wyglądające na asekualne kobiety okazywały się najbardziej namiętne w łóżku, podczas gdy kobiety, które ubierały się prowokacyjnie, często były niewrażliwe albo bierne, jakby całą swoją energię seksualną zużywały na pokaz.

– Męscy pseudohermafrodyty z syndromem braku 5-alfa-reduktazy u osobników, którzy zostali wychowani jako kobiety, stanowią wyjątkowy materiał do badań wpływu testosteronu i płci, w jakiej są wychowywani, na określanie tożsamości płciowej – kontynuuje Pappas-Kikuchi, czytając teraz ze swojego artykułu. – W tych wypadkach zmniejszona produkcja dihydrotestosteronu w macicy powoduje, że zewnętrzne narządy płciowe dotkniętych tym płodów płci męskiej charakteryzują się bardzo niejednoznacznym wyglądem. W konsekwencji po urodzeniu wiele takich noworodków uważa się za kobiety i wychowuje jako dziewczynki. Ale

ekspozycja na testosteron, zarówno w okresie prenatalnym, jak i u noworodków czy w okresie dojrzewania, pozostaje prawidłowa.

Luce wziął kolejny łyk starego dobrego J&B i położył ramię na oparciu sąsiedniego fotela. Pappas-Kikuchi nie mówiła nic nowego. Brak 5-alfa-reduktazy został już dosyć dogłębnie zbadany. Jason Whitby wykonał kawał dobrej roboty z pseudohermafrodytami 5 α R w Pakistanie.

– Moszna tych noworodków jest nieuformowana, tak że przypomina wargi sromowe – Pappas-Kikuchi dzielnie kontynuowała, powtarzając to, co wszyscy już wiedzieli. – Fallus, czy też mikropenis, przypomina łechtaczkę. Zatoka moczowo-płciowa kończy się nieukształtowaną pochwą. Jądra najczęściej spoczywają w jamie brzusznej lub kanale pachwinowym, choć czasami okazuje się, że są przerośnięte i znajdują się w dwudzielnej mosznie. Niemniej w okresie dojrzewania dochodzi do zdecydowanej wirylizacji, ponieważ poziomy testosteronu w osoczu są prawidłowe.

Ile mogła mieć lat? Trzydzieści dwa? Trzydzieści trzy? Czy przyjdzie na uroczystą kolację? W tej swojej przedpotopowej bluzce i z zapiętym kołnierzykiem Pappas-Kikuchi przypominała Luce’owi dziewczynę, którą miał w college’u. Studiowała filologię klasyczną i nosiła byronowskie białe koszule oraz zupełnie niepasujące wełniane podkolanówki. Ale ta jego mała hellenistka zaskoczyła go w łóżku. Położywszy się na plecach, oparła mu nogi na ramionach, mówiąc, że była to ulubiona pozycja Hektora i Andromachy.

Luce właśnie przypominał sobie tamtą chwilę („Jestem Hektorem!” – krzyknął wówczas, zakładając kostki Andromachy za swoje uszy), kiedy doktor Fabienne Pappas-Kikuchi oznajmiła:

– Dlatego też ci pacjenci to normalni chłopcy, pozostający pod wpływem testosteronu, którzy z powodu ich kobiecych zewnętrznych narządów płciowych są omyłkowo wychowywani jako dziewczęta.

– Co ona powiedziała? – Luce ocknął się błyskawicznie. – Powiedziała „chłopcy”? Oni nie są chłopcami. Nie, jeśli nie byli wychowywani jak chłopcy, nie są chłopcami.

– Pracę doktora Petera Luce’a od dawna uznaje się za ewangelię w badaniu hermafrodytyzmu wśród ludzi – stwierdziła Pappas-Kikuchi. – W kręgach seksuologicznych normą stało się jego przekonanie, że tożsamość płciowa jest ustalana na wczesnym etapie rozwoju. Nasze badania – na moment zawiesiła głos – obalają tę tezę.

W powietrzu sali konferencyjnej rozległ się krótki chrzęst otwierających się jednocześnie stu pięćdziesięciu ust. Luce nie przełknął do końca tego, co miał łyknąć.

– Dane zebrane przez nasz zespół w Gwatemali potwierdzą, że wpływ androgenów okresu dojrzewania na pseudohermafrodytów z brakiem 5-alfa-reduktazy jest wystarczający, aby zmienić tożsamość płciową.

Luce niewiele pamiętał z tego, co działo się potem. Zdawał sobie sprawę, że jest mu bardzo gorąco w smokingu. A także z tego, że sporo głów odwróciło się, aby na niego spojrzeć, potem tylko kilka głów, a potem już ani jedna. Przy mównicy doktor Pappas-Kikuchi bez końca przytaczała dane.

– Obiekt numer siedem zmienił płeć na męską, ale nadal ubiera się jak kobieta. Obiekt numer dwanaście ma afekty oraz nawyki męczyzny i angażuje się w aktywność seksualną z kobietami z wioski. Obiekt numer dwadzieścia pięć ożenił się z kobietą i pracuje jako rzeźnik, wykonując tradycyjnie męskie zajęcie. Obiekt numer trzydzieści pięć był w związku małżeńskim z mężczyzną, który opuścił małżeństwo po roku, a wówczas obiekt przyjął męską tożsamość płciową. Rok później wszedł w związek małżeński z kobietą.

Tego samego wieczoru zgodnie z planem odbyła się ceremonia rozdania nagród. Luce, znieczulony większą ilością whisky w hotelowym barze i omyłkowo ubrany w niebieską marynarkę przedstawiciela handlowego ubezpieczalni medycznej Aetna, pomylił ją bowiem ze swoim smokiem, wyszedł na podium przy absolutnym minimum oklasków i przyjął nagrodę za całokształt dokonań – kryształowe lingam i joni, przyklejone na gorąco do posrebrzanej podstawy, które wyglądały przepięknie, kiedy odbijając światła miasta, spadały później z balkonu pokoju Luce’a dwadzieścia dwa piętra w dół, aż roztrzaskały się na hotelowym kolistym podjeździe. Już wtedy Luce patrzył na zachód, poprzez Pacyfik, w stronę Irianu Zachodniego i Dawatów. Trzy lata zajęło mu zdobycie grantów badawczych od NIH, od National Foundation, od wspierającej matki i niemowlęta organizacji March of Dimes oraz od koncernu Gulf and Western, ale w końcu znalazł się tutaj, pośród innego odosobnionego rozkwitu mutacji 5αR, gdzie może zweryfikować teorię Pappas-Kikuchi, a także swoją własną. Już wie, kto wygra. A kiedy mu się to uda, fundacje zaczną finansować jego klinikę tak jak w przeszłości. Będzie mógł skończyć

z wynajmem pokoi na zapleczu dentystom i temu kręgarzowi. To tylko kwestia czasu. Randy przekonał starszyznę plemienia i zgodzili się na prowadzenie badań. Gdy tylko wstanie świt, zostaną zaprowadzeni do oddzielnego obozu, w którym mieszkają tak zwani ludzie *turnim*. Samo istnienie lokalnego terminu potwierdza, że Luce ma rację i że czynniki kulturowe mogą wpływać na tożsamość płciową. To jedna z rzeczy, jakie Pappas-Kikuchi natychmiast by zatuszowała.

Ręce Luce'a i dzieciaka są splątane. Jakby bawili się w jakąś grę. Najpierw Luce zakrył kłamrę pasa. Potem dzieciak położył rękę na dłoni Luce'a. Następnie Luce położył rękę na dłoni dziecka. A teraz dzieciak przykrywa dłonią cały ten stos. Wszystkie te dłonie toczą delikatne zmagania. Luce czuje się zmęczony. W dżungli wciąż jest cicho. Chciałby jeszcze z godzinę pospać przed tym, jak mały zaczął krzyczeć o poranku. Czeka go wielki dzień.

B-52 znowu brzęczy nad jego uchem, po czym zatacza koło i wraca, wlatując mu w lewe nozdrze.

– Jezu!

Uwalnia ręce i zakrywa twarz, ale komar już ponownie zerwał się do lotu, ocierając się o jego palce. Luce na wpół siedzi na macie z włókien pandanu. Nie odsłania twarzy, bo ma wrażenie, że sprawia mu to jakąś ulgę, więc po prostu siedzi w ciemnościach, śmierzdzący i rozpalony, czując się nagle wyczerpany i mając serdecznie dość dżungli. Darwin miał łatwiej na HMS Beagle. Musiał tylko słuchać kazań i grać w wista. Luce nie płacze, ale jest bliski łez. Ma stargane nerwy. Znowu, tym razem jakby z oddali, czuje nacisk dłoni chłopca, który rozpina pas Luce'a. Walczy z techniczną zagadką zamka błyskawicznego. Luce się nie rusza. Po prostu w całkowitej ciemności nadal zakrywa twarz. Jeszcze kilka dni i będzie mógł wrócić do domu. Czeka na niego jego własna elegancka kawalerka przy Zachodniej Trzynastej Ulicy. W końcu chłopak sobie poradził. I jest bardzo ciemno. A doktor Peter Luce nie ma uprzedzeń. I przecież trudno walczyć z lokalnymi obyczajami.

Kapryśne ogrody

Właśnie stawiałem sobie te pytania, przez cały czas płacząc z sercem przepełnionym najgłębszym smutkiem, kiedy nagle usłyszałem śpiewny głos dziecka... Powstrzymałem potok łez i wstałem, mówiąc sobie, że to może być tylko boskie wezwanie, żebym otworzył księgę Pisma Świętego i przeczytał pierwszy fragment, na który padnie mój wzrok.

Św. Augustyn

Letnią porą, w Irlandii, cztery osoby wkraczają do ogrodu w poszukiwaniu jedzenia.

Tylne wejście dużego domu otwiera się i wychodzi przez nie mężczyzna. Nazywa się Sean. Ma czterdzieści trzy lata. Oddala się od domu, po czym spogląda w tył, a za nim materializują się dwie inne postaci, Amy i Maria, Amerykanki. Następna osoba pojawia się dopiero po dłuższej chwili, w procesji jest przerwa, ale w końcu przybywa Malcolm. Niepewnie stąpa po trawie, jakby obawiał się, że w niej utonie.

Ale już wszyscy widzą, co się stało.

Sean się odezwał:

– To wszystko tu to вина mojej żony. Doskonały wyraz jej natury. Żeby zadać sobie tyle trudu z tym całym kopaniem, sadzeniem i podlewaniem, a potem w ciągu kilka dni całkowicie o tym zapomnieć. To niewybaczalne.

– Nigdy nie widziałem tak zarośniętego ogrodu – powiedział Malcolm. Zwrócił się z tą uwagą do Seana, ale Sean mu nie odpowiedział. Był zajęty przyglądaniem się amerykańskim dziewczętom, które w taki sam sposób położyły ręce na biodrach. Tak doskonale zsynchronizowana, chociaż przecież niezamierzona precyzja ich ruchów wytrąciła go z równowagi. To był zły omen. Ich ruchy zdawały się mówić: „Jesteśmy nierozłączne”.

Trudno było czuć się z tego zadowolonym, ponieważ jedna z dziewcząt była piękna, a druga nie. Niecałą godzinę wcześniej, jadąc do domu z lotniska (właśnie wrócił z Rzymu), Sean zobaczył idącą samotnie obok drogi Amy. Dom, do którego wracał, był zamknięty od miesiąca, odkąd

jego żona, Meg, wyjechała do Francji czy do Peru. Już od lat mieszkali osobno, każde z nich zajmowało dom tylko wtedy, gdy drugie było nieobecne, a Sean bał się tych powrotów po długiej nieobecności. Wszędzie unosił się zapach jego żony, wzbijał się z foteli, gdy w nich siadał, przypominając mu o dniach jaskrawych szalików i nienagannej pościeli.

Kiedy jednak zobaczył Amy, od razu wiedział, jak ożywić swój powrót. Nie próbowała łąpać stopa, ale zobaczył, że ma plecak; była śliczną podróżniczką z niemytymi włosami i miał podstawy podejrzewać, że oferta wolnego pokoju w jego domu z pewnością będzie bardziej atrakcyjna niż spanie w rowie czy w obskurnym pensjonacie, jaki może znaleźć, szukając noclegu. Natychmiast zatrzymał obok niej samochód i nachylił się przez fotel pasażera, żeby opuścić szybę z jej strony. Pochylając się, oderwał od niej wzrok, a kiedy znów spojrzał w górę, jednocześnie kierując do niej kapryśne zaproszenie, zobaczył nie tylko Amy, ale też jakąś inną dziewczynę, jej towarzyszkę, która pojawiła się znikąd. Ta druga była zupełnie nieatrakcyjna. Miała krótkie włosy odsłaniające kwadratową czaszkę, a przez połyskujące grube soczewki okularów nie potrafił dostrzec jej oczu.

Ostatecznie Sean musiał zaprosić również tę nieszczęsną Marię. Dziewczęta wsiadły do samochodu jak kochające się siostrzyczki, wcześniej wrzuciwszy plecaki do bagażnika, a Sean pomknął drogą. Po przybyciu do domu czekała go jednak jeszcze jedna niespodzianka. Na frontowych schodach, z głową schowaną w dłoniach, siedział jego dawny przyjaciel Malcolm.

Malcolm stał na skraju ogrodu, przyglądając mu się, jak bardzo jest zaniedbany. Większość ogrodu pokrywała naga ziemia. Tylną część zajmowały jeżyny, a z przodu był jedynie rząd zniszczonych przez deszcz brązowych kwiatów. Sean o wszystko obwinił żonę.

– Wydaje się jej, że ma dobrą rękę do roślin – zażartował, ale Malcolm się nie roześmiał.

Ogród przypominał mu o jego własnym małżeństwie. Zaledwie pięć tygodni wcześniej jego żona Ursula odeszła do innego mężczyzny. Już od pewnego czasu ich małżeństwo nie było szczęśliwe; Malcolm wiedział, że Ursula jest niezadowolona z niego i z ich wspólnego życia, ale nigdy nie

wyobrażał sobie, że mogłaby się zakochać w kimś innym. Po jej odejściu wpadł w czarną rozpacz. Nie mógł spać, dręczyły go ataki płaczu i zaczął nadużywać alkoholu. Pewnego razu pojechał na punkt widokowy, a tam wysiadł z samochodu i stanął na skraju urwiska. Już wówczas zdawał sobie sprawę, że zachowuje się teatralnie i że brakuje mu odwagi, żeby się rzucić. Mimo to przez prawie godzinę stał na krawędzi.

Nazajutrz Malcolm wziął urlop i zaczął podróżować, w nadziei, że w wolności ruchu znajdzie wolność od bólu. Całkiem przypadkowo trafił do miasta, w którym jak pamiętał, mieszkał jego dawny przyjaciel Sean. Błąkając się po ulicach, w koszuli poplamionej kawą, dotarł do domu Seana, zapukał do drzwi, ale nikogo nie zastał w domu.

Był tam niecałe piętnaście minut, kiedy podniósłszy wzrok, zobaczył Seana idącego frontową ścieżką z dwiema dziewczynami po bokach. Ten obraz wzbudził w Malcolmie zazdrość. Oto jego przyjaciel, otoczony młodością i witalnością (dziewczęta co chwilę wybuchały melodyjnym śmiechem), a tutaj on sam, siedzący na progu, otoczony wyłącznie widmem starości, samotności i rozpacz.

Później sytuacja jeszcze tylko się pogorszyła. Sean powitał go krótko, jakby widzieli się nie dalej niż w zeszłym tygodniu, i Malcolm natychmiast wyczuł, że tylko tu przeszkadza. Sean otworzył drzwi szerokim gestem i oprowadził ich po domu. Pokazał dziewczętom, gdzie będą spać, i wskazał sypialnię w innym skrzydle, którą mógł zająć Malcolm. Następnie Sean zaprowadził ich do kuchni. On i dziewczęta przejrzeni szafki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znaleźli jedynie plastikową torebkę z czarną fasolą, a w lodówce pół kostki masła, wyschniętą cytrynę i wysuszony ząbek czosnku. Wtedy Sean zaproponował, żeby udali się do ogrodu.

Malcolm wyszedł za nimi na zewnątrz. A teraz stanął z boku, żałując, że nie potrafi tak niefrasobliwie podejść do swojego nieudanego małżeństwa, jak Sean przyjął klęskę swojego. Żałował, że nie potrafi zapomnieć o Ursuli, zamknąć pamięci o niej w skrzyni i zakopać gdzieś w ziemi, głęboko pod powierzchnią gleby, którą teraz odwracał czubkiem lewego buta.

Sean wszedł do ogrodu i kopał w krzaki jeżyn. Zapomniał, że szafki będą puste, nie miał teraz nic, czym mógłby poczęstować gości, a do tego było jeszcze dwoje gości więcej, niżby sobie życzył. Kiedy kopnął po raz ostatni, zniesmaczony tym wszystkim, jego stopa utknęła w płataninie jeżyn i pociągnęła je do góry. Uniosły się jak wieko podnoszone ze skrzyni; pod spodem, ukryta pod ścianą, rosła kępa karczochów.

– Poczekajcie – powiedział, ujrawszy je. – Poczekajcie momencik. – Zrobił kilka kroków w kierunku warzyw. Pochylił się i dotknął karczocha. Następnie odwrócił się i spojrzał na Amy. – Wiesz, co to jest? – zapytał ją. – To zrzącenie boskiej opatrności. Dobry Bóg kazał mojej żonie zasadzić te biedne karczochy, a potem kazał jej zapomnieć o nich, żebyśmy będąc w potrzebie, mogli je znaleźć. I zjeść.

Kilka karczochów właśnie kwitło. Amy nie wiedziała, że karczochy mogą zakwitnąć, ale oto były tuż przed nią, fioletowe jak osty, tylko większe. Pomysł zjedzenia ich napełniał ją radością. Tego wieczoru wszystko ją uszczęśliwiało, dom, ogród, jej nowy znajomy, Sean. Od miesiąca podróżowały z Marią przez Irlandię, zatrzymując się w schroniskach młodzieżowych, gdzie musiały spać w pokojach pełnych innych dziewczyn. Miała już dość tanich kwater, skromnych posiłków przyrządzanych wspólnie w schroniskowych kuchniach, a także innych dziewczyn, płuczących skarpetki i bieliznę w łazienkowych umywalkach i rozwieszających je na piętrowych łózkach, żeby tam wyschły. Dzisiaj, dzięki Seanowi, mogła spać w dużej sypialni z mnóstwem okien, w łóżku z baldachimem.

– Chodź, popatrz – powiedział Sean, przywołując ją dłonią, więc weszła do ogrodu. Oboje nachylili się nad karczochami. Z jej koszulki z krótkim rękawem wysunął się mały złoty krzyżyk i kołysał się, zwisając z jej szyi. – Mój Boże, jesteś katoliczką – stwierdził Sean.

– Tak – odparła Amy.

– I Irlandką? – Skinęła głową z uśmiechem. Chwycił jeden z karczochów i podał go jej, ścisząc głos. – To sprawia, że właściwie jesteśmy rodziną, moja droga.

Jeśli Sean dostrzegał sugestię zawartą w mowie ciała dziewcząt, jeszcze większe znaczenie miała ona dla Marii. W rzeczywistości nieprzypadkowo w tym samym momencie położyły ręce na biodrach. To Amy zaczęła ten ruch, a Maria poszła za jej przykładem. Zrobiła to właśnie po to, żeby wysłać komunikat, że są nierozdzielne, a Sean go odczytał. Maria pragnęła jak najgłębiej przeniknąć do wnętrza Amy i się tam zadomowić, więc w tej sytuacji przeobraziła Amy i samą siebie w dwie identyczne rzeźby stojące jedna obok drugiej na trawie.

Maria nigdy wcześniej nie miała takiej przyjaciółki jak Amy. Nigdy nie czuła, że ktoś tak dobrze ją rozumie. Jej dotychczasowe życie przypominało życie w miasteczku ludzi niemych, gdzie nikt się do niej nie odzywał, a tylko się w nią wpatrywano. Maria miała wrażenie, że nie słyszała głosu innego człowieka, aż do tamtej niedzieli w marcu, kiedy w bibliotece college’u, w którym studiowały, Amy bez żadnego powodu powiedziała:

– Wyglądasz tak błogo na tym krześle.

W głębi ogrodu karczochy zwisały na grubych łodygach. Maria spojrzała na stojącą pośród nich Amy przeciągającą dłonią po gęstych włosach. Maria była równie uszczęśliwiona jak Amy. Na nią też podziały surowe piękno kamiennego domu Seana i chłód wieczornego powietrza. Ale oprócz zachwyty nad tym otoczeniem w pamięci miała coś jeszcze, co sprawiało jej radość, coś jasnego, do czego raz po raz wracała w myślach. Poprzedniego dnia w pustym przedziale pociągu Amy objęła Marię i pocałowała ją w usta.

Złoty krzyżyk Amy błysnął w świetle. Spojrzawszy na niego, Sean pomyślał, że nie sposób odgadnąć znaczenia, jakie okoliczności mogą nadać przypadkowym przedmiotom. Tak się złożyło, że w jego wciąż jeszcze nierozpakowanej walizce znajdowało się coś, dla czego aż do tej pory nie przewidywał żadnego zastosowania. Ale teraz, gdy błysnął ten krzyżyk, w umyśle Seana połączyły się dwa obrazy i ujrzał przed sobą w powietrzu palec wskazujący świętego Augustyna.

To była jego jedyna pamiątka z Rzymu. Ostatniego dnia pobytu, zwiedzając okolicę hotelu, Sean natknął się na sklep pełen religijnych figurek i dewocjonaliów. Właściciel, być może zauważywszy po ubraniu Seana, że ma do czynienia z bogatszym klientem, zaprowadził go do

szklanej gabloty i pokazał mu cienki zakurzony kawałek czegoś, co wyglądało jak kość i co, jak utrzymywał, było palcem autora *Wyznań*. Sean co prawda mu nie uwierzył, ale i tak kupił relikwię, bo go to rozbawiło.

Poprowadził Amy dalej w głąb ogrodu, z dala od Marii i Malcolma, którzy wciąż nie ruszyli się spod drzwi do ogrodu. Odwrócił się do nich tyłem i zapytał:

– Twoja koleżanka nie jest katoliczką, prawda?

– Należy do Kościoła episkopalnego – wyszeptała Amy.

– Słabo – stwierdził Sean. Zmarszczył brwi. – A Malcolm jest chyba anglikaninem. – Położył palec na ustach, jakby się głęboko zamyślił.

– Dlaczego cię to interesuje? – zapytała Amy.

Ponownie skupił uwagę na dziewczynie. Spojrzał na nią chytrze. Ale kiedy się odezwał, mówił już do wszystkich:

– Musimy podzielić się robotą. Malcolm, może byłbyś tak dobry i zebrał te karczochy, a my w tym czasie zagotujemy wodę.

Malcolm sprawiał wrażenie niepocieszonego.

– Ale one mają ciernie – powiedział.

– To są tylko małe kolce – odrzekł Sean, po czym opuścił ogród i ruszył w stronę domu.

Amy uznała, że Sean miał na myśli, że wszyscy troje pójdą zagotować wodę. Ruszyła za nim do kuchni, zerknęła do tyłu i rzuciła uśmiech Marii, która pospieszyła za nimi, wymachując krótkimi rękami. Kiedy jednak weszli do domu, Sean spojrzał na Marię i powiedział:

– O ile dobrze pamiętam, moja żona trzyma porządne sztucce na górze, w komodzie na korytarzu. W czerwonej komodzie. Powinny być w dolnej szufladzie, zawinięte w materiał. Mario, mogłabyś je przynieść? Miło byłoby mieć przynajmniej porządne srebro stołowe.

Maria odezwała się dopiero po chwili wahania. W końcu odwróciła się i poprosiła Amy, żeby poszła jej pomóc.

Amy nie chciała z nią iść. Bardzo lubiła Marię, ale ostatnio zauważyła, że Maria zaczyna jej się narzucać. Dokądkolwiek Amy szła, Maria zawsze jej towarzyszyła. W pociągu Maria musiała siedzieć przyciśnięta do jej boku. A wczoraj, wtłoczona między metalową ściankę przedziału i sztywne ramię Marii, Amy w końcu się zirytowała. Chciała odepchnąć Marię

i krzyknąć: „Nie mogę przez ciebie oddychać!”. Poczuła, że robi jej się nieprzyjemnie gorąco, i już miała ją szturchnąć, gdy nagle irytacja ustąpiła, a w jej miejsce pojawiło się poczucie winy. Jak może się wściekać na Marię tylko dlatego, że po prostu blisko niej siedzi? Jak może reagować rozdrażnieniem na uczucie? Amy zawstydzila się i chociaż nadal było jej niewygodnie siedzieć tak blisko Marii, starała się na to nie zważać. Nachyliła się tylko i po przyjacielsku cmoknęła Marię w usta.

A teraz Amy chciała zostać na dole i pomóc przy gotowaniu posiłku. Sean ją zainteresował. Wiódł wspaniałe życie, nie musiał pracować, podróżował do Rzymu, kiedy tylko chciał, i zawsze wracał do pięknego wiejskiego domu. Amy nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego jak on, a na tym etapie życia, w jej wieku, najbardziej pragnęła czegoś nowego, jakiejś przygody. Dlatego też ucieszyła się, gdy Sean powiedział:

– Obawiam się, że będziesz musiała sama pójść, Mario. Amy będzie mi potrzebna w kuchni.

Malcolm po omacku delikatnie zrywał karczochy. W ogrodzie zrobiło się ciemno; słońce zaszło za kamienną ścianę i światło docierało jedynie z wnętrza domu, rozjaśniając fragment trawnika niedaleko od miejsca, w którym klęczał Malcolm. W przeszłości nigdy czegoś takiego by nie zrobił, na pewno nie klęczałby i nie zbierał sobie jedzenia na kolację, błocąc spodnie, ale obecnie takie rozważania wydawały mu się obce. Od tygodni nie potrafił spojrzeć na siebie w lustrze, a przecież kiedyś był dumny ze swego zazwyczaj wytwornego wyglądu.

Przesuwał dłońmi po grubych łodygach karczochów i odrywał paki. W ten sposób unikał kolców. Pracował powoli. W jego nozdrza uderzał zapach ziemi, wilgotny i mineralny. Po raz pierwszy od tygodni poczuł jakąś woń, więc trochę go to odurzyło. Przez kolana czuł chłód ziemi.

W ciemnościach karczochy zdawały się ciągnąć bez końca. Zrywał je, powoli się przesuwając, i wciąż napotykał nowe łodygi. Zaczął pracować trochę szybciej i po pewnym czasie całkowicie go to pochłonęło. Lubił zbierać karczochy. Zwolnił. Nie chciał skończyć za szybko.

Frontowa klatka schodowa była długa i okazała, a gdy Maria tylko zaczęła iść na górę, natychmiast przestała myśleć o swojej samotnej misji. Znalazłszy się z dala od domu i wszystkich domowych frustracji, poczuła się wolna. Lubiła swoje ubrania, takie grube i workowate, lubiła swoje krótkie włosy, podobało jej się, że trafiły z Amy w miejsce, w którym nikt ich nie znajdzie, miejsce, w którym mogą traktować się wzajemnie tak, jak same tego chcą, a nie tak, jak dyktuje im to społeczeństwo. Na ścianie wisiał stary gobelin, z jeleniem rozszarpywanym przez dwa wytarte psy.

Weszła po schodach i ruszyła korytarzem, szukając czerwonej komody. Komody stały wzdłuż całego korytarza, większość miała kolor ciemnego mahoni. W końcu znalazła nieco bardziej czerwoną niż pozostałe i uklękła przed nią. Otworzyła dolną szufladę. W środku leżała rolka materiału, a kiedy wzięła ją w ręce, ze zdumieniem zauważyła, że jest bardzo ciężka. Położyła materiał na podłodze i zaczęła go rozwijać. Odwijając zwój, przewracając nim raz po raz i słysząc brzęk znajdującego się wewnątrz metalu. W końcu rozłożyła ostatni zwój i zobaczyła je wszystkie – noże, widelce, łyżki – ułożone w tym samym kierunku, połyskujące w jej stronę.

Pozostawszy sam na sam z Amy, Sean nie spieszył się z postawieniem wody na piecu. Zdjął metalowy garnek z haka na ścianie. Przyniósł garnek do zlewu. Zaczął go napełniać.

Przez cały czas miał pełną świadomość tego, co robi, wiedział też, że Amy go obserwuje. Sięgając po wiszący na haku garnek, starał się, by jego ruchy były jak najbardziej płynne. Postawił (z gracją) garnek na piecu i odwrócił się twarzą do niej.

Opierała się plecami o zlew, z rękami ułożonymi po bokach, a jej ciało wygięło się w delikatny łuk. Wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż przedtem, kiedy zobaczył ją na poboczu drogi.

– Skoro jesteśmy sami – odezwał się Sean – mogę ci wyjawić pewien sekret.

– Jestem gotowa – odpowiedziała.

– Czy obiecujesz nikomu nie powiedzieć?

– Obiecuję.

Spojrzał jej w oczy.

– Ile wiesz o historii Kościoła?

– Do trzynastego roku życia chodziłam na katechezę.

– Czyli wiesz, kim był święty Augustyn?

Skinęła głową. Sean rozejrzał się po pokoju, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś ich nie słyszy. Potem zrobił długą przerwę, mrugnął i powiedział:

– Mam jego palec.

Amy zdecydowanie mniej interesował palec świętego Augustyna niż to, że Sean chciał jej wyjawiać sekret. Słuchała go nabożnie, jakby odkrywał boską tajemnicę.

Kiedy Amy flirtowała, nie zawsze przyznawała się do tego nawet przed samą sobą. Czasami wołała wyłączyć myślenie, żeby móc flirtować niejako bez nadzoru własnego umysłu. Jakby jej ciało i umysł się rozdzieliły, jej ciało wycofało się za parawan, żeby tam zdjąć ubranie, a tymczasem umysł, po drugiej stronie parawanu, nie zwracał na to uwagi.

Amy zaczęła teraz flirtować z Seanem w kuchni, nie przyznając się do tego przed sobą. Opowiedział jej o relikwii i powiedział, że skoro jest katoliczką, pokaże jej to.

– Ale nie możesz nikomu o tym mówić. Nie chcemy, żeby ci heretycy wpychali się z powrotem do prawdziwej wiary.

Amy zgodziła się, wybuchając śmiechem. Jeszcze bardziej wygięła ciało do tyłu. Zdawała sobie sprawę, że Sean na nią patrzy, i nagle jak przez mgłę uświadomiła sobie, że podoba jej się to, że jest oglądana. Zobaczyła siebie jego oczami: gibką młodą kobietę, wspartą na ramionach, z opadającymi do tyłu długimi włosami.

– Masz jakiś koszyk? – zapytał Malcolm, pojawiając się w drzwiach. Ręce pokryte miał ziemią i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechał.

– Karczochów nie może być przecież tak dużo – powiedział Sean.

– Są ich setki. Nie dam rady wszystkich przynieść.

– Przynieś je na dwa razy – odparł Sean. – Albo na trzy.

Malcolm spojrzał na opartą o zlew Amy. Kiedy odwracała głowę w jego stronę, w jej włosach błysnął grzebień z kości słoniowej. Ponownie pomyślał o wyjątkowej umiejętności Seana otaczania się młodością i witalnością. Odezwał się więc do dziewczyny:

– Amy, w ogrodzie jest niesamowicie przyjemnie. Pomogłabyś mi? Niech stary Sean gotuje sobie wodę.

Nie dał jej możliwości odmowy. Poprowadził ją za rękę przez tylne wejście, drugą ręką machając Seanowi na pożegnanie.

– Ułożyłem je w mały stos – powiedział, wprowadzając ją do ogrodu. – Jest trochę mokro, ale można się do tego przyzwyczaić.

Ukląkł przy stercie karczochów i podniósł wzrok na Amy. W świetle padającym z domu dostrzegł jej sylwetkę oraz pochyłości i cienie jej twarzy.

– Zrób koszyk z rąk, a ja go napełnię – powiedział.

Amy spełniła jego polecenie, krzyżując skierowane do góry dłonie. Klęczący przed nią Malcolm zaczął wybierać karczochy i kładł je jeden po drugim na jej rękach, delikatnie przyciskając je do brzucha Amy. Najpierw pięć, potem dziesięć, a potem piętnaście. W miarę jak ich przybywało, Malcolm coraz precyzyjniej wybierał miejsce dla kolejnych karczochów. Ze zmarszczonymi brwiami dopasowywał starannie karczochy jeden do drugiego, jakby łącząc kawałki układanki.

– Spójrz na siebie – powiedział. – Stałaś się boginią urodzaju.

I kimś takim dla niego właśnie była. Stała przed nim, szczupła i młoda, z obfitością karczochów wykwitających jej z brzucha. Ułożył ostatniego karczocha wysoko na piersi dziewczyny, przypadkowo kłując ją cierniem.

– Oj, przepraszam!

– Lepiej je już zaniosę.

– Tak, jak najbardziej, zanieś je. Będziemy mieli ucztę!

Kiedy Maria weszła do kuchni i ujrzała Seana, stojącego nad piecem i wpatrującego się w garnek z wodą, poczuła się nieswojo. Oczywiście doskonale rozumiała, co Sean knuje. Dostrzegła spojrzenia, które rzucał w stronę Amy, zauważyła afektowany ton jego głosu, gdy do niej mówił.

– Wy, dziewczyny, możecie zająć niebieską sypialnię – powiedział głosem, który miał brzmieć wielkopańsko i wspaniałomyślnie.

Już miała podejść do kuchennego blatu, żeby odłożyć tam sztucce, ale się powstrzymała. Narobiłaby za dużo hałasu. Stała więc, trzymając wszystkie sztucce, i obserwowała Seana od tyłu, po cichu rozkoszując się faktem, że patrzy na niego, a on nie ma o tym pojęcia.

W pokoju, w którym ona i Amy miały spać, było tylko jedno łóżko. Maria od razu to zauważyła. Kiedy po raz pierwszy weszły z plecakami do środka, Maria spojrzała na łóżko, kątem oka zauważając, że Amy też na nie patrzy. To był moment milczącego porozumienia. Porozumienie mówiło: „Dzisiejszej nocy będziemy spały w tym samym łóżku!”. Ale przed Seanem i Malcolmem nie mogły zdradzić się nawet słowem. Obie wiedziały, co myśli ta druga, ale powiedziały tylko: „Cudownie” i „Och, łóżko z baldachimem. Miałam kiedyś takie!”.

Malcolm klęczał w ogrodzie, delektując się widokiem Amy w roli bogini urodzaju. Już od bardzo dawna nie czuł tak bezmyślnej radości. W ostatnich latach Ursula w domu często bywała w złym humorze. Malcolm usiłował dowiedzieć się, co ją dręczy, ale to tylko bardziej ją irytowało. Po jakimś czasie przestał więc próbować. Zajmowali się własnymi sprawami, komunikując się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Podniósł kilka ostatnich karczochów, których Amy nie była w stanie unieść. Przyłożył je do policzka, chcąc poczuć ich chłód. Gdy to robił, ogarnęło go uczucie, jakie pamiętał ze swoich studenckich czasów, kiedy poznał Seana – owo poczucie piękna świata oraz tego, że jego obowiązkiem, czy też przeznaczeniem, jest starać się je pojąć, zanim odejdzie niezauważone. Mieszkanie z Ursulą i awantury z nią zawężyły życie Malcolma do tego stopnia, że utracił tę zdolność, tę świadomość. To nie była jej wina. Nikt tu nie ponosił winy.

Sean wrzucał kolejne karczochy do wrzącej wody. Amy stała obok niego. Dotykali się ramionami. Czuł zapach jej skóry, włosów.

Maria stała przy stole i wycierała sztućce. Pochylona, przyglądała się plamom spod przymrużonych powiek, od czasu do czasu pocierając nos wierzchem dłoni. Na stole leżało też trochę karczochów. Amy raz po raz kursowała między stołem i piecem, zabierając kolejną ich porcję i podając je ostrożnie Seanowi, a ten wrzucał je do ogromnego garnka w zagorzałym zapamiętaniu człowieka, który wypowiada życzenia, ciskając monety do źródelka.

To był prawdziwy obraz szczęśliwości, pomyślał Malcolm, stając na progu, z karczochami w rękach. Z garnka na piecu wydobywała się para. Amy i Sean przecierali kurz z talerzy wygrzebanych z szafek. Po drugiej stronie kuchni Maria układała sztucze w zgrabne stosy. Była to scena pełna rustykalnej prostoty – warzywa zebrane z ogrodu, gigantyczny syczący piec, dwie Amerykanki przypominające Malcolmowi te wszystkie wiejskie dziewczęta, na które patrzył z okien pociągów: drobne postaci machające z bocznych dróg, gdzie przystanęły na rowerach. Wszystko tchnęło prostotą, dobrocią i zdrowiem. Malcolm był tak zdumiony tą sceną, że nie czuł się na siłach ją zakłócić. Mógł tylko stać w cieniu drzwi, zaglądając do środka.

Przyszło mu na myśl, że za chwilę będą raczyć się cudownym posiłkiem. Niecałą godzinę temu z rozczarowaniem wpatrywali się w otwarte, puste szafki i myślał, że ostatecznie trafią do pubu, pośród dymu i hałasu jedząc kanapki z wątróbką i cebulą. Teraz kuchnia pełna była jedzenia.

Stojąc w drzwiach, obserwował ich, sam pozostając niewidzialny. A im dłużej się przyglądał, niezauważony, tym coraz bardziej obco się tu czuł. Zaczął mieć wrażenie, jakby przeniósł się z rzeczywistości kuchni na inny poziom egzystencji, jakby teraz nie patrzył na życie, lecz w nie zaglądał. Czy w pewnym sensie nie był martwy? Czyż nie doszedł do etapu, w którym gardził życiem i je odrzucał? Przy zlewie Sean wykręcał żółtą ścierkę do naczyń, Amy topiła pół kostki masła na piecu, Maria przy stole unosiła srebrną łyżeczkę do światła. Ale żadne z nich, ani jedno, nie zdawało sobie sprawy ze znaczenia posiłku, który mieli wspólnie zjeść.

Dlatego też, kiedy w końcu ruszył bez większego wysiłku swoje wielkie cielsko (z zaświatów z powrotem w tę tak uroczą, ospałą ziemską atmosferę), Malcolm poczuł ogromną radość. Jego twarz pojawiła się w świetle. Uśmiechał się z błogością, jaką daje wytchnienie. Jeszcze zdąży powiedzieć to, czym chce się z nimi podzielić.

Sean nie zauważył, że Malcolm wchodzi do kuchni, ponieważ niósł miskę karczochów do stołu. Karczochy parowały, para biła mu w twarz i nic nie widział.

Amy nie zauważyła, że Malcolm wchodzi do kuchni, ponieważ myślała o tym, co napisze w swoim następnym liście do domu. Opisz to wszystko: karczocho! parę wodną! połyskujące talerze!

Malcolm wszedł do kuchni, zajął miejsce przy stole i złożył karczocho na podłodze obok swoich stóp. W tym momencie twarze dziewcząt były nieopisanie piękne. Również twarz jego starego przyjaciela Seana była piękna.

Amy nie zwracała uwagi, gdy Malcolm zaczął mówić. Słyszała głos, ale jego słowa nie miały dla niej znaczenia, były tylko dźwiękami gdzieś w oddali. Wciąż zastanawiała się, jaki efekt wywoła list do domu, wyobrażając sobie rodzinę przy stole, matkę czytającą w okularach, siostrzyczki, które udają, że je to nudzi, i marudzą. Cisnęły jej się do głowy inne wspomnienia z domu: trawa w ogrodzie za domem usłana dzikimi jabłkami, wejście do kuchni, zimą, z ustawionymi rzędem mokrymi butami. Pośród korowodu tych wspomnień głos Malcolm'a dobiegał w tym samym powolnym, stałym rytmie i stopniowo do Amy zaczęły docierać fragmenty tego, co mówił. Pojechał na przejażdżkę. Zatrzymał się nad urwiskiem. Stał, patrząc w dół na morze.

Karczocho dymiły na półmisku pośrodku stołu. Amy wyciągnęła rękę i dotknęła jednego, ale był zbyt gorący, żeby go jeść. Następnie zerknęła na Seana, a potem na Marię i dostrzegła, że z jakiegoś powodu czują się nieswojo. Dopiero wtedy dotarło do niej, o czym tak naprawdę opowiada Malcolm. Mówił o samobójstwie. O swoim samobójstwie.

Sama myśl, że ten masywny mężczyzna w średnim wieku mógłby rzucić się z urwiska, wydała się Marii komiczna. Miał wilgotne oczy, widziała to wyraźnie, ale autentyczność jego uczuć jeszcze bardziej ją od niego oddalała. Może naprawdę zastanawiał się, czy nie odebrać sobie życia, może to prawda, że (jak uparcie twierdził) ten posiłek przywrócił go do życia, ale błędem było sądzić, że ona, która prawie go nie знаła, może współdzielić jego smutek lub radość. Przez chwilę Maria wyrzucała sobie, że nie potrafi współczuć Malcolmowi (wzruszonym głosem opisywał

„najczarniejsze dni” zaraz po tym, jak opuściła go żona), ale ta chwila szybko minęła. Maria przyznała się przed samą sobą, że nic nie poczuła. Kopnęła Amy pod stołem. Amy zaczęła się uśmiechać, ale po chwili zakryła usta serwetką. Maria potarła stopą o łydkę Amy. Amy odsunęła nogę i Maria nie mogła już znaleźć nogi koleżanki. Przesuwała stopę tam i z powrotem, czekając, aż Amy znów na nią spojrzy, żeby mogła do niej mrugnąć, ale Amy wciąż wbijała wzrok w talerz.

Sean obserwował Malcolma, który zaczął opychać się karczochami. Usidliwszy ich swoimi słowami, zaczął mówić i jeść w tym samym czasie. Ależ sobie wybrał moment! Nic nie było tak zgubne dla romantycznego nastroju (który Sean miał nadzieję stworzyć) niż wzmianka o śmierci. Widział, jak Amy wzdrygnęła się lekko, kuląc ramiona i ściskając (niewątpliwie) piękne nogi. Śmierć, skok z urwiska, dlaczego Malcolm musiał mówić o tym właśnie teraz? Jakby to miało dla nich jakieś znaczenie! Malcolm wybrał sobie dramatyczny moment, żeby przekonać się, że może poczuć miłość. I ileż czuł tej miłości? Czy przypadkiem nie doszedł do siebie nazbyt szybko? Pięć tygodni! „Nigdy bym nie pomyślał, że kiedyś jeszcze będę mógł cieszyć się prostym posiłkiem wśród przyjaciół” – mówił, a Sean obserwował, to niewiarygodne, łzę spływającą krzywo po policzku Malcolma. Płakał, odrywając liście z ogromnego karczocha (nawet w przypływie emocji udało mu się wybrać największego) i zanurzając je w maśle, zanim włożył je do ust.

– Zbyt łatwo szacujemy wartość naszego życia! – oświadczył Malcolm i wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu zbliżył się tak bardzo do jakiejś grupy ludzi. Wszyscy milczeli, chłonąc każde jego słowo, a wzruszenie wzbudziło niezwykłą u niego elokwencję. Jakże często mówimy o rzeczach nieistotnych, pomyślał, rzeczach trywialnych, po prostu dla zabicia czasu. Rzadko kiedy mamy szansę zrzucić ciężar z serca, mówić o pięknie i sensie życia, o tym, jak jest cenne, i jeszcze żeby ludzie tego słuchali! Chwilę wcześniej odczuwał katusze zmarłych, których wykluczono ze świata żywych, ale teraz czuł radość języka, dzielenia się

intymnymi myślami, a jego ciało wibrowało przyjemnie od dźwięku własnego głosu.

Przy pierwszej okazji Sean przerwał ponury monolog Malcolma, biorąc karczocha z półmiska ze słowami:

– Ten jest dla ciebie, Amy. Teraz nie jest zbyt gorący.

– Są wspaniałe – powiedział Malcolm, ocierając oczy.

– Wiesz, jak je jeść, Amy, prawda? – spytał Sean. – Po prostu oderwij liście, zanurz je w maśle, a potem ściągnij miąższ zębami. – Sean demonstrował to, co objaśniał, zanurzając liść w maśle i trzymając go przy ustach. – No proszę, spróbuj – powiedział.

Amy otworzyła usta, ułożyła wargi wokół liścia i delikatnie ugryzła.

– Wiesz, Sean, u nas w Ameryce też są karczochy – odezwała się Maria, sięgając po jeden z nich. – Już je jadłyśmy.

– Ja nie jadłam – stwierdziła Amy, żując i uśmiechając się do Seana.

– Ty też jadłaś – powiedziała Maria. – Widziałam, jak je jadłaś. Wiele razy.

– Może to były szparagi – powiedział Sean i roześmiał się razem z Amy.

Kolacja toczyła się dalej. Sean zauważył, że Amy nachyliła się ku niemu. Malcolm jadł w milczeniu, jego mokre policzki błyszczały jak maślane karczochy, który trzymał w dłoni. Jeden po drugim karczochy zabierano z półmiska, jeden po drugim pozbawiano liści. Sean wciąż podawał Amy kawałki jedzenia, nadskakując jej i wtrącając proste, konkretne sugestie: „Jeszcze jeden...? Trochę masła...? Może wody?”. Pomiedzy kolejnymi kęsami zwracał twarz w jej stronę, wypełniając dzielącą ich przestrzeń ciepłym zapachem tego, co zjadł.

Myślał o czekającej ich schadzce. Uzgodnił z nią następujący plan: po obiedzie zaproponuje tryktraka, ona natychmiast się zgodzi i razem zjedzą do bawialni; będą tam grać, aż pozostali zasną, a potem pójdą na górę, żeby obejrzeć relikwie.

Ale właśnie wtedy Malcolm powiedział:

– Drogie panie, spójrzcie tylko na tych dwóch starych gości, którzy przed wami siedzą. Sean i ja jesteśmy starymi serdecznymi przyjaciółmi. W Oksfordzie byliśmy nierozłączni.

Sean podniósł wzrok i zobaczył, że Malcolm uśmiecha się do niego ciepło z drugiej strony stołu. Oczy wciąż mu wilgotniały. Wyglądał nieporadnie i idiotycznie. Ale Malcolm ciągnął dalej:

– Modłę się, żeby wasza przyjaźń, tak przecież jeszcze młoda, przetrwała równie długo. – Patrzył teraz na dziewczyny, to na jedną, to na drugą. – Bo starzy przyjaciele – mruknął – są najlepsi.

– Czy ktoś ma może chęć przejść do bawialni na partyjkę tryktraka? – spytał głośno Sean gości przy stole, ale zwłaszcza Amy, o czym ta dobrze wiedziała. Właśnie miała powiedzieć „tak”, gdy kątem oka zauważyła obserwującą ją Marię. Amy wiedziała, że Maria czeka na jej odpowiedź. Gdyby powiedziała, że chce zagrać, Maria również wyraziłaby chęć gry. Nagle zdała sobie sprawę, że plan się nie powiedzie, Maria nigdy nie pójdzie spać sama. Amy rozłożyła więc ręce na stole, spojrzała na paznokcie i zapytała:

– Mario, co o tym sądzisz?

– Och, sama nie wiem – odpowiedziała Maria.

– Nie wszyscy mogą zagrać – powiedział Sean. – Obawiam się, że w grę wchodzi tylko dwie osoby.

– Tryktrak to świetny pomysł – odezwał się Malcolm.

Amy zaczęła wiercić się na krześle. Zbyt długo się wahała. Wszystko popsuka

– My i tak musimy wcześniej wstać – powiedziała Maria.

– W takim razie pożegnamy naszą dwójkę podróżniczek – stwierdził Malcolm. – Z głębokim żalem.

– Może rzeczywiście jest już trochę późno – powiedział Sean.

– Nonsens! – odrzekł Malcolm. – Noc dopiero się zaczyna! – I z tym słowami odsunął krzesło od stołu i podniósł się zdecydowanym ruchem.

Sean nic nie mógł zrobić. Nie miał pojęcia, dlaczego Amy odstąpiła od ich planu. Podejrzewał, że zbyttnio narzucal się jej przy kolacji, zdradził, co tak naprawdę nim kierowało, i ją przestraszył. Jakakolwiek była przyczyna, teraz nie pozostawało mu już nic innego jak wstać, wyrzec się impulsów serca (łykając gorzką pigułkę rozpaczy), uśmiechnąć i skierować w stronę

drzwi piwnicy. Idąc po schodach z podążającym za nim Malcolmem, bezskutecznie próbował usłyszeć, co mówią dziewczyny w kuchni. Za bawialnię służył długi, wąski, wyłożony boazerią pokój, ze stołem bilardowym pośrodku i skórzaną sofą ustawioną przodem do telewizora na jednym z końców pomieszczenia. Sean natychmiast podszedł do telewizora i go włączył.

– A co z tryktrakiem? – spytał Malcolm.

– Odechciało mi się – odrzekł Sean.

Malcolm spojrzał na niego niepewnie.

– Mam nadzieję, że nie miałeś nic przeciwko mojej małej przemowie – powiedział. – Trochę się boję, że zdominowałem rozmowę.

Sean nie odrywał wzroku od telewizora.

– Prawie tego nie zauważyłem – powiedział.

– Podobasz się Seanowi – powiedziała Maria do Amy, kiedy znalazły się same.

– Nieprawda.

– Prawda. Widzę to.

– Po prostu jest miły.

Stojąc obok siebie przy zlewie, wycierały ostatnie naczynia.

– Co ci powiedział w ogrodzie?

– Kiedy?

– W ogrodzie. Kiedy zabrał cię w głąb ogrodu.

– Powiedział mi, że jestem najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział, a potem poprosił mnie o rękę.

Maria opłukiwała talerz. Trzymała go pod wodą i nic nie odpowiedziała.

– Żartowałam – powiedziała Amy. – Mówił tylko o glebie, jak trudno tu uprawiać rośliny.

Maria zaczęła szorować talerz, mimo że był idealnie czysty.

– Tylko żartowałam – powtórzyła Amy.

Amy chciała jak najdłużej zmywać naczynia. Gdyby Sean wrócił, mogłaby dać mu znak, żeby spotkał się z nią później. Ale były tylko cztery talerze,

do tego nie bardzo brudne, plus kilka szklanek. Wkrótce wszystko zostało umyte.

– Jestem wykończona – powiedziała Maria. – A ty nie?

– Nie.

– Wyglądasz na wyczerpaną.

– Ale nie jestem.

– Co będziemy teraz robić?

Amy nie potrafiła wymyślić niczego, żeby zostać w kuchni. Mogłaby zejść, ale tam będzie Malcolm. Będzie wszędzie, całą noc. Nigdy już nie położy się spać, był tak szczęśliwy, że żyje. W końcu powiedziała:

– Nie ma nic do zrobienia. Chyba pójdę do łóżka.

– Pójdę z tobą – oświadczyła Maria.

– Daj spokój z telewizją, Sean – powiedział Malcolm. – Przez cały wieczór nie mieliśmy okazji porozmawiać. Od dwudziestu lat nie rozmawialiśmy!

– Od dwóch tygodni nie oglądałem telewizji – odrzekł Sean.

Malcolm roześmiał się życzliwie.

– Sean – powiedział – to nic nie da. Nie ukryjesz się przede mną. Zwłaszcza dzisiaj.

Nie doczekał się odpowiedzi. Odczuwał bezgraniczny spokój. Mógł mówić wszystko, co miał do powiedzenia, bez żadnego zakłopotania i przyglądając się badawczo przyjacielowi, zastanawiał się, dlaczego Sean, wprost przeciwnie, jest tak zamknięty w sobie. Ale już w następnej chwili zrozumiał. Niewrażliwość Seana była zdecydowanie zbyt doskonała. To tylko poza. Pod tą skorupą Sean, tak jak Malcolm, także czuł się samotny i rozpaczał po swoim nieudanym małżeństwie. I dlatego też otoczył się żartami i młodymi kobietami.

Malcolm był zaskoczony, że wcześniej nie zdał sobie z tego sprawy. Teraz jednak widział wszystko wyraźniej. Spojrzał na przyjaciela i poczuł dla niego wielkie współczucie. A potem powiedział:

– Opowiedz mi o Meg, Sean. Nie ma się czego wstydzić. Jedziemy na tym samym wózku, przecież wiesz.

Tym razem Sean odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Nadal zachowywał się sztywno, nie było to dla niego łatwe, ale w końcu zaczął:

– To nie ten sam wózek, Malcolmie. Ani trochę. To ja opuściłem Meg. Meg mnie nie zostawiła.

Malcolm odwrócił wzrok i wpatrywał się w podłogę.

– Obawiam się, że źle to przyjęła – ciągnął Sean. – Rzuciła się pod pociąg.

– Próbowwała się zabić? – spytał Malcolm. – O Boże!

– Nie tylko próbowała. Udało się jej.

– Meg nie żyje?

– Tak jest. Dlatego ogród jest w takim stanie.

– Sean, tak mi przykro. Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Nie mogłem o tym rozmawiać – odparł Sean.

Zemsta sprawiła Seanowi przyjemność. Malcolm popsuł mu wieczór, ale teraz Sean nad nim panował, Malcolm uwierzyłby w każde jego słowo. Malcolm oparł głowę o kanapę, a Sean powiedział:

– Co za przypadek, że pojawiłeś się tu akurat dziś wieczorem. I opowiadasz tę historię. Niemal jakby coś cię tu przysłało.

– Nic nie wiedziałem – powiedział cicho Malcolm.

Sean nadal wpatrywał się w przyjaciela, przepełniony swą mocą stworzenia świata, w którym Malcolm miał żyć, gdzie nic nie działało się przypadkowo i gdzie współgrały ze sobą nawet samobójstwa.

Zostawił Malcolma siedzącego na kanapie i ruszył w stronę schodów.

Kiedy Maria poszła do łazienki umyć zęby, Amy podeszła na palcach do drzwi sypialni. Nic nie usłyszała. W domu panowała cisza. Słyszała tylko, że Maria płucze usta wodą i wypłuka ją do zlewu. Wyszła na korytarz. Znowu nic nie usłyszała. Potem Maria wyszła z łazienki. Była bez okularów i spod przymrużonych powiek patrzyła na łóżko.

Kiedy Sean dotarł do kuchni, nie zastał tam nikogo. Przeklinał sam siebie, że w ogóle zaproponował tryktraka, przeklinał Malcolma, że stanął mu na drodze, przeklinał Amy, że odstąpiła od ich planu. Nic się nie wydarzy, cokolwiek by zrobił. Dom, karczochy, relikwia – to wszystko za mało. Pomyślał o swojej żonie, tańczącej gdzieś w jakiejś strefie zwrotnikowej,

a potem zobaczył, jak sam wygląda, samotny, w zimnym domu, z niespełnionymi pragnieniami.

Podszedł z powrotem do drzwi piwnicy i przez chwilę nasłuchiwał. Telewizor nadal był włączony. Malcolm wciąż siedział przed odbiornikiem, zupełnie osłupiały. Sean odwrócił się, zdecydowany zostawić tam Malcolma na całą noc, ale ledwo to zrobił, stanął jak wryty. Przed nim, ubrana jedynie w długi męski T-shirt, stała Amy.

Na górze Maria nadstawiała uszu, czekając, aż Amy wróci. Ledwo Amy położyła się do łóżka, od razu się z niego wygramoliła, mówiąc, że idzie na dół po szklankę wody.

– Napij się z kranu w łazience – zasugerowała Maria, ale Amy powiedziała:

– Chcę mieć szklankę.

Po tym wszystkim, nawet po pocałunku w pociągu, Amy wciąż była nieśmiała. Tak się denerwowała, że gdy tylko położyła się do łóżka, zaraz znowu z niego wyskoczyła. Maria dokładnie wiedziała, co dzieje się w głowie przyjaciółki. Skrzyżowała ręce za głową. Wpatrywała się w dekoracyjne tynki sufitu, czując, jak jej ciało całym ciężarem pogrąża się w materacu, poduszkach. Ogarnął ją wielki spokój, pewność, poczucie, że w końcu jej życzenia się spełnią, a jej pozostaje tylko czekać.

Malcolm wstał i wyłączył telewizor. Przeszedł przez pokój do stołu bilardowego. Wyjął bilę, przetoczył ją po suknie i patrzył, jak odbija się od boków stołu. Złapał ją ponownie i powtórzył tę samą czynność. Bila z głuchym odgłosem uderzała miękko w bandy.

Myślał o tym, co powiedział mu Sean. Zastanawiał się, co to wszystko miało znaczyć.

Chcąc ich ukryć, zanim Malcolm wyjdzie z piwnicy, Sean zaprowadził Amy do gabinetu. Po drodze zabrał walizkę pozostawioną wcześniej w holu. Zamknąwszy za nimi drzwi, szeptem polecił Amy, żeby zachowała milczenie. Następnie nachylił się z pełną powagą, chcąc otworzyć walizkę. Zwalniając metalowy zatrzask, zdawał sobie sprawę z oddalonych tylko

o kilka centymetrów od jego twarzy nagich ud Amy. Pragnął sięgnąć i chwycić ją za nogi, przyciągnąć ją do siebie i przyłożyć twarz do misy jej bioder. Nie zrobił tego jednak. Wyjął tylko szarą wełnianą skarpetę, z której następnie wyciągnął cienką żółtą kość, nie miała więcej niż siedem centymetrów.

– Oto on – powiedział, pokazując ją Amy. – Prosto z Rzymu. Palec wskazujący świętego Augustyna.

– Możesz powtórzyć, ile lat temu żył?

– Tysiąc pięćset.

Amy wyciągnęła rękę i dotknęła kawałeczka kości, podczas gdy Sean wpatrywał się w jej usta, policzki, oczy, włosy.

Amy wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Zawsze wiedziała, kiedy mężczyźni zamierzają ją pocałować. Czasami im to utrudniała, odsuwając się od nich lub o coś pytając. A czasami udawała, że po prostu tego nie zauważa, tak jak teraz, przyglądając się palcowi świętego.

Po chwili Sean powiedział:

– Bałem się, że się nie spotkamy.

– Trudno było uwolnić się od heretyków – powiedziała Amy.

Malcolm wszedł do kuchni, szukając Seana. Znalazł tam jedynie ułożone obok zlewu talerze, które dziewczęta starannie umyły. Przeszedł się po kuchni, rozgrzał ręce przy tłącym się ogniu i zauważywszy, że na podłodze wciąż znajdują się pozostawione przez niego karczochoy, położył je na stole. Dopiero po zrobieniu tego wszystkiego podszedł do kuchennego okna i wyjrzał do ogrodu na tyłach domu.

Kiedy Maria ich zobaczyła, pochylali się nad czymś i prawie dotykali się głowami. Natychmiast zrozumiała, co się stało. Amy zeszła, żeby napić się wody, i Sean ją zatrzymał. Przybyła w samą porę, żeby uratować przyjaciółkę od niezręcznej sytuacji.

– Co to jest? – zapytała i śmiało, triumfalnie weszła do pokoju.

Głos Marii był głosem przeznaczenia, przed którym nie dało się uciec. W chwili zwycięstwa, gdy miał już zaspokoić swoje pragnienia (on i Amy stali twarz przy twarzy), Sean usłyszał głos Marii i na ten dźwięk jego nadzieje legły w gruzach. Nic nie powiedział. Stał tylko w milczeniu, kiedy Maria podeszła do niego i wzięła relikwię w swoją zimną dłoń.

– To palec świętego Augustyna – pospieszyła z wyjaśnieniem Amy.

Maria przez chwilę oglądała kość, po czym oddała ją Seanowi i powiedziała po prostu:

– Akurat.

Dziewczyny odwróciły się (razem) i ruszyły w stronę drzwi.

– Dobranoc – powiedziały, a Sean, stojąc bez ruchu, usłyszał, jak ich głosy zlewają się w koszarne unisono.

– Chyba mu nie uwierzyłaś, co? – zapytała Maria, gdy znalazły się same w pokoju. Amy nie odpowiedziała, tylko położyła się do łóżka i zamknęła oczy. Maria zgasiła światło i niepewnie poruszała się po omacku. – Nie mogę uwierzyć, że dałaś się na to nabrać. Palec świętego Augustyna! – Roześmiała się. – Faceci zrobią wszystko.

Wgramoliła się do łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę, a potem leżała wpatrzona w ciemność, rozmyślając o podstępnych mężczyznach.

– Amy – szepnęła, ale przyjaciółka nie odpowiedziała. Maria przysunęła się bliżej. – Amy – powiedziała nieco głośniejszym głosem. Przysunęła się jeszcze bardziej. Dotknęła biodrem biodra Amy. I znowu zawołała: – Amy.

Przyjaciółka nie odwzajemniła jednak powitania ani nie zwiększyła nacisku biodra na biodro.

– Idę spać! – powiedziała Amy i się odwróciła.

Sean został sam z podróbką palca znamienitego świętego w dłoni. Wydawało mu się, że słyszy chichot dziewcząt na korytarzu. Chwilę później dotarł do niego dźwięk ich stóp na schodach, skrzypienie i stukot zamykanych drzwi sypialni, a potem zaległa cisza.

Kość pokryta była warstwą białego proszku, który osypywał się na jego otwartą dłoń. Już chciał cisnąć kością przez pokój albo rzucić ją na podłogę i zmiażdżyć piętą, ale coś go powstrzymało. Kiedy bowiem na nią patrzył,

odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się po pokoju, ale nikogo tam nie było. A gdy ponownie spojrzał na kość, wydarzyło się coś dziwnego. Palec zdawał się wskazywać na niego. Jakby nadal był częścią żyjącego człowieka lub został przepełniony inteligencją i oskarżał go, potępiał.

Na szczęście to uczucie trwało tylko moment. Już w następnej chwili palec na nic nie pokazywał. Znowu stał się zaledwie kawałkiem kości.

Księżyc wszedł i w jego świetle Malcolm ujrzał ogród, bladoniebieskie koło na końcu trawnika. Spojrzał za siebie na pozostałe na stole karczochy. Następnie podszedł do tylnego wejścia, otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

Ogród był w jeszcze gorszym stanie niż uprzednio. Stojące rzędem zwiędłe kwiaty były teraz zdeptane, wykopane i porozrzucane. Wszędzie widniały ślady stóp. Oznaki przemocy zastąpiły spokój zaniedbania.

Malcolm dostrzegł odciski własnych butów, duże i głębokie. Zauważył też mniejsze ślady tenisówek Amy. Wszedł do ogrodu i postawił nogi na jej śladach, ucieszony tym, jak dokładnie zakrywały je jego buty. W tym momencie nie zastanawiał się już, co się stało z Seanem. Nie wiedział, gdzie są inni: Maria z jednej strony łóżka, Amy z drugiej, Sean w gabinecie, wpatrujący się w kawałek kości. Malcolm na chwilę zapomniał o swoich znajomych, stojąc w ogrodzie, który Meg, jego siostra bliźniaczka, obsadziła i porzuciła. Meg odeszła, poddała się, ale on wciąż tu był. Pomyślał, że potrzebuje domu i własnego ogrodu. Wyobraził sobie, jak przycina różane krzewy i zbiera fasolę. Wydało mu się, że wystarczy taka prosta zmiana, a szczęście w końcu nadejdzie.

Wielki eksperyment

„Skoro jesteś taki mądry, jak to się stało, że nie jesteś bogaty?”

To miasto chciało wiedzieć. Chicago, promienne we wczesnowieczornym, późnokapitalistycznym świetle. Kendall znajdował się w luksusowym apartamencie (nie swoim) na ostatnim piętrze kupionego za gotówkę budynku przy Lake Shore Drive. Na wprost widać było tylko wodę, rozpościerającą się osiemnaście pięter niżej. Ale jeśli przycisnęło się twarz do szyby, jak Kendall właśnie robił, można było dostrzec plażę w kolorze biszkoptowym, biegnącą w dół do kompleksu Navy Pier, gdzie właśnie rozświetlano diabelski młyn.

Szary gotycki kamień Tribune Tower, czarna stal budynku Miesa tuż obok – to nie były barwy nowego Chicago. Deweloperzy słuchali duńskich architektów, a ci słuchali natury, więc najnowsze mieszkalne wieżowce były ekologiczne. Miały jasnozielone fasady i faliste linie dachu, które przypominały źdźbła trawy wyginające się na wietrze.

Kiedyś była tu preria. Te domy o tym mówiły.

Kendall wpatrywał się w luksusowe budynki i myślał o mieszkających w nich ludziach (nie o sobie), zastanawiając się, cóż takiego wiedzą, czego sam nie wie. Przesunął czołem po szybie i usłyszał szelest marszczonego papieru. Do czoła miał przyklejoną żółtą karteczkę. Piasecki musiał wejść, gdy Kendall drzemał przy biurku, i tam ją zostawił.

Na karteczce było napisane „Pomyśl o tym”.

Kendall zgniótł ją i wrzucił do kosza na śmieci. Potem wrócił do spoglądania przez okno na błyszczące Złote Wybrzeże.

Już od szesnastu lat Chicago obdarzało Kendalla kredytem zaufania. Przywitało go, gdy pojawił się tu ze swoim „cyklem pieśni”, składającym się z wierszy napisanych podczas Warsztatów Pisarzy Stanu Iowa. Duże wrażenie zrobiła na mieście jego kolekcja wymagających wysokiego IQ stanowisk w pierwszych latach pobytu: korektora w magazynie „The Baffler”, nauczyciela łaciny w niepublicznej szkole Latin School of Chicago. Ukończenie z wyróżnieniem Amherst College, otrzymanie grantu

Michenera i opublikowanie, w rok po opuszczeniu Iowa City, niezmiennie przygnębiającej villanelli w „Times Literary Supplement” – wszystko to było obiecującą zapowiedzią dla dwudziestokilkulatka. Jeśli Chicago zaczęło powątpiewać w inteligencję Kendalla, kiedy skończył trzydzieści lat, nie zauważył tego. Pracował jako redaktor w małym wydawnictwie o nazwie Wielki Eksperyment, które publikowało pięć tytułów rocznie. Właścicielem był Jimmy Boyko, człowiek obecnie osiemdziesięciodwuletni. W Chicago ludzie lepiej pamiętają Jimmy’ego Boyka jeszcze z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy zajmował się produkcją pornosów na State Street, a mniej ze znacznie dłuższego okresu działalności, kiedy był rzecznikiem wolności słowa i wydawcą książek libertariańskich. Zarówno apartament, gdzie Kendall pracował, jak i ten kosztowny widok, który teraz chłonał, należały do Jimmy’ego. Ten człowiek, to znaczy Jimmy, nadal cieszył się przenikliwym umysłem. Miał problemy ze słuchem, ale jeśli podnosiło się głos, żeby porozmawiać o wydarzeniach w Waszyngtonie, w niebieskich oczach starego mężczyzny pojawiał się błysk zajadłości i wiecznego buntu.

Kendall odsunął się od okna i powróciwszy do biurka, podniósł leżącą tam książkę. Było to dzieło Alexisa de Tocqueville’a *O demokracji w Ameryce*. Jimmy uwielbiał Tocqueville’a i właśnie z jego książki zaczerpnął nazwę dla wydawnictwa Wielki Eksperyment. Jakies sześć miesięcy temu, po wieczornej lampce martini, Jimmy doszedł do wniosku, że ten kraj potrzebuje superskróconej wersji przełomowej pracy Tocqueville’a, zawierającej wszystkie przepowiednie Francuza dotyczące Ameryki, ale zwłaszcza te, które w jak najgorszym świetle ukazywały administrację Busha. I tym właśnie od zeszłego tygodnia zajmował się Kendall – czytał *O demokracji w Ameryce*, a zwłaszcza jej istotne fragmenty. Takie jak na przykład sam początek: „Pośród nowości, które przyciągnęły moją uwagę podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych, nic nie wywarło na mnie tak silnego wrażenia, jak powszechna równość społeczna wśród ludzi”.

– I czy to nie jest dowód? – krzyknął Jimmy, gdy Kendall przeczytał mu ten fragment przez telefon. – Czyż w Ameryce Busha jest czegoś mniej niż równości społecznej!

Jimmy zamierzał nadać tej książeczce tytuł *Kieszonkowa demokracja*. Kiedy jego początkowy zapał się wyczerpał, przekazał pracę Kendallowi.

Najpierw Kendall próbował przeczytać książkę od deski do deski. Ale po jakimś czasie zaczął opuszczać pewne miejsca. Zarówno w pierwszym, jak i drugim tomie były niewyobrażalnie nudne fragmenty przedstawiające metodologie amerykańskiego orzecznictwa, badania amerykańskiego systemu powiatów. Jimmy'ego interesowały tylko momenty prorocze. Książka *O demokracji w Ameryce* przypominała opowiadanie przez rodziców dorosłym dzieciom o tym, jakie te kiedyś były, opisywanie cech charakteru, które z czasem jeszcze bardziej się w nich zakorzeniły, lub dziwactw i upodobań, z których wyrosły. Ciekawe było czytać Francuza piszącego o Ameryce w czasach, kiedy Ameryka była mała, godna podziwu i nikomu nie zagrażała, kiedy wciąż jeszcze nie doceniano jej tak bardzo, że Francuzi mogli zgłaszać do niej pretensje i ją wspierać, jak serializm w muzyce czy powieści Johna Fante'a.

I również tu, podobnie jak w lasach Starego Świata, nieustannie dokonywało się zniszczenie. Pokłady martwej roślinności leżały ułożone jeden na drugim; ale nad ich usunięciem nie pracowała żadna ludzka ręka, a ich butwienie było zbyt wolne, by stworzyć warunki dla nieustannego działania reprodukcji. Rośliny pnące, trawy i inne zioła przeciskały się przez zwały umierających drzew; oplatały powalone pnie, znajdowały pożywienie w zakurzonych wnękach i przedzierały się pod obumarłą korą. I w ten oto sposób gnienie pomagało życiu.

Jakież to było piękne! Jakie to wspaniałe, wyobrażać sobie Amerykę w 1831 roku, zanim pojawiły się centra handlowe i autostrady, przedmieścia i zamożne podmiejskie miejscowości, kiedy brzegi jezior były „okolone lasami starymi jak świat”. Jak ten kraj wyglądał w okresie niemowlęcym? I co najważniejsze: kiedy wszystko się popsło i jak możemy znaleźć drogę powrotną? W jaki sposób gnienie pomogło życiu?

Wiele z tego, co opisał Tocqueville, zupełnie nie przypominało Ameryki, jaką znał Kendall. Oceny obcych zdawały się rozsuwać zasłony, ujawniając cechy, które były dla niego zbyt nieodłączne od Ameryki, żeby je wcześniej zauważył. Narastający niepokój, jaki Kendall odczuwał jako Amerykanin, wrażenie, że w latach młodości, podczas zimnej wojny, nakłoniono go do bezmyślnego zaakceptowania tak skutecznie rozpowszechnianych przez propagandę narodowych mitów, że był jak dziecko dorastające w tym

czasie w Moskwie, sprawiały, że teraz zapragnął pojąć ów eksperyment o nazwie Ameryka.

A jednak im więcej Kendall czytał o Ameryce z 1831 roku, tym bardziej uzmysławiał sobie, jak mało wie o Ameryce z 2005 roku, o tym, w co wierzą jej obywatele i jak się zachowują.

Piasecki był tego doskonałym przykładem. Pewnego wieczoru w barze Coq d'Or powiedział:

– Gdybyśmy obaj nie byli tacy uczciwi, moglibyśmy zarobić dużo pieniędzy.

– Co masz na myśli?

Piasecki był księgowym Jimmy'ego Boyka. Przychodził w piątki, żeby popłacić rachunki i zająć się księgami rachunkowymi. Był blady, pocił się i miał słabe włosy, które zaczesywał do tyłu, odsłaniając w ten sposób podłużne czoło.

– On niczego nie sprawdza, rozumiesz? – powiedział Piasecki. – Nawet nie wie, ile ma pieniędzy.

– A ile ma?

– To poufne informacje – odparł Piasecki. – Pierwsza rzecz, której uczą w szkole rachunkowości: trzymać język za zębami.

Kendall nie naciskał. Nie ufał Piaseckiemu, gdy ten mówił o księgowości. Kiedy w 2002 roku upadł Arthur Andersen, Piasecki wraz z osiemdziesięcioma pięcioma tysiącami innych pracowników stracił pracę. To był dla niego cios, po którym nie mógł się pozbierać. Miał spore wahania wagi, łykał pigułki dietetyczne i Nicorette. Dużo pił.

Zajawszy teraz miejsce w obitym czerwoną skórą mrocznym barze, wypełnionym tłumem klientów, którzy korzystali z *happy hour* na drinki, Piasecki zamówił szkocką. Kendall zrobił tak samo.

– Życzą sobie panowie dyrektorską miarkę? – zapytał kelner.

Kendall nigdy nie będzie pracownikiem szczebla kierowniczego. Ale mógł zażyczyć sobie dyrektorską miarkę.

– Tak – powiedział.

Przez chwilę milczeli, wpatrzeni w ekran telewizora, nastawionego na transmisję meczu kończącego się sezonu baseballu. Grały dwie niedawno utworzone drużyny, które występowały w Western Division. Kendall nie rozpoznał strojów. Majstrowano nawet przy baseballu.

– Sam nie wiem – powiedział Piasecki. – Chodzi o to, że jak zostaniesz wyrołowany tak jak ja, zaczynasz inaczej patrzeć na pewne rzeczy. Kiedy dorastałem, sądziłem, że większość ludzi stosuje się do pewnych zasad. Ale po tym, jak wszystko się zawaliło wraz z Andersenem, i to w taki sposób... To znaczy, żeby zrzucić winę na całą firmę za to, co kilka czarnych owiec zrobiło w imieniu Kena Laya i Enrona... – Nie dokończył tej myśli. Jego oczy rozbłysły cierpieniem ze świeżo rozdrapanej rany.

Szklaneczki, małe baryłki szkockiej, dotarły do ich stolika. Dokończyli pierwszą kolejkę i zamówili kolejną. Piasecki częstował się bezpłatnymi przystawkami.

– Dziewięć osób na dziesięć na naszym miejscu przynajmniej by o tym pomyślało – powiedział. – No wiesz, chodzi o tego pieprzonego kołosa! Po pierwsze, na czym zrobił kasę? Na cipkach. To był jego sposób myślenia. Jimmy był pionierem zdjęć piczek. Wiedział, że cycki i tyłki już się skończyły. Nawet się nimi nie zajmował. A teraz jest jakimś świętym? Działaczem politycznym? Chyba nie wierzysz w te brednie, prawda?

– Właściwie – odpowiedział Kendall – wierzę.

– Bo wydajesz te książki? Wiem, jak się sprzedają. Co roku tracisz pieniądze. Nikt tego nie czyta.

– Sprzedaliśmy pięć tysięcy egzemplarzy *Federalisty* – powiedział Kendall w swojej obronie.

– Głównie w Wyoming – rzucił w odpowiedzi Piasecki.

– Jimmy robi dobry użytek ze swoich pieniędzy. Czy nie przekazuje datków na rzecz ACLU, organizacji broniącej praw obywatelskich? – Kendall poczuł się w obowiązku dodać: – Wydawnictwo to tylko jeden aspekt jego działalności.

– Dobra, dajmy na chwilę spokój Jimmy’emu – powiedział Piasecki. – Ale popatrz tylko na ten kraj. Bush – Clinton – Bush – może Clinton. To nie jest demokracja, rozumiesz? To monarchia dynastyczna. A co mają robić ludzie tacy jak my? Co by się złego stało, gdybyśmy po prostu zebrali odrobinę śmietanki? Troszkę tej śmietanki. Nienawidzę, kurwa, swojego życia. A czy o tym myślę? Jasne. Jestem z góry uznany za winnego. Wszystkich nas uznali za winnych i zabrali nam środki do życia, bez względu na to, czy byliśmy uczciwi czy nie. No to myślę sobie, jeśli już jestem winny, to czym się przejmować?

W chwilach kiedy Kendall był pijany, kiedy znajdował się w jakimś osobliwym miejscu, takim jak Coq d'Or, kiedy przed oczami stawał mu obraz ludzkiego cierpienia, wciąż czuł się poetą. Słowa dudniły mu w głowie, jakby nadal miał w sobie pilność potrzebną, żeby je zapisać. Zauważał sinawe worki pod oczami Piaseckiego, zaciśnięte jak u narkomana mięśnie szczęki, jego marny garnitur, włosy jak wąsy kukurydzy i założone na czubek głowy niebieskie okulary przeciwsłoneczne kolarza z Tour de France.

– Pozwól, że o coś cię zapytam – powiedział Piasecki. – Ile masz lat?

– Czterdzieści pięć – odparł Kendall.

– Chcesz przez resztę życia być redaktorem w jakimś drugorzędnym wydawnictwie, takim jak Wielki Eksperyment?

– Chcę nic nie robić przez resztę życia – powiedział Kendall z uśmiechem.

– Jimmy nie opłaca ci ubezpieczenia zdrowotnego, prawda?

– Nie – przyznał Kendall.

– Ma tyle pieniędzy, a my obaj pracujemy na umowę-zlecenie. A ty uważasz go za jakiegoś bojownika o sprawiedliwość społeczną.

– Moja żona też uważa, że to straszne.

– Twoja żona jest mądrą kobietą – powiedział Piasecki, kiwając z aprobatą głową. – Może z nią powinienem rozmawiać.

Pociąg jadący do Oak Park był duszny, ponury, tak nędzny, jakby jazda nim miała stanowić karę. Klekotał na torach, światła w nim migotały. W chwilach gdy robiło się jasno, Kendall czytał Tocqueville'a. „Zagłada tych plemion zaczęła się w dniu, w którym Europejczycy wylądowali na brzegu ich lądu, i trwa od tamtej pory, a my obecnie jesteśmy świadkami jej zakończenia”. Pociąg zatrząsł się, docierając do mostu, i zaczął przekraczać rzekę. Na przeciwnym brzegu nad wodą zwieszały się zaprojektowane z niesamowitym rozmachem konstrukcje ze szkła i stali, wszystkie rześkie oświetlone. „Te wybrzeża, tak wyjątkowo przystosowane do działalności handlowej i przemysłowej, te szerokie i głębokie rzeki, ta zasobna dolina Missisipi, krótko mówiąc, cały kontynent wydawał się przygotowany na to, żeby stać się domem wielkiego, choć jeszcze nienarodzonego narodu”.

Zadzwonił telefon komórkowy i Kendall go odebrał. Telefonował Piasecki, był w drodze do domu, dzwonił z ulicy.

– Wiesz, o czym właśnie rozmawialiśmy? – zapytał Piasecki. – No bo wiesz, jestem pijany.

– Ja też – powiedział Kendall. – Nie przejmuj się tym.

– Jestem pijany – powtórzył Piasecki – ale mówię poważnie.

Kendall nigdy nie oczekiwał, że będzie tak bogaty jak jego rodzice, ale nigdy też nie wyobrażał sobie, że będzie zarabiał tak mało i że będzie mu to tak bardzo przeszkadzać. Po pięciu latach pracy w Wielkim Eksperymentie zaoszczędził ze Stephanie, swoją żoną, jedynie tyle, żeby kupić w Oak Park duży dom do remontu; ale nie byli w stanie go wyremontować.

W dawnych czasach Kendall nie zważałby na nędzne warunki życia. Lubił te przerobione stodoły i nieogrzewane mieszkania w garażu, które wynajmowali ze Stephanie przed ślubem, i lubił też te nieco ładniejsze mieszkania w podejrzanych dzielnicach, zajmowane przez nich już po ślubie. Jego podejście do ich małżeństwa jako kontrkulturowego, artystycznego przymierza oddanego sprawie płyt winylowych i kwartalników literackich Środkowego Zachodu nie zmieniło się nawet po urodzeniu Maksa i Eleanor. Bo czy wykorzystanie brazylijskiego hamaka jako stołu do przewijania nie było natchnionym pomysłem? Albo zakrycie dziury w ścianie plakatem Becka spoglądającego z góry na dziecinne łóżeczko?

Kendall nigdy nie chciał żyć jak jego rodzice. Właśnie o to w tym wszystkim chodziło – w ten sposób wzniośle uzasadniał kolekcję śnieżnych kul i okularów z pchlego targu. Ale gdy dzieci dorosły, Kendall zaczął zauważać, jak źle wypada ich dzieciństwo w porównaniu z jego własnym, i poczuł się winny.

Patrząc z ulicy, którą właśnie szedł pod ciemnymi, ociekającymi wodą drzewami, jego dom robił dość dobre wrażenie. Trawnik był obszerny. Po obu stronach prowadzących na szeroki ganek frontowych schodów stały dwie kamienne urny. Pomijając łuszczącą się pod okapem farbę, dom z zewnątrz wyglądał dobrze. Kłopoty zaczynały się we wnętrzu. W rzeczywistości kłopoty zaczynały się od samego tego słowa – wnętrze. Stephanie lubiła go używać. Pełno go było w magazynach projektanckich,

w których szukała inspiracji. Jeden nawet się tak nazywał: „Wnętrza”. Kendall miał jednak wątpliwości, czy ich dom osiągnął stan, w którym można by mówić o charakterze wnętrza. Przykładowo do środka stale wdzierało się zewnątrz. Deszcz przeciekał przez sufit głównej łazienki. Ścieki wybijały przez otwór odpływowy w piwnicy.

Po przeciwnej stronie ulicy stał zaparkowany na drugiego range rover, z rury wydechowej unosił się dym. Mijając samochód, Kendall spojrzał krzywo na osobę siedzącą za kierownicą. Spodziewał się zobaczyć biznesmena lub elegancką żonę z przedmieścia. Ale na przednim siedzeniu ujrzał kobietę w średnim wieku, niedbale ubraną w sportową bluzę drużyny z Wisconsin i rozmawiającą przez telefon komórkowy.

Niechęć Kendalla do SUV-ów nie przeszkadzała mu znać ceny podstawowej wersji range rovera – kosztował siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Z oficjalnej strony internetowej producenta, dzięki której każdy mąż mógł późną nocą skonfigurować własny samochód, Kendall wiedział również, że wybór „Pakietu luksusowego” (najlepiej kaszmirowa tapicerka z granatową lamówką i deską rozdzielczą z orzecha czeczoty) sprawiał, że cena wynosiła osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów. To była niewyobrażalna, przytłaczająca kwota. A jednak na podjazd obok domu Kendalla podjeżdżał kolejny range rover, tym razem należący do sąsiada, Billa Ferreta. Bill zajmował się czymś związanym z oprogramowaniem; opracowywał je lub sprzedawał. Zeszłego lata przy grillu w ogródku za domem Kendall z poważną miną słuchał Billa, który objaśniał mu, czym zajmuje się zawodowo. Kendall specjalizował się w poważnym wyrazie twarzy. Wyćwiczył tę minę na nauczycielach w gimnazjum i liceum, siedząc w pierwszym rzędzie: twarz zawsze uważnego, piątkowego ucznia. Ale mimo że Kendall słuchał z pozoru uważnie, nie pamiętał, co Bill powiedział mu o swojej pracy. W Kanadzie istniała firma programistyczna o nazwie Waxman, a Bill miał udziały w Waxmanie albo Waxman miał udziały w firmie Billa, Duplicate, i albo Waxman albo Duplicate myślały o „wejściu na giełdę”, co najwyraźniej miało być czymś dobrym, tylko że Bill właśnie założył trzecią firmę produkującą oprogramowanie, Triplicate, więc Waxman lub Duplicate, a może obie, zmusiły go do podpisania umowy o „zakazie prowadzenia działalności konkurencyjnej”, który miał obowiązywać przez rok.

Żując hamburgera, Kendall zrozumiał, że tak się mówi w świecie – w prawdziwym świecie, w którym sam żył, choć do którego paradoksalnie jeszcze nie wkroczył. W tym realnym świecie istniały takie rzeczy, jak specjalistyczne oprogramowanie na zamówienie i procent udziałów czy też makiaweliczne zmagania korporacyjne, a wszystkie one otwierały możliwości wprowadzania rozkosznie pięknego, zielonego jak las range rovera na własny brukowany podjazd.

Może Kendall nie był aż taki mądry.

Poszedł chodnikiem prowadzącym do domu i po wejściu znalazł Stephanie w kuchni, obok otwartej świecącej kuchenki. Stephanie rzuciła na kuchenny blat dzisiejszą pocztę i przeglądała czasopismo o architekturze. Kendall podszedł do żony od tyłu i pocałował ją w kark.

– Nie złość się – powiedziała Stephanie. – Dopiero co włączyłam piekarnik.

– Nie jestem zły. Nigdy nie jestem zły.

Stephanie postanowiła się o to nie spierać. Była drobną, delikatnie zbudowaną kobietą i pracowała w galerii współczesnej fotografii. Miała taką samą fryzurę studentki literatury porównawczej, z włosami na pazia, jak dwadzieścia dwa lata wcześniej, w dniu, w którym poznali się na seminarium z rozwoju człowieka. Odkąd skończyła czterdzieści lat, Stephanie zaczęła pytać Kendalla, czy nie jest za stara na to, żeby się tak ubierać. Ale on szczerze odpowiadał, że w jej starannie wybranych, używanych strojach – długiej wielobarwnej skórzanej kurtce, mażoretce czy w białej rosyjskiej czapce ze sztucznego futra – wyglądała jak zawsze wspaniale.

Zdjęcia w przeglądanych przez Stephanie magazynie pokazywały remonty miejskich budynków. Na jednej ze stron widać było wyburzoną tylną część ceglanej miejskiej rezydencji, żeby postawić na tym miejscu sześcienną szklaną dobudówkę; inna ukazywała wypatroszoną kamienicę z elewacją z piaskowca, wyglądającą po remoncie tak jasno i przestronnie jak poddasze w Soho. To był ideał: zachować wierność wymogom konserwatorskim, nie tracąc nic z komfortu dzisiejszych czasów. Właściciele tych domów, piękne, zamożne rodziny, często przedstawiano w beztróskich chwilach, przy śniadaniu lub podczas zabawy, a ich życie miało sprawiać wrażenie wzbogaconego przez te rozwiązania wzornicze,

które sprawiały, że nawet naciśnięcie włącznika światła czy nalewanie wody do wanny było czymś przyjemnym i przynoszącym satysfakcję.

Kendall stał z głową przy głowie Stephanie, kiedy patrzyli na zdjęcia. Po chwili zapytał:

– Gdzie dzieci?

– Max jest u Sama. A Eleanor mówi, że tu jest za zimno, więc będzie spać u Olivii.

– Wiesz co? – powiedział Kendall. – Pieprzyć to. Podkreśmy ogrzewanie.

– Nie powinniśmy. W zeszłym miesiącu rachunek był kolosalny.

– Niewiele lepsze jest trzymanie otwartego piekarnika.

– Wiem. Ale tutaj jest zimno.

Kendall odwrócił się i spojrzał w okna nad zlewem. Kiedy się nachylił, poczuł bijące od szyb zimne powietrze. Naprawdę ciągnęło chłodem.

– Piasecki powiedział mi dziś coś interesującego.

– Kto taki?

– Piasecki. Księgowy. Z pracy. Jego zdaniem to niewiarygodne, że Jimmy nie zapewnia mi ubezpieczenia zdrowotnego.

– Przecież ci to mówiłam.

– W każdym razie Piasecki się z tobą zgadza.

Stephanie złożyła czasopismo. Potem zamknęła drzwi piekarnika i wyłączyła gaz.

– Płacimy sześć tysięcy dolarów rocznie na ubezpieczenie Blue Cross. Po trzech latach mielibyśmy tu nową kuchnię.

– Albo moglibyśmy wydać je na ogrzewanie – powiedział Kendall. – A wtedy dzieci by nas nie porzuciły. Nadal by nas kochały.

– Wciąż cię kochają. Nie martw się. Wrócą na wiosnę.

Wychodząc z kuchni, Kendall jeszcze raz pocałował żonę w szyję. Poszedł na górę, najpierw, żeby skorzystać z toalety, a potem, żeby założyć sweter, ale gdy tylko znalazł się w głównej sypialni, stanął w miejscu.

To nie była jedyna taka sypialnia w Chicago. Podobnie wyglądały w całym kraju sypialnie coraz większej liczby zestresowanych par z dwoma źródłami dochodów. Z poskręcanyimi prześcieradłami i kocami na łóżku, z pogniecionymi albo odartymi z poszewki poduszkami, które ukazywały plamy śliny albo wyplute pióra, oraz skarpetkami i slipami porzucanymi po podłodze jak zwierzęce skórki sypialnia przypominała legowisko,

w którym niedawno snem zimowym spały dwa niedźwiedzie. A może jeszcze się nie obudziły. W rogu pokoju na metr w górę wznosiło się wzgórze brudnej bielizny. Kilka miesięcy temu Kendall pojechał do sklepu z wyposażeniem wnętrz Bed Bath & Beyond i kupił wiklinowy kosz na bieliznę, a potem rodzina sumiennie wrzucała do niego brudy. Wkrótce jednak kosz się zapełnił, więc zaczęli rzucać pranie mniej więcej w jego stronę. O ile Kendall się nie mylił, kosz prawdopodobnie nadal tam był, zakopany pod piramidą prania.

Jak mogło dojść do czegoś takiego w ciągu jednego pokolenia? Sypialnia jego rodziców nigdy tak nie wyglądała. Ojciec Kendalla miał komodę pełną starannie złożonej bielizny, szafę pełną wyprasowanych garniturów i koszul. Co wieczór kładł się do idealnie pościłanego łóżka. Gdyby w dzisiejszych czasach Kendall chciał żyć jak ojciec, musiałby zatrudnić prачkę, sprzątaczkę, osobistą sekretarkę i kucharkę. Musiałby zatrudnić żonę. Czyż to nie byłoby wspaniałe? Również Stephanie mogłaby z niej skorzystać. Wszyscy potrzebowali żony i nikt jej już nie miał.

Ale żeby najać żonę, Kendall musiał zarobić więcej pieniędzy. Alternatywnym rozwiązaniem było żyć tak jak on, w nędzy klasy średniej, w małżeńskim stanie kawalerskim.

Jak większość uczciwych ludzi Kendall czasami snuł fantazje o popełnieniu przestępstwa. Ale w następnych dniach jego kryminalne fantazje nabrały niemal kryminalnego wymiaru. Jak zdefraudować, jeśli chce się zrobić to dobrze? Jakie błędy popełniają zupełni amatorzy? Jak można zostać złapanym i jakie są kary?

Dla malwersanta fantasty niesamowite było, jak pouczające są codzienne gazety. Nie tylko goniący za sensacją „Chicago Sun-Times”, z historyjkami o uzależnionych od hazardu księgowych i firmach transportowych prowadzonych przez „mniejszość” irlandzką. O wiele bardziej pouczające były strony biznesowe w „Tribune” lub „Timesie”. Tutaj można było przeczytać o menedżerze funduszu emerytalnego, który wyprowadził pięć milionów, lub o koreańsko-amerykańskim geniuszu funduszu hedgingowego, znikającym z ćwierć miliardem dolarów należących do emerytów z Palm Beach, a potem okazującym się Meksykaninem o imieniu Lopez. Wystarczyło przewrócić stronę i już czytało się o kierowniku

w Boeingu, skazanym na cztery miesiące więzienia za ustawianie kontraktów z Siłami Powietrznymi. Pierwszą stronę zajmowały malwersacje Berniego Ebbersa i Dennisa Kozłowskiego, ale skalę powszechnego oszustwa uzmysłowiły Kendallowi dopiero krótkie artykuły na stronach A21 lub C15, opisujące dyskretniejsze oszustwa, kanciarzy artystów, którzy operowali subtelniejszymi pigmentami, przemieniającymi pospolite przedmioty w dzieła sztuki.

W następny piątek w Coq d'Or Piasecki powiedział:

– Wiesz, jaki błąd popełnia większość ludzi?

– Jaki?

– Kupują dom nad morzem. Albo porsche. Wysyłają sygnał. Nie mogą się oprzeć.

– Brakuje im samodyscypliny – stwierdził Kendall.

– Zgadza się.

– Brak kręgosłupa.

– Właśnie.

Czy Ameryka nie bazowała na machinacjach? Ta prawdziwa Ameryka, której Kendall, z nosem utkwionym w podręczniku prozodii, nie zauważył? Co różniło działania drobnych oszustów korporacyjnych i oszustwa księgowe w Enronie? A co powiedzieć o tych wszystkich biznesmenach, którzy byli sprytni i nie dali się złapać, którzy wywinęli się od odpowiedzialności? Płynący z góry przykład nie propagował prawości i pełnej transparentności. Wręcz przeciwnie.

Kiedy Kendall dorastał, politycy amerykańscy zaprzeczali, że Stany Zjednoczone są imperium. Ale już tego nie robili. Zrezygnowali. Teraz wszyscy wiedzieli o imperium. I wszyscy byli zadowoleni.

A na ulicach Chicago, podobnie jak na ulicach Los Angeles, w Nowym Jorku, Houston i Oakland, przesłanie stawało się dla wszystkich jasne. Kilka tygodni temu Kendall oglądał w telewizji film *Patton*. Przypomniał mu, że generał został surowo ukarany za wymierzenie policzka żołnierzowi. A teraz Rumsfelda zwolniono od odpowiedzialności za więzienie Abu Ghurajb. Nawet prezydent, który skłamał w sprawie broni masowego rażenia, został ponownie wybrany. Ludzie na ulicach zrozumieli, w czym rzecz. Liczyło się zwycięstwo, siła, muskulatura, w razie potrzeby pustosłowie. Można to było zauważyć po tym, jak ludzie prowadzili samochody, jak zajeżdżali ci drogę, pokazywali palec, przeklinali. I kobiety,

i mężczyźni, okazując wściekłość i nieustępliwość. Każdy wiedział, czego chce i jak to uzyskać. Nikt ze spotykanych osób nie był głupcem.

Nasz kraj jest jak nasza osobowość. Im lepiej się ją poznaje, tym bardziej jest się czego wstydzić.

Z drugiej strony, życie w plutokracji nie było taką straszną torturą. Jimmy nadal przebywał w Montecito, a Kendall w każdy dzień powszedni miał do dyspozycji jego mieszkanie. Pracowali tam służalczy dozorczy, niewidzialni tragarze, którzy wynosili śmieci, oddział polskich pokojówek, przychodzących w środę i piątek rano, żeby posprzątać po Kendallu, wyszorować toaletę w mauretańskiej łazience i uporządkować słoneczną kuchnię, gdzie jadał lunch. Mieszkanie było dwupoziomowe. Kendall pracował na piętrze. Na dole był „pokój jadeitów”, w którym Jimmy trzymał kolekcję chińskiego jadeitu w gablotach niczym z muzeum (jeśli myśleć o przestępstwie, „pokój jadeitów” mógł być dobrym miejscem na początek).

Ilekcć Kendall w swoim biurze podnosił wzrok znad Tocqueville’a, widział rozpościerające się we wszystkich kierunkach opalizujące jezioro. Ta osobliwa pustka, jaka otwierała się przed Chicago, sposób, w jaki miasto po prostu zapadało się w nicość, szczególnie o zachodzie lub we mgle, były prawdopodobnie odpowiedzialne za całą jego działalność. Ziemia czekała na wykorzystanie. Te wybrzeża, tak wyjątkowo przystosowane do handlu i przemysłu, zrodziły tysiąc fabryk. Fabryki wysłały stalowe pojazdy na cały świat, a teraz te pojazdy, w uzbrojonej postaci, walczyły o kontrolę nad ropą, która napędzała całą operację.

Dwa dni po rozmowie z Piaseckim Kendall zadzwonił na telefon stacjonarny swojego szefa w Montecito. Telefon odebrała żona Jimmy’ego, Pauline. Pauline była jego ostatnią żoną i właśnie przy niej znalazł szczęście małżeńskie. Jimmy był wcześniej dwukrotnie żonaty, raz z ukochaną z college’u, raz z trzydzieści lat młodszą od niego Miss Universe; Pauline była kobietą w stosownym wieku, rozsądną i sympatyczną, która prowadziła Fundację Boyka i spędzała czas na rozdawaniu pieniędzy Jimmy’ego.

Po krótkiej pogawędce z Pauline Kendall spytał, czy może porozmawiać z Jimmym, i kilka chwil później usłyszał jego donośny głos.

– Co tam, chłopcze?

– Cześć, Jimmy, jak się masz?

– Właśnie zsiadłem z harleya. Przejechałem całą drogę do Ventury i z powrotem. Teraz tyłek mnie boli, ale jestem szczęśliwy. O co chodzi?

– Tak – powiedział Kendall. – Otóż chciałem z tobą o czymś porozmawiać. Prowadzę wydawnictwo od sześciu lat. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z mojej pracy.

– Jestem – odparł Jimmy. – Nie narzekam.

– Zważywszy na to, jak wykonuję swoje obowiązki i jak długo tu pracuję, chciałem zapytać, czy możliwe jest załatwienie mi jakiegoś ubezpieczenia zdrowotnego. Ja...

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedział Jimmy. To, że zareagował tak gwałtownie, było dla niego charakterystyczne: chodziło o ten sam mur, który stawiał przez całe życie, o obronę przed polskimi dzieciakami, które biły go w drodze ze szkoły do domu, przed własnym ojcem, który powiedział Jimmy’emu, że jest do niczego i nigdy nie odniesie w życiu sukcesu, a później przed gliniarzami z obyczajówki nachodzącymi studio, gdzie Jimmy produkował i sprzedawał swoje nieprzyzwoite magazyny, a przede wszystkim konkurentami w interesach, którzy próbowali go oszukać, i wreszcie przed hipokrytami i świętszymi od papieża politykami, którzy podważyli Pierwszą Poprawkę i nadmiernie rozszerzali prawa objęte Drugą. – Nigdy się tak nie umawialiśmy. Okazuje się, że prowadzę organizację non profit, chłopcze. Piasecki właśnie przysłał mi sprawozdanie finansowe. W tym roku jesteśmy na minusie. Co roku jesteśmy na minusie. Publikujemy wszystkie te ważne, fundamentalne, patriotyczne książki, książki o sprawach zasadniczych, i nikt ich nie kupuje! Ludzie w tym kraju śpią! Cały nasz naród jest na środkach nasennych. Ten piaskowy dziadek, ten cały Karl Rove, sypie wszystkim piaskiem w oczy.

Rozkręcił się, wyklinając Busha, Wolfowitza i Perle’a, ale potem chyba zrobiło mu się przykro, że unika tematu rozmowy, ponieważ wrócił do niego, łagodząc swój ton.

– Słuchaj, wiem, że masz rodzinę. Musisz zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Jeśli chcesz sprawdzić swoją wartość na rynku, zrozumiam to. Nie chciałbym cię stracić, Kendall, ale zrozumiam, jeśli wybierzesz inną drogę.

Na linii zapadła cisza.

Jimmy się odezwał:

– Zastanów się nad tym. – Odchrząknął. – A przy okazji, skoro już rozmawiamy, powiedz mi, jak tam praca nad *Kieszonkową demokracją*?

Kendall żałował, że nie potrafi mówić rzeczowo. Ale nie mógł pohamować goryczy w głosie, gdy odpowiedział:

– Postępuje.

– Jak sądzisz, kiedy będziesz miał mi coś do pokazania?

– Nie mam pojęcia.

– Co to znaczy?

– W tej chwili trudno mi to sprecyzować.

– Posłuchaj, ja tu prowadzę interesy – powiedział Jimmy. – Myślisz, że jesteś pierwszym moim redaktorem? Nie. Zatrudniam młodych ludzi i wymieniam ich, kiedy idą swoją drogą. I ty też możesz tak zrobić. Tak to funkcjonuje. Nie mam nic do zarzucenia twojej pracy, bo była pierwszorzędna. Przykro mi, chłopcze. Daj mi znać, jak coś postanowisz.

Kiedy Kendall odłożył słuchawkę, słońce zachodziło. Woda odbijała szaroniebieski kolor ciemniejącego nieba i rozbłysły już światła stacji pompujących wodę, przez co wyglądały jak sznur pływających altanek. Kendall opadł na krzesło, otoczony porozrzucanymi na biurku kserokopiami stron *O demokracji w Ameryce*. Czuł pulsowanie w lewej skroni. Potarł czoło i spojrzał na leżącą przed nim stronę:

Nie mam na myśli tego, że w Stanach Zjednoczonych nie ma zamożnych osób; w istocie nie znam żadnego kraju, w którym miłość do pieniędzy silniej opanowałaby uczucia ludzi i gdzie wyrażano by głębszą pogardę dla teorii nieustannej równości majątkowej. Ale bogactwo krąży z niewyobrażalną szybkością, a doświadczenie pokazuje, że rzadko zdarza się, żeby dwa kolejne pokolenia mogły się nim w pełni cieszyć.

Kendall obrócił się na fotelu i ponownie chwycił za telefon. Wybrał numer Piaseckiego i po jednym sygnale usłyszał jego głos.

– Spotkajmy się w Coq d’Or – powiedział Kendall.

– Teraz? W jakiej sprawie?

– Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. Powiem ci, kiedy się spotkamy.

Tak to się robi. Na tym polega działanie. W jednej chwili wszystko może się zmienić.

W błędnym świetle Kendall przeszedł z Lakeshore do hotelu Drake i przez drzwi od ulicy wszedł do baru. Znalazł boks z tyłu, z dala od grającego na fortepianie faceta w smokingu, zamówił drinka i czekał na Piaseckiego.

Ten pojawił się po półgodzinie. Gdy Piasecki usiadł, Kendall popatrzył na niego przez stół i się uśmiechnął.

– Chodzi o pomysł, o którym wtedy mówiłeś – odezwał się.

Piasecki spojrział na niego z ukosa.

– Mówisz poważnie czy po prostu się wygłupiasz?

– Jestem ciekawy.

– Nie pogrywaj ze mną.

– Nie pogrywam – odpowiedział Kendall. – Właśnie się zastanawiałem. Jak by to miało wyglądać? W praktyce.

Piasecki nachylił się, żeby Kendall słyszał go przez brzdąkanie fortepianu.

– Nigdy nie mówiłem tego, co teraz powiem, jasne?

– Jasne.

– Jeśli masz robić coś takiego, to zakładasz fikcyjną firmę. Ta firma wystawia faktury. Następnie Wielki Eksperyment płaci te faktury. Po kilku latach zamykasz konto i likwidujesz firmę.

Kendall starał się zrozumieć.

– Ale faktura musi być za coś. Czy to nie będzie oczywiste?

– Kiedy po raz ostatni Jimmy sprawdzał faktury? On ma osiemdziesiąt dwa lata, na litość boską. Siedzi w Kalifornii i bierze viagrę, żeby móc posuwać jakąś dziwkę. Nie myśli o fakturach. Ma umysł zajęty czymś innym.

– A co będzie, jeśli będziemy mieli kontrolę?

Tym razem to Piasecki się uśmiechnął.

– Podoba mi się, jak mówisz „my”. Bo właśnie tu pojawia się ja. Jeśli będziemy mieli kontrolę, kto się tym zajmie? Ja. Pokazuję skarbowemu rachunki i płatności. A ponieważ nasze płatności dla fikcyjnej firmy są zgodne z rachunkami, wszystko wygląda dobrze. Dlaczego skarbowka miałaby mieć pretensje, jeśli zapłacimy odpowiednie podatki od dochodu?

To nie wydawało się aż tak skomplikowane. Kendall nie był przyzwyczajony do myślenia w ten sposób, nie tylko w aspekcie kryminalnym, ale także finansowym, ale gdy przełknął dyrektorskiego drinka, zrozumiał, jak to może zadziałać. Rozejrzał się po barze, po popijających, robiących interesy biznesmenach.

– Nie mówię o jakichś ogromnych pieniądzach – ciągnął Piasecki. – Wartość Jimmy’ego to mniej więcej osiemdziesiąt milionów. Myślę może o milionie, pół dla ciebie, pół dla mnie. Może, jeśli wszystko pójdzie gładko, po milionie na każdego. Potem to zamykamy, zacieramy ślady i przenosimy się na Bermudy.

Z ogniem i chciwością w oczach Piasecki powiedział:

– Jimmy co cztery miesiące zarabia na rynkach ponad milion. To dla niego nic.

– A co będzie, jeśli coś się nie powiedzie? Mam rodzinę.

– Myślisz, że ja nie mam? Myślę właśnie o rodzinie. Trudno byłoby powiedzieć, że w tym kraju panuje sprawiedliwość. Tu panuje niesprawiedliwość. Dlaczego taki inteligentny facet jak ty nie miałby dostać kawałeczka tortu? Boisz się?

– Tak – odparł Kendall.

– Jeśli to zrobimy, powinniśmy się bać. Troszeczkę. Ale powiedziałbym, że statystycznie rzecz biorąc, szanse na to, iż zostaniemy złapani, to jakiś jeden procent. Może mniej.

Dla Kendalla już sama ta rozmowa była ekscytująca. Wszystko w Coq d’Or, od tłustych przekąsek przez muzykę popularną z początków dwudziestego wieku po imitację napoleońskiego wystroju, sugerowało, że wciąż jest rok 1926. Kendall i Piasecki siedzieli pochyleni konspiracyjnie nad stolikiem, jak para gangsterów z dawnych czasów. Oglądali filmy o mafii, więc wiedzieli, jak się to robi. Przestępczość w niczym nie przypomina poezji, w której jedno następuje po drugim. Te same machinacje, do których dochodziło w Chicago osiemdziesiąt lat temu, trwały też obecnie.

– Mówię ci, moglibyśmy to zacząć i zakończyć w ciągu dwóch lat – mówił Piasecki. – Zrobić to zgrabnie i z łatwością, nie zostawiając żadnego śladu. Następnie inwestujemy pieniądze i wnosimy nasz wkład w PKB.

Czy poeta to nie gość, który żyje w świecie fantazji? Ktoś, kto marzy zamiast robić? A jak by to było zacząć coś robić? Skupić umysł na

namacalnym wszechświecie pieniądza zamiast na nieuchwytnej sferze słów?

Nigdy nie powiedziałaby o tym Stephanie. Powie jej, że dostał podwyżkę. Równocześnie pomyślał o czymś innym: remont kuchni nie był sygnałem ostrzegawczym. Mogliby wyremontować całe wnętrze, nie zwracając na siebie uwagi.

Oczami wyobraźni Kendall widział swój dom do remontu za rok czy dwa: zmodernizowany, ocieplony, przytulny, dzieci szczęśliwe, spłacony dług wdzięczności wobec żony za wszystko, co dla niego zrobiła.

Bogactwo krąży z niewyobrażalną szybkością...

W pełni cieszyć się z tego...

– Dobra, wchodzę w to – powiedział Kendall.

– Wchodzisz?

– Daj mi o tym pomyśleć.

Tyle na razie Piaseckiemu wystarczyło. Podniósł szklankę.

– Za Kena Laya – powiedział. – Mojego bohatera.

– Jaką działalność pan otwiera?

– To będzie magazyn.

– A pan jest?

– Prezesem. W zasadzie jednym z dwóch prezesów.

– Wraz z panem... – prawniczka, przysadzista kobieta ze strzechą włosów, przeglądała formularz rejestracji spółki – ...z panem Piaseckim.

– Zgadza się – odpowiedział Kendall.

Było sobotnie popołudnie. Kendall znajdował się w centrum Oak Park, w skromnej kancelarii adwokackiej przystrojonej dyplomami. Max był na dworze, na chodniku, i łapał jesienne liście, które wirowały, opadając na ziemię. Z wyciągniętymi rękami biegał tam i z powrotem.

– Sama skorzystałabym z magazynu – zażartowała prawniczka. – Sprzęt sportowy moich dzieci to prawdziwe wariactwo. Deski snowboardowe, deski surfingowe, rakietki tenisowe, kije do lacrosse’a. Ledwo mogę wjechać samochodem do garażu.

– Zajmujemy się magazynowaniem komercyjnym – powiedział Kendall. – Składowaniem. Dla korporacji. Przykro mi.

Nawet nie widział tego miejsca. Było gdzieś na odludziu, koło Kewanee. Piasecki pojechał tam i wydzierżawił ziemię. Nie było tam nic oprócz starej zarośniętej stacji Esso. Miało jednak legalny adres i wkrótce, jako Midwestern Storage, miało przynosić stały dochód.

Ponieważ wydawnictwo Wielki Eksperyment sprzedawało niewiele książek, miało bardzo duże stany magazynowe. Oprócz przechowywania ich w zwykłym używanym magazynie, w Schaumburgu, Kendall wkrótce zaczął wysyłać fikcyjną liczbę książek do placówki w Kewanee. Magazyn Midwestern obciążał Wielki Eksperyment za tę usługę, a Piasecki wysyłał firmowe czek. Zaraz po złożeniu formularzy założenia spółki Piasecki zamierzał otworzyć rachunek bankowy dla Midwestern Storage. Dysponentami konta byli: Michael J. Piasecki i Kendall Wallis.

Wszystko wyglądało bardzo elegancko. Kendall i Piasecki mieli być właścicielami legalnej firmy. Firma miała zarabiać legalnie, zgodnie z prawem płacąc podatki; obaj mieli dzielić zysk i na swoich zeznaniach podatkowych podawać go jako dochód z działalności gospodarczej. Kto miałby się dowiedzieć, że w magazynie nie ma żadnych książek, bo nie istnieje żaden magazyn?

– Mam tylko nadzieję, że stary nie kopnie w kalendarz – powiedział Piasecki. – Musimy modlić się o zdrowie Jimmy’ego.

Kiedy Kendall podpisał wymagane formularze, prawniczka powiedziała:

– W porządku, w poniedziałek złożę pańskie dokumenty. Gratuluję, od dziś jest pan dumnym właścicielem nowego przedsiębiorstwa w stanie Illinois.

Na dworze Max wciąż kręcił się pod spadającymi liśćmi.

– Ile złapałeś, kolego? – zapytał Kendall.

– Dwadzieścia dwa! – krzyknął Max.

Kendall spojrzał w niebo i obserwował liście, czerwone i złote liście, obracające się wokół własnej osi w drodze na ziemię. Schował trzymane pod pachą papiery.

– Jeszcze pięć i musimy wracać do domu – powiedział Kendall.

– Dziesięć!

– Dobra, dziesięć. Gotowy? Igrzyska olimpijskie w łapaniu liści czas zacząć!

W styczniu, w poniedziałkowy poranek rozpoczynający nowy tydzień, Kendall znów był w pociągu, czytając o Ameryce: „Istnieje jeden kraj na świecie, w którym wielka rewolucja społeczna, o której piszę, niemal osiągnęła swoje naturalne granice”. Kendall miał na sobie nową parę dwukolorowych półbutów ze skóry cordovan, kupionych w sklepie Allen Edmonds na Michigan Avenue. Pod każdym innym względem wyglądał tak jak zawsze, miał te same drelichowe spodnie, tę samą wytartą na łokciach sztruksową marynarkę. Nikt w pociągu nie domyśliłby się, że nie jest pocziwym molem książkowym, na jakiego wyglądał. Nikt nie wyobrażałby sobie, że Kendall może co tydzień wrzucać korespondencję do usytuowanej obok kupionego za gotówkę budynku skrzynki pocztowej (żeby odźwierni nie zauważyli wysyłanych na adres banku w Kewanee specjalnych kopert depozytowych). Widząc, jak Kendall notuje cyfry w gazecie, większość podróżujących zakładała, że rozwiązuje sudoku, a nie szacuje potencjalne zyski z pięcioletniego certyfikatu depozytowego. Strój redaktora okazał się dla Kendalla idealnym przebraniem. Był jak skradziony list Poego ukryty na widoku.

Kto powiedział, że nie był mądry?

Największy strach odczuwał w pierwszych kilku tygodniach. Kendall budził się o trzeciej nad ranem, z wrażeniem, że ma przypięty do pępka kabel do akumulatora. Co się stanie, jeśli Jimmy zauważy koszty drukowania, wysyłki i magazynowania fikcyjnych książek? A co, jeśli Piasecki po pijaku przyzna się do wszystkiego ładnej barmance, której brat okaże się akurat policjantem? Kendallowi kotłowały się w głowie myśli o potencjalnych niefortunnych wypadkach i niebezpieczeństwach. Jak mógł wpakować się w coś takiego, i to z kimś takim? W łóżku, obok śpiącej snem sprawiedliwego Stephanie, leżał bezsennie całymi godzinami, a głowę wypełniały mu wizje więzienia i tego, jak prowadzą go z założonymi kajdankami w blasku fleszy.

Po pewnym czasie było już łatwiej. Strach nie różnił się od innych emocji; przemożnie intensywny w początkowej fazie, powoli ustępował, aż stał się czymś codziennym, a potem ledwo zauważalnym. A do tego wszystko bardzo dobrze się ułożyło. Kendall wypisywał oddzielne czeki, jeden za książki, które faktycznie drukowali, a drugi za te, których istnienie wraz z Piaseckim pozorowali, a w piątek Piasecki wprowadzał te koszty i odliczał od tygodniowych dochodów.

– Wygląda to na spadek zysków – powiedział Kendallowi. – W rzeczywistości jednak pomagamy Jimmy’emu zaoszczędzić na podatkach. Powinien być nam wdzięczny.

– Może byśmy więc go w to wprowadzili? – zapytał Kendall.

Piasecki tylko się roześmiał.

– Nawet gdybyśmy to zrobili, on nic nie jarzy, więc i tak by o tym nie pamiętał.

Kendall trzymał się planu i się nie wychylał. Chociaż konto bankowe Midwestern Storage powoli rosło, na jego podjeździe wciąż stało to samo bite stare volvo. Schował pieniądze przed wścibskimi oczami. Widać je było tylko w środku. We wnętrzu. Co wieczór, wracając do domu, Kendall sprawdzał postępy prac wynajętych tynkarzy, stolarzy i instalatorów wykładzin dywanowych. Zajmował się także dodatkowymi wnętrzami: ogrodzonymi ogrodami funduszy oszczędnościowych (ogród Maksa, ogród Eleanor) i wewnętrznym sanktuarium indywidualnego konta emerytalnego.

W jego domu kryło się coś jeszcze – żona. Nazywała się Arabella. Pochodziła z Wenezueli i słabo mówiła po angielsku. Pierwszego dnia, w obliczu góry prania w głównej sypialni, nie przeżyła szoku i nie okazała przerażenia. Po prostu zataszczyła stertę po stercie do piwnicy, wszystko wyprała i poskładawszy pranie, włożyła je do szuflad. Kendall i Stephanie byli zachwyceni.

W wieżowcu nad jeziorem Kendall zajmował się czymś, czego nie robił od dłuższego czasu – wykonywał swoją pracę. Zakończył skracanie *O demokracji w Ameryce*. Wysłał kurierem oznaczony kolorami rękopis do Montecito, a następnego dnia zaczął pisać propozycje ponownego wydrukowania innych mało znanych książek. Codziennie przysyłał dwie lub trzy sugestie, wraz z cyfrowymi lub papierowymi egzemplarzami tekstów, o których mowa. Zamiast czekać na odpowiedź Jimmy’ego, Kendall raz po raz do niego dzwonił i zadręczał go pytaniami. Z początku Jimmy odbierał od niego telefony. Ale wkrótce zaczął narzekać, że są tak częste, i w końcu powiedział Kendallowi, żeby przestał zawracać mu głowę drobiazgami i sam się tym zajął.

– Ufam twojemu wyczuciu – powiedział Jimmy.

Już prawie nie dzwonił do biura.

Pociąg dowiózł Kendalla na Union Station. Wyszedłszy na Madison Street, wsiadł do taksówki (płacąc niewykrywalną gotówką) i poprosił

kierowcę, żeby wysadził go jedną przecznicę od kupionego za gotówkę budynku. Stamtąd powlókł się za róg, sprawiając wrażenie, jakby przyszedł pieszo. Przywitał się z Mikiem, dyżurnym portierem, i skierował do windy.

Apartament na ostatnim piętrze okazał się pusty. W pobliżu nie było nawet pokojówki. Z windy wysiadało się na dolnym piętrze i zmierzając korytarzem w kierunku prowadzących do jego biura spiralnych schodów, Kendall przechodził obok „pokoju jadeitów” Jimmy’ego. Spróbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte. Postanowił więc tam wejść.

Nie miał zamiaru niczego kraść. To byłoby głupie. Chciał tylko wejść, dorzucić ten niewinny akt niesubordynacji do znacznie poważniejszego aktu buntu w stylu Robin Hooda. „Pokój jadeitów” przypominał pomieszczenie w muzeum lub ekskluzywny sklep jubilerski, pokryte piękną stolarką ściany wypełniały wbudowane w nie półki i szuflady. Stojące w równomiernych odstępach oświetlone gabloty zawierały kawałki jadeitu. Kamień nie był ciemnozielony, jak spodziewał się Kendall, tylko jasnozielony. Kendall przypomniał sobie, jak Jimmy opowiadał mu, że najlepsze jadeity, te najrzadsze, są prawie białe i że najbardziej cenne okazy są wyrzeźbione z pojedynczych kawałków kamienia.

Trudno było rozpoznać tematy rzeźb w wijących się kształtach i na początku Kendall myślał, że przedstawione zwierzęta to żmije lub węże. Dopiero potem rozpoznał w nich łby koni. Długie, zwężające się, skulone końskie łby. Konie chowają łby w ciało, jakby pogrążone we śnie.

Otworzył jedną z szuflad. Wewnątrz, na aksamitnej poduszeczce, znajdował się kolejny koń.

Kendall go podniósł. Przesunął palcem wzdłuż grzywy. Pomyślał o rzemieślniku, który wymodelował ten przedmiot, o kimś w Chinach, żyjącym sześćset lat wcześniej, którego nazwiska już nikt nie znał i który umarł wraz z wszystkimi ludźmi żyjącymi w czasach dynastii Jin, ale który obserwując żywego, oddychającego konia w mglistym polu gdzieś w dolinie Żółtej Rzeki, ujrzał zwierzę w taki sposób, że udało mu się oddać jego kształt w tym cennym kamieniu, czyniąc go w ten sposób jeszcze cenniejszym. Ludzkie pragnienie zrobienia czegoś tak bezużytecznego, wymagającego wysiłku, kwalifikacji i wręcz szalonego zawsze ekscytowało Kendalla, dopóki nie przestało go ekscytować, ponieważ sam nie był zdolny do czegoś takiego. Nie potrafił wytrwać w niezbędnej determinacji

i pogodzić się ze wstydem zajmowania się takim rzemiosłem w kulturze, która nie tylko nie ceniła dyscypliny, ale otwarcie ją wyśmiewała.

A jednak rzeźbiarzowi w jadeicie się to udało. Nigdy się o tym nie dowie, ale ten blady, biały, senny koń, który żył dawno temu, jeszcze nie umarł, jeszcze nie, bo właśnie spoczywał tu, w dłoni Kendalla, delikatnie oświetlony przez żarówki halogenowe w jubilerskiej gablocie wielkości całego pokoju.

Kendall niemal z czcią odłożył koński łeb do wyściełanej aksamitem szuflady i ją zamknął. Potem wyszedł z „pokoju jadeitów” i udał się na górę do biura.

Podłoga zastawiona była skrzyniami transportowymi. Pierwsze wydanie *Kieszonkowej demokracji* właśnie wróciło z druku – z prawdziwej drukarni – a Kendall był w trakcie wysyłania egzemplarzy do hurtowni księgarskich i sklepów z pamiątkami w muzeach historycznych. Ledwo usiadł przy biurku i włączył komputer, gdy zadzwonił telefon.

– Hej, chłopcze. Właśnie dostałem nową książkę. – To był Jimmy. – Wygląda fantastycznie! Świetnie się spisałeś.

– Dziękuję.

– Jak z zamówieniami?

– Dowiemy się za kilka tygodni.

– Myślę, że cena jest odpowiednia. A format jest doskonały. Niech umieszczą je obok kasy i sprzedamy wszystkie te maluchy. Okładka wygląda wspaniale.

– Też tak myślę.

– A jak tam recenzje?

– Ta książka ma dwieście lat. Trudno tu mówić o nowości.

– To wiadomości, które zawsze pozostają na czasie, jak powiedział Pound. No dobra, reklamy – powiedział Jimmy. – Wyślij mi listę miejsc, które twoim zdaniem pomogą dotrzeć do naszych odbiorców. Tylko nie ten pieprzony „New York Review of Books”. Im nie trzeba już nic tłumaczyć. Chcę, żeby ta książka wypłynęła. To ważne!

– Daj mi chwilę na zastanowienie – powiedział Kendall.

– Co to ja jeszcze...? Aha! Zakładka! Świetny pomysł. Ludziom się to spodoba. Promuje książkę i naszą markę. Rozdajesz je w ramach artykułów promocyjnych czy tylko w książkach?

– I tu, i tu.

– Doskonale. A może by tak zrobić też jakieś plakaty? Każdy z innym cytatem z książki. Jestem pewien, że księgarnie wykorzystają je na wystawach. Zrób kilka projektów i wyślij mi, dobrze?

– Zrobi się – powiedział Kendall.

– Mam dobre przeczucia. Tym razem możemy sprzedać trochę książek.

– Mam nadzieję.

– Coś ci powiem – dodał Jimmy. – Jeśli ta książka będzie się sprzedawać tak, jak sądzę, załatwię ci ubezpieczenie zdrowotne.

Kendall zawahał się.

– Byłoby świetnie.

– Nie chcę cię stracić, chłopcze. A poza tym, jeśli mam być szczery, wcale nie jest łatwo znaleźć kogoś innego.

Ta hojność bynajmniej nie stanowiła podstawy, żeby zmienić zdanie na temat Jimmy’ego i mieć wyrzuty sumienia. Jimmy się nie spieszył, prawda? A obietnica została sformułowana w trybie warunkowym. Jeśli, a nie kiedy. Nie, pomyślał Kendall, po prostu trzeba poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Jeśli Jimmy da mi ubezpieczenie i przyzwoitą podwyżkę, to może pomyślę o zamknięciu magazynu Midwestern Storage. Ale wtedy i tylko wtedy.

– Och, jeszcze jedno – powiedział Jimmy. – Piasecki przysłał mi księgi rachunkowe. Liczby wyglądają dosyć dziwnie.

– Proszę?

– Po jakie licho drukujemy trzydzieści tysięcy egzemplarzy Thomasa Paine’a? I dlaczego korzystamy z dwóch drukarni?

Podczas przesłuchań w Kongresie lub w salach sądowych oskarżeni dyrektorzy generalni i dyrektorzy finansowi stosowali jedną z dwóch strategii: albo mówili, że nic nie wiedzą, albo nic nie pamiętali.

– Nie pamiętam, dlaczego wydrukowaliśmy trzydzieści tysięcy – odparł Kendall. – Będę musiał sprawdzić zamówienia. A jeśli chodzi o drukarnie, to zajmuje się tym Piasecki. Może ktoś zaoferował nam lepsze warunki.

– Nowa drukarnia liczy nam wyższe stawki.

Piasecki nie powiedział tego Kendallowi. Piasecki zrobił się chciwy, wywindował ceny i zachował to dla siebie.

– Posłuchaj – stwierdził Jimmy – wyślij mi dane kontaktowe do nowej drukarni. I do tego magazynu, gdziekolwiek to jest. Mój człowiek tam zajrzy.

Kendall pochylił się na krzesło.

– Co za człowiek?

– Mój księgowy. Myślisz, że pozwoliłbym Piaseckiemu działać bez nadzoru? Nie ma mowy! Wszystko, co robi, jest tu ponownie sprawdzane. Jeśli coś kombinuje, to się o tym dowiemy. Nie martw się. A wtedy ten Polaczek będzie po uszy w gównie.

Mózg Kendalla pracował na wysokich obrotach. Próbował wymyślić odpowiedź, która powstrzymałaby audyt lub go opóźniła, ale zanim zdążył się odezwać, Jimmy ciągnął dalej:

– Posłuchaj, chłopcze, w przyszłym tygodniu jadę do Londynu. Dom w Montecito będzie pusty. Może byś tu przyjechał z rodziną na długi weekend? Wyrwałbyś się z tego zimna.

– Będę musiał porozmawiać z żoną – bezbarwnym głosem odpowiedział Kendall. – I sprawdzić plan lekcji dzieciaków.

– Zabierz dzieci ze szkoły. Nic im się nie stanie.

– Porozmawiam z żoną.

– W każdym razie świetnie się sprawiłeś, chłopcze. Wyciągnąłeś z Tocqueville’a samo sedno. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy czytałem tę książkę. Musiałem mieć jakieś dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Po prostu zwała mnie z nóg.

Swym dźwięcznym, szorstkim głosem Jimmy zaczął recytować fragment *O demokracji w Ameryce*. Był to fragment, który Kendall wydrukował na zakładkach i z którego zaczerpnięta została nazwa małej oficyny wydawniczej.

– Na tej ziemi miał zostać przeprowadzony przez cywilizowanego człowieka wielki eksperyment polegający na próbie zbudowania społeczeństwa na nowych podstawach – czytał Jimmy – i to tam po raz pierwszy dotąd nieznane lub uważane za nierealne teorie miały posłużyć do stworzenia spektaklu, na jaki świat nie był przygotowany przez swoją historię.

Kendall patrzył przez okno na jezioro. Ciągnęło się bez końca. Ale zamiast w tym widoku znaleźć ulgę i wolność, miał wrażenie, jakby jezioro, te wszystkie tony zimnej, prawie zamarzającej wody, powoli go spowijało.

– Ależ mnie to, kurwa, bawi – powiedział Jimmy. – Za każdym razem.

Nowy dowód

Kiedy Matthew dowiedział się, że zarzuty zostały wycofane – nie będzie ekstradycji ani procesu – od trzech miesięcy mieszkał z powrotem w Anglii. Ruth i Jim kupili dom w Dorset, blisko morza. Jest znacznie mniejszy od domu, w którym dorastali Matthew i jego siostra, kiedy Ruth poślubiła ich ojca. Ale pełno w nim rzeczy, które Matthew pamięta ze swego dzieciństwa w Londynie. Kiedy wchodzi w nocy po schodach do pokoju gościnnego lub wychodzi bocznymi drzwiami, wybierając się do pubu, w oczy rzucają mu się znajome przedmioty: rzeźbiona figurka alpejskiego turysty w bawarskich krótkich spodenkach, kupiona w 1977 roku podczas rodzinnej wycieczki do Szwajcarii, czy te szklane podpórki na książki, które kiedyś stały w biurze taty, masywne przezroczyste klocki, a w każdym z nich złote jabłko, które widziane oczami dziecka zdawało się unosić w magiczny sposób. Teraz są w kuchni, podtrzymują książki kucharskie Ruth.

Boczne drzwi wychodzą na brukowaną uliczkę, która wije się za sąsiednimi domami, obok kościoła i cmentarza, do centrum miejscowości. Pub znajduje się naprzeciwko apteki i sklepu H&M. Matthew jest teraz częstym gościem tego lokalu. Inni bywalcy czasami pytają, dlaczego wrócił do Anglii, ale powody, które podaje – kłopoty z wizą biznesową i problemy podatkowe – zdają się zaspokajać ich ciekawość. Obawia się, że coś na temat tej sprawy pojawi się w internecie, ale jak na razie jest spokój. Miasto leży niedaleko kanału La Manche, prawie dwieście kilometrów od Londynu. W pobliskim kościele PJ Harvey nagrała *Let England Shake*. Matthew słucha tego albumu przez słuchawki, chodząc po wrzosowiskach, albo jeździ załatwiać sprawunki, jeśli udaje mu się uruchomić połączenie bluetooth w samochodzie Ruth. Teksty piosenek, nawiązujące do dawnych bitew, angielskich zmarłych i mrocznych miejsc świętej pamięci, witają go z powrotem w domu.

Od czasu do czasu, jadąc przez wioskę, Matthew kątem oka dostrzega jakiś błysk. Jasne blond włosy dziewczyny. Albo grupkę studentek palących papierosy obok szkoły pielęgniarstwa. Czuje się jak przestępca, mimo że tylko patrzy.

Pewnego popołudnia jedzie nad morze. Po zaparkowaniu samochodu idzie na spacer. Chmury wiszą nisko na niebie, jak zawsze. Jakby po odbyciu podróży przez ocean były zaskoczone widokiem ziemi pod sobą i nie zdążyły się cofnąć na stosowną odległość.

Idzie szlakiem, dopóki nie dojdzie do urwiska. I wtedy, kiedy patrzy przez ocean na zachód, z ogromną siłą dociera do niego prawda.

Teraz może wrócić. Może zobaczyć swoje dzieci. Może bezpiecznie wrócić do Ameryki.

Jedenaście miesięcy temu, na początku roku, Matthew został zaproszony do wygłoszenia wykładu w niewielkim college'u w Delaware. W poniedziałek rano pojechał pociągiem z Nowego Jorku, gdzie mieszkał z amerykańską żoną, Tracy, i dwojgiem ich dzieci, Jacobem i Hazel. O trzeciej po południu siedział w kawiarni naprzeciwko hotelu, czekając, aż ktoś z Wydziału Fizyki przyjdzie po niego i zaprowadzi do auli.

Wybrał stolik przy oknie od ulicy, żeby być widocznym. Pijąc espresso, przeglądał w komputerze notatki z wykładu, ale wkrótce oderwał się od tego, odpowiadając na e-mail, a potem czytając w sieci „Guardiana”. Dokończył kawę i zastanawiał się, czy nie zamówić następnej, kiedy usłyszał jakiś głos.

– Profesorze?

Kilka kroków od niego stała ciemnowłosa dziewczyna w workowatej bluzie i z plecakiem na ramieniu. Kiedy tylko Matthew spojrzał na nią, podniosła ręce w geście kapitulacji.

– Nie prześladowę pana – powiedziała. – Naprawdę.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Pan Matthew Wilks, tak? Wybieram się dziś na pański wykład!

Oświadczyła to tak, jakby Matthew oczekiwał odpowiedzi na zadane pytanie. Ale zaraz potem, zdając sobie sprawę, że powinna się wytłumaczyć, opuściła ręce i powiedziała:

– Idę na wykład. Jestem studentką. – Wypięła pierś, prezentując emblemat college'u na bluzie.

Matthew nie należał do ludzi powszechnie rozpoznawanych. Jeśli coś takiego mu się zdarzało, rozpoznawali go tylko koledzy z pracy – inni

kosmolodzy – i studenci. Czasami jakiś czytelnik, człowiek w średnim wieku lub starszy. Nigdy ktoś taki.

Dziewczyna wyglądała na Amerykankę o indyjskich korzeniach. Mówiła i była ubrana jak typowa amerykańska dziewczyna w jej wieku, a mimo to jej strój, nie tylko bluza, ale i czarne legginsy, buty Timberland i fioletowe skarpety turystyczne, a także otaczająca ją aura studenckiego braku higieny we wspólnotowej egzystencji akademika, nie powstrzymały Matthew, oczarowanego jej niebywałą twarzą, przed tym, by zaczął się zastanawiać nad jej dalekim genetycznym pochodzeniem. Dziewczyna przypomniła mu postać z hinduskiej miniatury. Jej ciemne wargi, jej wygięty w łuk nos z rozdętymi nozdrzami, a przede wszystkim zdumiewające oczy w kolorze, jaki mógł istnieć jedynie na obrazie, tylko artysta bowiem mógł dowolnie mieszać zieleń, niebieski i żółć, sprawiały, że dziewczyna bardziej wyglądała na tańczącą pasterkę gopi lub święte dziecko czczone przez masy niż studentkę college’u w Delaware.

– Jeśli idzie pani na mój wykład – udało się powiedzieć Matthew, pochłoniętemu przetwarzaniem tych wrażeń – to rozumiem, że pani przedmiotem kierunkowym jest fizyka.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Jestem studentką pierwszego roku. Dopiero w przyszłym roku musimy się zadeklarować. – Zsunęła plecak i położyła go, jakby się zadomowiała. – Moi rodzice chcą, żebym osiągnęła coś w nauce. A mnie interesuje fizyka. W liceum chodziłam na zajęcia z fizyki na poziomie uniwersyteckim. Ale myślę też o studiowaniu prawa, co byłoby bliższe naukom humanistycznym. Może mi pan coś poradzi?

Czuł się niezręcznie, siedząc, kiedy dziewczyna stała. Ale gdyby zaoferował jej, żeby zajęła miejsce, byłoby to zaproszenie do dłuższej rozmowy, a Matthew nie miał na to ani czasu, ani ochoty.

– Mogę poradzić tylko, żeby studiowała pani to, co panią interesuje. Ma pani jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji.

– A pan właśnie tak zrobił, prawda? W Oksfordzie? Zaczął pan studiować filozofię, ale potem zmienił kierunek na fizykę.

– Zgadza się.

– Bardzo chciałabym usłyszeć, jak łączy pan wszystkie swoje zainteresowania – powiedziała dziewczyna. – Bo właśnie to chcę zrobić. Chodzi o to, że pan tak pięknie pisze! Kiedy pan wyjaśnia Wielki Wybuch

czy inflację kosmologiczną, mam wrażenie, że niemal widzę, jak do tego dochodzi. Dużo miał pan na studiach zajęć z literatury?

– Tak, trochę.

– Jestem wręcz fanatyczką pańskiego bloga. Nie mogłam uwierzyć, kiedy usłyszałam, że odwiedzi pan nasz kampus! – Dziewczyna przerwała, wpatrując się w niego i uśmiechając się. – Może wybralibyśmy się na kawę podczas pana pobytu tutaj, panie profesorze?

Propozycja była dosyć śmiała, ale Matthew nie poczuł się nią bardzo zaskoczony. W każdej klasie, w której uczył, trafiał się co najmniej jeden bezczelny dzieciak. Młodzi ludzie, którzy już od przedszkola budowali swoje CV. Chcieli umówić się na kawę lub przyjść do jego gabinetu w godzinach konsultacji, nawiązywać kontakt w sieci, mając nadzieję, że w przyszłości załatwią sobie rekomendację lub staż, albo po prostu pragnąc na kilka minut znaleźć wytchnienie od niepokoju towarzyszącego zestresowanym, chorobliwie ambitnym ludziom, jakich zrobił z nich świat. Doskonale rozpoznawał przejęcie, z jakim mówiła dziewczyna, jej graniczący z nerwowością kipiący entuzjazm.

Matthew był w delegacji z dala od domu i miał trochę wolnego czasu do dyspozycji. Nie zamierzał spędzać go, pełniąc rolę licencjackiego promotora.

– Zorganizowano mi tu mnóstwo obowiązków podczas pobytu – powiedział. – Mam napięty harmonogram.

– Jak długo pan tu zostanie?

– Tylko do jutra.

– Rozumiem. Przynajmniej przyjdę na pana wykład.

– Dobrze.

– Chciałam też przyjść juro rano na spotkanie z panem, ale mam zajęcia – dodała dziewczyna.

– Nic pani nie straci. Zazwyczaj tylko się powtarzam.

– Jestem pewna, że to nieprawda – stwierdziła dziewczyna. Podniosła plecak. Wyglądało, że zamierza odejść, ale nagle powiedziała: – Może trzeba panu pokazać drogę do auli? Sama jeszcze trochę się tu gubię, ale myślę, że ją znajdę. Oczywiście ja też tam idę.

– Wysyłają kogoś, kto ma mnie zaprowadzić.

– Rozumiem. Teraz myśli pan, że rzeczywiście pana prześladowę. Miło było pana poznać, profesorze.

– Mnie też było miło panią poznać.

Dziewczyna jednak nie odchodziła. Wciąż patrzyła na Matthew tym niesamowitym wzrokiem, pełnym przejęcia, a zarazem nieobecny. I właśnie w tej swojej nieobecności, jakby przekazując wiadomość z innej krainy, dziewczyna nagle dodała:

– W rzeczywistości wygląda pan lepiej niż na zdjęciach.

– Nie jestem pewien, czy to komplement.

– To stwierdzenie faktu.

– Nie jestem pewien, czy się z tego cieszyć. Biorąc pod uwagę internet, więcej osób prawdopodobnie ogląda moje zdjęcia niż mnie na żywo.

– Nie powiedziałam, że pan źle wygląda na zdjęciach, profesorze – odparła dziewczyna. I jakby okazując, że poczuła się nieco zraniona albo mimo wszystko lekko rozczarowana tą rozmową, dziewczyna zarzuciła plecak na ramię i odeszła.

Matthew wrócił do swojego laptopa. Wpatrywał się w ekran. Dopiero gdy dziewczyna opuściła kawiarnię i minęła frontowe okno, podniósł wzrok, żeby uważnie się przyjrzeć, jak wygląda z tyłu.

To było niesprawiedliwe.

Chociaż jedna trzecia uczniów w jej szkole pochodziła z Indii, Diwali nie było oficjalnym świętem. Mieli wolne na święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc, a także na Rosz Haszana i Jom Kippur, ale kiedy nadchodziły święta hinduistyczne lub muzułmańskie, były tylko „usprawiedliwienia”. To oznaczało, że nauczyciele zwalniali cię z zajęć, ale wciąż należało odrabiać prace domowe. A to z kolei oznaczało, że trzeba było znać cały materiał, który tego dnia przerobiono.

Prakrti miała opuścić cztery dni. Prawie cały tydzień, i to w najgorszym możliwym czasie, tuż przed egzaminami z matematyki i historii, w trakcie kluczowej trzeciej klasy liceum. Myśl o tym napędzała ją paniką.

Poprosiła rodziców, żeby odwołali podróż. Nie rozumiała, dlaczego nie mogą obchodzić świąt w domu, tak jak wszyscy znajomi. Matka Prakrti wyjaśniła, że tęskni za rodziną, siostrą Deeper i braćmi, Pratulem i Amitavą. Jej rodzice – dziadkowie Prakrti i Durvy – też się starzeją. A czy Prakrti nie chce zobaczyć Dadi i Dadu, zanim odejdą z tego świata?

Prakrti nic na to nie odpowiedziała. Nie знаła dziadków zbyt dobrze; widziała ich tylko podczas sporadycznych odwiedzin w tym tak obcym dla niej kraju. To nie była wina Prakrti, że dziadkowie wydawali się jej dziwni i wychudzeni, a jednak wiedziała, że mówienie o tym głośno postawiłoby ją w złym świetle.

– Po prostu mnie tu zostaw – powiedziała. – Poradzę sobie.

To też nie pomogło.

W poniedziałek wieczorem na początku listopada wylecieli z lotniska międzynarodowego w Filadelfii. Siedząca obok młodszej siostry z tyłu samolotu Prakrti włączyła górne światło. Zamierzała podczas lotu przeczytać *Szkarłatną literę* i w drodze powrotnej napisać esej na temat tej książki. Ale nie mogła się skoncentrować. Symbolika Hawthorne’a była tak duszna, jak powietrze obiegowe w kabinie; i chociaż Prakrti współczuła Hester Prynne, ukaranej za coś, co obecnie robili wszyscy, skwapliwie skorzystała z okazji, kiedy tylko stewardesa podała obiad, i rozłożywszy stolik, obejrzała przy jedzeniu film.

Kiedy przybyli do Kalkuty, czuła się zbyt zmęczona długą podróżą i zmianą stref czasowych, żeby odrabiać zadania domowe. A także zbyt zajęta. Ciocia Deepa nalegała, żeby nie szły spać, i od razu zabrała Prakrti, Durwę, ich matkę i kuzynkę Smitę na zakupy. Udały się do wytwornego nowego domu towarowego po sztucce, srebrne widelce, noże i łyżki do nakładania potraw; a dla dziewcząt po złote i srebrne bransoletki. Potem przeszły przez zadaszony targ, rodzaj bazaru z rzędami straganów, żeby kupić ryż i cynobrowy proszek. Po powrocie zaczęły dekorować mieszkanie na święto. Prakrti, Durva i Smita miały zrobić ślady Lakszmi. Trzy dziewczyny stanęły boso na ułożonej przed drzwiami wejściowymi tacy z wilgotnym proszkiem. Wyszły z niej ostrożnie i zrobiły ścieżkę prowadzącą do wnętrza domu. Stworzyły dwie pary odcisków stóp, jedną w kolorze czerwonym, a drugą w bieli; ponieważ Lakszmi miała przynosić dobrobyt, nie pominęły żadnego pomieszczenia, odciskając ślady stóp w kuchni, w salonie, a nawet w łazience.

Kuzyn Rajiv, rok starszy od Prakrti, miał w swoim pokoju dwie konsole Xbox. Przez resztę popołudnia grała z nim w strzelankę *Titanfall*, w trybie wieloosobowym. Internet w mieszkaniu był superszybki i się nie zrywał. Podczas poprzednich podróży do Indii Prakrti współczuła kuzynom, że muszą korzystać z przestarzałego sprzętu komputerowego, ale teraz

zarówno oni, jak i sama Kalkuta zostawili ją w tyle. Miasto miejscami wyglądało niemal futurystycznie, szczególnie w porównaniu ze starym, biednym Dover, z tymi jego sklepowymi witrynami w czerwonej cegle, pochylonymi słupami telefonicznymi i wyboistymi drogami.

Prakrti i Durva spakowały na podróż sari do plastikowych worków z pralni chemicznej, żeby się nie pogniosły. Tego wieczoru założyły te swoje stroje, przygotowując się na Dhanteras, pierwszy dzień święta Diwali. Wsunęły nowe bransoletki na ramiona i stanęły przed lustrem, podziwiając, jak odbijają światło.

Zaraz po zapadnięciu zmroku rodzina zapaliła oliwne lampki dija i rozłożyła je po całym mieszkaniu – na parapetach, niskich stolikach, pośrodku stołu w jadalni i na głośnikach stereo wuja. Muzyka płynęła z czarnych kolumn, a zgromadzona wokół stołu jadalnego rodzina ucztowała i śpiewała religijne pieśni bhajan.

Przez całą noc przybywali krewni. Prakrti rozpoznawała niektórych, ale większości zupełnie nie знаła, chociaż oni wiedzieli o niej wszystko: że była najlepszą uczennicą, należała do klubu dyskusyjnego, a nawet, że planowała w przyszłym roku składać w trybie przyspieszonym papiery na Uniwersytet Chicagowski. Zgadzała się z jej matką, że Chicago jest zbyt daleko od Delaware i że jest tam zbyt zimno. Czy naprawdę chciała być tak daleko? Czy nie zamarzenie?

Grupa starych kobiet, siwowłosych i bardzo głośnych, również chciała się nią nacieszyć. Gromadziły się wokół niej, wszystkie z obwisłymi piersiami i brzuskami, i wykrzykiwały pytania w bengali. Ilekroć Prakrti czegoś nie rozumiała, czyli prawie przez cały czas, krzyczały głośniejsze, aż w końcu się poddawały i kręciły głowami, rozbawione i zbulwersowane jej amerykańską ignorancją.

Około północy Prakrti dopadło zmęczenie po długiej podróży. Zasnęła na kanapie. Kiedy się obudziła, ujrzała nad sobą trzy starsze kobiety, które dzieliły się uwagami na jej temat.

– To takie odrażające – stwierdziła Durva, kiedy Prakrti jej o tym opowiedziała.

– Chyba wiem, nie?

Następne kilka dni to było prawdziwe wariactwo. Chodzili do świątyni, odwiedzali rodziny wujków, wymieniali się prezentami i opychali. Niektórzy krewni przestrzegali wszystkich zwyczajów i rytuałów, inni tylko

kilku, a jeszcze inni traktowali ten tydzień jak jedną długą imprezę i wakacje. W noc Diwali zeszli nad wodę na odbywające się tam uroczystości. Przepływająca przez Kalkutę rzeka, Hugli, która za dnia była brązowa i mulista, teraz, pod rozgwieżdżonym niebem, zmieniała się w czarne i błyszczące lustro. Wzdłuż jej brzegu stały tysiące ludzi. Chociaż była ich cała chmara, nie przepychali się, kiedy podchodzili do skraju wody, żeby puścić tratwy z kwiatów. Tłum poruszał się jak jeden organizm, wszelki ruch w jedną stronę od razy równoważyło cofnięcie się z przeciwnej. Ta jedność była imponująca. Na dodatek ojciec Prakrti wyjaśnił jej, że wszystko, co trafia do wody – liście palmowe, kwiaty, nawet wykonane z wosku pszczelego świece – rozpadnie się do jutra rana, cały płonący rytuał zniknie bez śladu.

Te błyskotliwe bzdury otaczające święto – Lakszmi, bogini dobrobytu, złote i srebrne błyskotki, lśniące noże, widelce i łyżki do podawania potraw – sprowadzały się bez wyjątku do jednego: do światła i jego krótkotrwałości. Żyłeś, płonałeś, jarzyłeś się wątłym światłem, a potem – bach – twoja dusza wkraczała w inne ciało. Matka w to wierzyła. Ojciec miał wątpliwości, a Prakrti wiedziała, że to nieprawda. Nie zamierzała umierać jeszcze przez długi czas. Najpierw chciała zrobić coś ze swoim życiem. Objęła ramieniem młodszą siostrę i razem obserwowały, jak ich świece wypływają, aż stały się nierozróżnialne w morzu płomieni.

Gdyby wyjechali w weekend, tak jak planowali, ten pobyt byłby do zniesienia. Ale po Bhai Dooj, ostatnim dniu festiwalu, matka Prakrti oświadczyła, że zmieniła bilety i zostaną dzień dłużej.

Prakrti była tak wściekła, że tej nocy nie mogła zasnąć. Następnego ranka przyszła na śniadanie w dresie i podkoszulku, z rozczochranymi włosami i w ponurym nastroju.

– Nie możesz dzisiaj być tak ubrana, Prakrti – powiedziała matka. – Wychodzimy. Załóż sari.

– Nie.

– Co?

– Wszystko jest przepocone. Zakładałam to już trzy razy. Moja choli śmierdzi.

– Idź i to włóż.

– Dlaczego ja? A co z Durwą?

– Twoja siostra jest młodsza. Ona może być ubrana w salwar kamiz.

Kiedy Prakrti pojawiła się w sari, matka wciąż była niezadowolona. Zabrała ją z powrotem do sypialni, żeby sama owinąć ją w materiał. Następnie obejrzała paznokcie Prakrti i wyskubała jej brwi. W końcu – to była nowość – nałożyła proszek antymonowy wokół oczu Prakrti.

– Możesz tego nie robić? – zapytała Prakrti, odsuwając się.

Matka chwyciła twarz Prakrti w obie dłonie.

– Nie ruszaj się.

Samochód czekał przed domem. Jechali ponad godzinę za miasto i zatrzymali się przed kompleksem mieszkaniowym otoczonym przez mur, który zwieńczony był drutem kolczastym.

Portier poprowadził ich przez podwórze do domu. Przeszli przez wyłożone kafelkami wejście, schodami w górę, do dużego pokoju z rozmieszczonymi z trzech stron wysokimi oknami i wyposażonymi w wiklinowe łopatki wentylatorami na suficie. Mimo upału wentylatory nie były włączone. Pokój umeblowano nad wyraz skromnie, z wyjątkiem jednego kąta, gdzie na macie siedział po turecku siwowłosa mężczyzna w marynarce à la Nehru. Taki człowiek, jakiego można spodziewać się w Indiach. Guru. Albo polityk.

Naprzeciw niego para w średnim wieku zajmowała małą sofę. Kiedy Prakrti i jej rodzina weszli do pokoju, poruszyli głowami na powitanie.

Jej rodzice usiedli naprzeciwko tej pary. Durva zajęła krzesło tuż za nimi. Prakrti poprowadzono na ławkę lub platformę – nie wiedziała, jak to nazwać – w pewnej odległości od nich wszystkich. Ławka była wykonana z drzewa sandałowego inkrustowanego kością słoniową. Wyglądała dość uroczyście. Kiedy Prakrti usiadła, poczuła swój zapach – upał spowodował, że zaczęła się pocić. Uznała, że nie będzie się tym przejmować. Miała nawet ochotę zaaplikować swój zapach tym wszystkim ludziom i zawstydzić w ten sposób matkę – ale oczywiście nie mogła. Sama była zbyt zażenowana. Siedziała więc tak nieruchomo, jak to tylko możliwe.

Podczas rozmowy, która się wywiązała, Prakrti słyszała swoje imię. Ani razu jednak nie zwrócono się bezpośrednio do niej.

Podano herbatę. Indyjskie słodczyce. Po tygodniu Prakrti miała ich już dość. Ale zjadła, nie chcąc być nieuprzejma.

Brakowało jej telefonu. Chciała napisać do Kylie, swojej przyjaciółki, i opisać tortury, jakim była poddawana. Minuty na twardej ławce mijały, służący przychodzili i odchodzili, a przez korytarz przechodzili jacyś inni

ludzie i zaglądali do środka. Wyglądało to tak, jakby w domu znajdowały się dziesiątki osób. Ciekawych. Wścibskich.

Kiedy to się wreszcie skończyło, Prakrti postanowiła nie odzywać się do nikogo. Wróciła do samochodu, zdecydowana nie otwierać ust do rodziców, dopóki nie wrócą do domu. Dlatego też to Durva zadała pytanie:

– Kim są ci ludzie?

– Mówiłam ci – powiedziała matka Prakrti. – To Kumarowie.

– Czy to jacyś nasi krewni?

Matka roześmiała się.

– Może kiedyś. – Wyrzała przez okno, a twarz rozświetliła jej gwałtowna satysfakcja. – Są rodzicami chłopca, który chce poślubić twoją siostrę.

Zgodnie z ustaleniami Matthew mówił przez czterdzieści pięć minut. Tego dnia tematem jego wykładu były fale grawitacyjne, w szczególności ich niedawne wykrycie przez bliźniacze interferometry zlokalizowane w dwóch różnych miejscach w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. Przechadzając się po scenie w granatowej marynarce i dżinsach, z założonym mikrofonem bezprzewodowym, Matthew wyjaśniał, że Einstein prawie sto lat temu stworzył teorię zakładającą istnienie tych fal, ale udowodniono to dopiero w tym roku. Aby uatrakcyjnić prezentację, Matthew przygotował cyfrową symulację dwóch czarnych dziur, których połączenie w galaktyce odległej o 1,3 miliarda lat świetlnych wytworzyło fale, przebiegające następnie niezauważenie i cicho przez wszechświat i zarejestrowane w zaprojektowanych wyłącznie w tym celu wyjątkowo czułych urządzeniach w Livingston, w stanie Luizjana, i w Hanford, w stanie Waszyngton.

– Są wrażliwe jak ucho Boga – opisywał je Matthew. – A w rzeczywistości o wiele wrażliwsze.

Aula nie była wypełniona nawet w połowie. Równie przygnębiające było to, że publiczność w większości składała się z osób po siedemdziesiątce lub osiemdziesiątce, tutejszych emerytów, którzy przychodzili na wykłady w college'u, ponieważ były otwarte dla publiczności i odbywały się o rozsądnej porze, a ponadto dawały im temat do rozmowy po kolacji.

Przy podpisywaniu książek osoby pozostałe w auli energicznie napierały na Matthew, który siedział za stołem, uzbrojony w pisak i kieliszek wina. Wiele z nich miało beżowe torby na zakupy, kobiety ubrane były w jasne chusty i luźne swetry nie do zdarcia, mężczyźni w bezkształtne drelichowe spodnie, a wszyscy wręcz emanowali wyczekiwaniem i cierpliwością. Na podstawie tego, co mówili, trudno byłoby stwierdzić, czy czytali jego książkę albo czy zrozumieli jej naukowe podstawy, ale zdecydowanie chcieli, żeby opatrzył ich egzemplarze swoim nazwiskiem. Prawie wszyscy byli gotowi uśmiechnąć się i powiedzieć: „Dziękuję, że pan przyjechał do Dover!”, jakby zrobił to za darmo. Niektórzy mężczyźni powtarzali w kółko to, co zapamiętali z fizyki w liceum lub w college’u, i próbowali w jakiś sposób odnieść to do wystąpienia Matthew.

Przed Matthew zatrzymała się kobieta z równo obciętą siwą grzywką i czerwonymi policzkami. Powiedziała, że niedawno była w Anglii, żeby zbadać swoje drzewo genealogiczne, i zdała mu obszerną relację z poszukiwań nagrobków na anglikańskich przykościelnych cmentarzach w Kent, jakby ta informacja miała go osobiście zainteresować. Kiedy sobie poszła, pojawiła się dziewczyna z kawiarni.

– Nie mam nic do podpisania – powiedziała niewinnie.

– W porządku. To nie jest obowiązek.

– Nie stać mnie na książkę! College jest taki drogi!

Nieco ponad godzinę temu dziewczyna wydała się Matthew dosyć męcząca. Ale teraz, wycieńczony procesją starych, wynędzniałych twarzy, spojrzał na nią z ulgą i wdzięcznością. Zdjęła workowatą bluzę i miała teraz na sobie obnażającą jej ramiona białą koszulkę.

– Przynajmniej napij się wina – powiedział Matthew. – Jest darmowe.

– Jeszcze nie skończyłam dwudziestu jeden lat. Mam dziewiętnaście. Dwadzieścia będę miała w maju.

– Nie wydaje mi się, żeby to komuś przeszkadzało.

– Zachęca mnie pan do alkoholu, profesorze? – zapytała dziewczyna.

Matthew poczuł, że się rumieni. Próbował wymyślić coś, co mogłoby zmienić to wrażenie, ale ponieważ to, co powiedziała dziewczyna, nie odbiegało zbyt od prawdy, nic mu nie przyszło do głowy.

Na szczęście rozgorączkowana i podekscytowana dziewczyna ciągnęła dalej.

– Wiem! – odezwała się, a jej oczy się rozszerzyły. – Czy może mi się pan podpisać na kartce? W ten sposób będę mogła wkleić ją do pańskiej książki.

– Jeśli kiedykolwiek ją kupisz.

– Zgadza się. Najpierw muszę skończyć studia i spłacić kredyty.

Już zdążyła zrzucić plecak na stół. Ten ruch spowodował, że Matthew poczuł jej woń, lekki, czysty zapach, coś w rodzaju talku.

Za jej plecami wciąż stało jakieś dziesięć osób. Nie sprawiali wrażenia zniecierpliwionych, ale niektórzy zaczęli się przyglądać, zaciekawieni, co wstrzymuje kolejkę.

Dziewczyna wyciągnęła mały kołnotatnik. Otworzywszy go, zaczęła szukać pustej strony. Kiedy to robiła, czarne włosy opadły jej na twarz, odgradzając ich zasłoną od ludzi w kolejce. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Wydawało mu się, że dziewczyna zadrżała. Przeszyło ją jakieś delikatne czy też dręczące uczucie. Podniosła wzrok na Matthew i jakby poddając się nieodpartemu pragnieniu, powiedziała zduszonym, uszczęśliwionym głosem:

– O Boże! A może po prostu podpisałby mi się pan na ciele?

Ta propozycja była tak nieoczekiwana, tak absurdalna i brzmiała tak miło, że Matthew na moment oniemiał. Zerknął na najbliższych ludzi w kolejce, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie słyszy.

– Chyba lepiej będzie, jak zostaniemy przy notatniku – powiedział.

Podawała mu go. Rozkładając notatnik płasko na stole, Matthew zapytał:

– Co mam napisać?

– Dla Prakrti. Mam przeliterować?

Ale już pisał.

– Dla Prakrti. Pierwszorocznej osóbk.

To ją rozśmieszyło. Następnie, jakby składając najbardziej niewinną prośbę na świecie, zapytała:

– Czy może pan zapisać mi też numer swojej komórki?

Matthew nawet nie śmiał podnieść wzroku. Twarz mu płonęła. Rozpaczliwie pragnął, żeby ta chwila się skończyła, a jednocześnie był zachwycony tym spotkaniem. Zapisał swój numer telefonu.

– Dziękuję za przybycie – powiedział, odsuwając notatnik, i odwrócił się do kolejnej osoby.

Chłopak nazywał się Dev. Dev Kumar. Miał dwadzieścia lat, pracował w sklepie, w którym sprzedawano telewizory i sprzęt wideo, a do tego chodził do szkoły wieczorowej, żeby zrobić dyplom na studiach informatycznych. Matka Prakrti powiedziała jej to wszystko w samolocie do USA.

Pomysł, że mogłaby poślubić tę nieznaną osobę – albo w ogóle kogokolwiek, jeśli o tym mowa, czy to teraz, czy w odległej przyszłości – był zbyt nedorzeczny, żeby Prakrti mogła traktować go poważnie.

– Mamo, czy ty słyszysz, co mówisz? Mam dopiero szesnaście lat.

– Ja miałam siedemnaście, gdy zaręczyłam się z twoim ojcem.

Tak, i zobacz, jak to się skończyło, pomyślała Prakrti. Ale nic nie powiedziała. Dyskusja na ten temat sprawiłaby jedynie, że pomysł zyskałby poważniejsze znaczenie, a ona chciała tylko, żeby już do niego nie wracać. Matka miała skłonność do popuszczania wodzy fantazji. Zawsze marzyła o powrocie do Indii po przejściu ojca Prakrti na emeryturę. Wyobrażała sobie, że pewnego dnia Prakrti znajdzie tam pracę, w Bengaluru lub w Mumbaju, że poślubi hinduskiego chłopca i kupi na tyle duży dom, żeby mogli w nim zamieszkać również jej rodzice. Dev Kumar był po prostu najnowszą wersją tej fantazji.

Prakrti założyła słuchawki, żeby odciąć się od matki. Resztę lotu spędziła na pisaniu eseju poświęconego *Szkarłatnej literze*.

Tak jak na to liczyła, po powrocie do domu koszmarny scenariusz wyparował. Matka kilka razy wspomniała o Devie, mówiąc o nim w zawczasu przygotowany, mający go reklamować sposób, ale potem dała sobie z tym spokój. Po powrocie do pracy ojciec najwyraźniej zupełnie zapomniał o Kumarach. A sama Prakrti ponownie zanurzyła się w zajęciach szkolnych. Co wieczór uczyła się do późna, podróżowała z klubem dyskusyjnym, a w sobotnie poranki chodziła na prowadzone w jej szkole zajęcia przygotowawcze do egzaminu decydującego o przyjęciu na studia.

W którąś grudniową sobotę czy niedzielę była w swoim pokoju i rozmawiała z Kylie za pomocą aplikacji FaceTime, równocześnie odrabiając pracę domową. Prakrti trzymała telefon przy sobie w łóżku, a głos Kylie dobiegał z głośnika.

– W każdym razie – powiedziała Kylie – przyszedł do mojego domu i zostawił na werandzie cały bukiet kwiatów.

– Ziad?

– Tak. Zostawił je tam. Zachował się jak dziecko w sklepie spożywczym. Było ich mnóstwo. A potem moja mama, tata i mój młodszy brat wrócili do domu i je znaleźli. Ale żenada. Zaczekaj. Właśnie coś do mnie napisał.

Czekając, aż Kylie przeczyta wiadomość, Prakrti powiedziała:

– Powinnaś z nim zerwać. Jest niedojrzały, robi błędy ortograficzne i, przykro mi to mówić, jest taki wielki.

Kiedy chwilę później jej telefon zabrzączał, Prakrti pomyślała, że Kylie przesłała jej nową wiadomość od Ziada, żeby mogły o niej porozmawiać i ustalić, co mu odpisać. Otworzyła wiadomość, nie sprawdzając, kto ją wysłał, i ekran jej telefonu wypełniła twarz Deva Kumara.

Rozpoznała go po zbolałym, nadgorliwym wyrazie twarzy. Dev stał – lub najprawdopodobniej ktoś go ustawił – w korzystnym świetle przed wijącymi się gałęziami figowca. Był chudy, jak chudzi są mieszkańcy krajów rozwijających się, jakby w dzieciństwie brakowało mu białka. Kuzyn Rajiv i jego koledzy ubierali się tak jak chłopcy w szkole Prakrti, może trochę lepiej. Nosili ciuchy tych samych marek i mieli takie same fryzury. A Dev miał na sobie białą koszulę z absurdalnie dużymi klapami w stylu lat siedemdziesiątych i niedopasowane szare spodnie. Uśmiechał się krzywo, a jego czarne włosy lśniły oliwą.

W normalnej sytuacji Prakrti podzieliłaby się tym zdjęciem z Kylie. Selfie facetów, którzy aż za bardzo się starali, facetów, którzy wysyłali zdjęcia swojej klaty lub używali filtrów, zwykle rozśmieszały je do łez. Ale tego wieczoru Prakrti wyłączyła telefon i go odłożyła. Nie chciała wyjaśniać, kim jest Dev. Za bardzo się wstydziła.

W kolejnych dniach nic też nie powiedziała swoim indyjskim koleżankom. Rodzice wielu z nich żyli w małżeństwach, które zostały skojarzone przez ich rodziców, więc nasłuchiwały się w domu argumentów przemawiających za tą praktyką. Niektórzy rodzice podkreślali wyższość skojarzonych małżeństw, powołując się na niski wskaźnik rozwodów w Indiach. Pan Mehta, tata Deva Mehty, lubił przytaczać „naukowy” artykuł z popularnonaukowego czasopisma „Psychology Today”, z którego zdaniem prowadzących badania naukowców wynikało, że ludzie w małżeństwach z miłości bardziej się kochają przez pierwszych pięć lat małżeństwa, podczas gdy pary w małżeństwach skojarzonych kochają się bardziej po trzydziestu latach pożycia. Przesłanie brzmiało: miłość rozkwitała ze wspólnych doświadczeń. To była nagroda, a nie dar.

Rodzice musieli oczywiście tak mówić. W przeciwnym razie podważaliby wartość swoich związków. Ale to była tylko gra. Wiedzieli, że w Ameryce jest inaczej.

Tyle że czasami wcale nie było inaczej. Do szkoły Prakrti chodziła grupa dziewcząt wywodzących się z nad wyraz konserwatywnych rodzin, dziewcząt, które urodziły się w Indiach i częściowo tam wychowały, w związku z czym były bardzo posłuszne. Chociaż w szkole doskonale mówiły po angielsku i pisały eseje w dziwnym, pięknym, niemalże wiktoriańskim stylu, między sobą wołały rozmawiać w języku hindi, gudzarati czy jakimś innym. Nigdy nie jadły w stołówce ani nie korzystały z automatów z przekąskami, zawsze przynosiły własne wegetariańskie drugie śniadania, tiffiny, jak nazywały te swoje zapakowane południowe posiłki. Te dziewczyny nie mogły chodzić na szkolne potańcówki ani zapisywać się na popołudniowe zajęcia, jeśli uczestniczyli w nich chłopcy. Codziennie przychodziły do szkoły i cichutko, sumiennie robiły, co należało, a po ostatnim dzwonku całą grupą szły do sedanów marki Kia i minivanów marki Honda, żeby powrócić do swojego życia w kwarantannie. Mówiono, że nigdy nie użyłyby tamponów, obawiając się o błony dziewicze. I właśnie z tego powodu Prakrti i jej koleżanki nadały im ten przydomek. Błonki, tak je nazywały. Popatrz, idą Błonki.

– Sama nie wiem, dlaczego go lubię – stwierdziła Kylie. – Mieliśmy kiedyś wodołaza, wabił się Bartleby. Ziad mi go przypomina.

– Co?

– Czy ty mnie słuchasz?

– Przepraszam – powiedziała Prakrti. – Tak, nie. Te psy są obrzydliwe. Ślinią się.

Usunęła zdjęcie.

– Rozumiem, że teraz rozdajesz mój numer przypadkowym chłopakom? – zapytała Prakrti nazajutrz matkę.

– Dostałaś zdjęcie od Deva? Jego matka obiecała, że każe mu wysłać ci zdjęcie.

– Mówiłaś mi, że nie powinnam dawać numeru nieznanym, a teraz sama go rozdajesz?

– Dev nie jest kimś „przypadkowym”.

- Dla mnie jest.
- Pozwól, że zrobię ci zdjęcie, żeby im odesłać. Obiecałam to pani Kumar.
- Nie.
- Daj spokój. Nie rób takiej ponurej miny. Dev pomyśli, że masz okropne usposobienie. Uśmiechnij się, Prakrti. Czy muszę cię zmuszać do uśmiechu?

„A może po prostu podpisałby mi się pan na ciele?”

Słowa dziewczyny wciąż rozbrzmiewały w głowie Matthew, kiedy rozmawiał w członkami komitetu, który zapraszał wizytujących profesorów, podczas kolacji w restauracji niedaleko kampusu.

Czy rzeczywiście miała na myśli to, co powiedziała? A może były to po prostu głupie, prowokacyjne słowa, które w dzisiejszych czasach tak łatwo rzucały amerykańskie dziewczyny z college’u? Odpowiednik tego, w jaki sposób tańczyły, podskakując i kręcąc biodrami, wręcz wypychając je do przodu i w ten sposób wysyłając pewien sygnał, w zasadzie niezamierzony. Może gdyby Matthew był młodszy, gdyby był w jej wieku, znalazłby odpowiedź na to pytanie.

Restauracja była ładniejsza, niż się spodziewał. Drewniana, serwująca lokalne produkty, z ciepłym wnętrzem. Dostali stół daleko od baru, a Matthew posadzono w centralnym, szacownym miejscu.

Siedząca obok niego profesorka filozofii, kobieta po trzydziestce, z mocno kręconymi włosami, szeroką twarzą i zadziornym charakterem, odezwała się do Matthew:

– Ja też mam pytanie z kosmologii. Jeśli przyjmiemy istnienie nieskończonego wieloświata, a zatem każdego wyobrażalnego rodzaju wszechświata, wówczas musi istnieć wszechświat, w którym Bóg istnieje, oraz taki, w którym On, chciałam powiedzieć: Ona, nie istnieje. Obok wszystkich innych rodzajów wszechświata. W którym więc żyjemy?

– Na szczęście w tym, w którym jest alkohol – odparł Matthew, unosząc kieliszek.

– Czy istnieje wszechświat, w którym mam włosy? – zapytał łysy, brodaty ekonomista, siedzący dwa miejsca dalej.

Rozmowa toczyła się wartko w tym żartobliwym tonie. Ludzie zasypywali Matthew pytaniami. Kiedy tylko otwierał usta, żeby odpowiedzieć, cały stół milkł. Pytania nie miały nic wspólnego z jego wykładem, którego treść już ulotniła się im z umysłów, ale dotyczyły innych tematów: przybyszów z kosmosu lub bozonu Higgsa. Jedyny obok Matthew fizyk przy stole, prawdopodobnie podrażniony względnym sukcesem gościa, nie odezwał się ani słowem. Tylko wcześniej, idąc wraz z nim do restauracji, powiedział do Matthew:

– Pański blog cieszy się dużą popularnością wśród moich studentów. Młodzież go uwielbia.

Kiedy wynoszono naczynia po daniu głównym, przewodniczący komitetu zwrócił się do osób siedzących najbliżej Matthew, żeby zamieniły się miejscami z siedzącymi dalej. Wszyscy zamówili pudding, ale Matthew poprosił kelnera o whisky. Właśnie się pojawiła, kiedy w kieszeni Matthew zaczął wibrować telefon.

Obok Matthew usiadła teraz nowa osoba, przypominająca ptaka kobieta o bladej cerze, ubrana w spodnium.

– Nie jestem profesorem – powiedziała. – Jestem żoną Pete’a. – Wskazała na swojego męża siedzącego po drugiej stronie stołu.

Matthew wyjął telefon z kieszeni i dyskretnie trzymał go pod stołem.

Nie rozpoznał numeru. Wiadomość była prosta: „cześć”.

Odkładając telefon do kieszeni, wypił łyżeczkę whisky. Odchylił się na krześle i rozejrzał po restauracji. Osiągnął ten etap wieczoru – takich wieczorów jak ten w podróży – kiedy na wszystko spływała różaność, powolne, aromatyczne, sączące się światło, które rozlewało się po restauracji jak ciecz. Różaność brała się z blasku baru zastawionego rzędami kolorowych butelek na lustrzanych półkach, ale także z kinkietów i płomieni świec odbijających się w trawionych na złoto szybach okien. Różaność była częścią szumu restauracji, dźwięków wydawanych przez rozmawiających i śmiejących się ludzi, towarzyskich, miejskich dźwięków, ale była także częścią samego Matthew, jego wzrastającego poczucia zadowolenia z tego, kim i gdzie był, gotowości zrobienia jakiegoś głupstwa, jeśli nadarzy się okazja. Ale przede wszystkim miała związek z jego wiedzą o tym pojedynczym słowie – cześć – ukrytym w telefonie komórkowym wciśniętym do kieszeni na jego udzie.

Różaność nie przetrwałaby sama. Potrzebowała udziału Matthew. Zanim przeprosił i wyszedł, zamówił kolejną whisky. Następnie wstał, złapał równowagę i przeszedł przez bar do schodów prowadzących w dół do toalety.

Męska toaleta była pusta. Muzyka, która prawdopodobnie sączyła się na górze w głośnej restauracji, tutaj wręcz waliła z umieszczonych w suficie głośników hi-fi. W wyłożonej kafelkami przestrzeni brzmiała zaskakująco dobrze i Matthew poruszał się w jej rytm, wchodząc do kabiny i zamykając za sobą drzwi. Wyjął telefon i zaczął pisać jednym palcem.

Przepraszam, nie znam tego numeru. Kto to?

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast:

pierwszoroczna osóbka :)

Witam.

co porabiasz?

Upijam się w restauracji.

fajnie sam jesteś?

Matthew zawahał się. Po chwili napisał:

Jak palec.

Miało to coś wspólnego z jazdą na nartach. Z momentem kiedy na szczycie pochylasz się w dół stoku i wówczas to grawitacja przejmuje nad tobą kontrolę, ciągnąc cię w dół. Przez kilka następnych minut, podczas których tam i z powrotem wysyłali SMS-y, Matthew był tylko częściowo świadomy, z kim się komunikuje. Dysponował dwoma obrazami tej dziewczyny – jednym w workowatej bluzie i drugim w obcisłym białym topie – które trudno było pogodzić. Nie pamiętał już dokładnie, jak wyglądała. Dziewczyna wydawała się na tyle szczególna i na tyle nieokreślona, że mogła być dowolną kobietą lub wszystkimi kobietami. Każda wiadomość wysyłana przez Matthew wywoływała elektryzującą odpowiedź, a w miarę jak ton jego wiadomości robił się coraz bardziej

flirciarski, dziewczyna odpowiadała tym samym. Podniecenie towarzyszące rzucaniu impulsywnych myśli w pustkę go odurzało.

Na ekranie pojawiły się elipsy: dziewczyna coś pisała. Matthew patrzył na ekran i czekał. Widział dziewczynę na drugim końcu łączącej ich niewidzialnej ścieżki, z opuszczoną głową, opadającymi na twarz czarnymi włosami, tak jak przy stoliku z książkami, zwinnymi kciukami przebiegającą po klawiszach.

I wtedy pojawiła się jej odpowiedź:

jesteś żonaty, prawda?

Matthew tego nie przewidział. Natychmiast wytrzeźwiał. Przez chwilę zobaczył, kim tak naprawdę jest: mężczyzną w średnim wieku, żonatym mężczyzną i ojcem, ukrywającym się w kabinie toalety i wysyłającym SMS-y do ponad dwa razy od niego młodszej dziewczyny.

Była tylko jedna honorowa odpowiedź:

Tak, jestem.

Znowu pojawiły się elipsy. Potem zniknęły. I już się nie pojawiły.

Matthew odczekał jeszcze kilka minut, zanim wyszedł z kabiny. Widząc swoje odbicie w lustrze, skrzywił się i krzyknął:

– Palant!

Ale wcale się tak nie czuł. Bynajmniej. Ogólnie rzecz biorąc, był z siebie raczej dumny, jakby poniósł porażkę w sportowej rywalizacji, próbując ryzykownej gry.

Wspinał się po schodach do restauracji, kiedy telefon znowu się odezwał.

Jeśli Tobie to nie przeszkadza to mnie też nie

Na komodzie w sypialni rodziców stało ich ślubne zdjęcie w jaskrawych kolorach; ukazywało chłopca i dziewczynę, którzy mieli zostać rodzicami Prakrti, stojących obok siebie z taką powagą, jakby ktoś szturchnął ich kijem, żeby zajęli odpowiednią pozycję. Nieprawdopodobnie szczupłą twarz ojca zwieńczał biały turban. Z gładkiego czoła matki zwisał diadem, jego dopasowany do kolczyka w nosie złoty łańcuszek ocieniał woal okrywającej jej włosy czerwonej koronki. Szyje obojga przykrywały

ciężkie naszyjniki złożone z wielu sznurów świecących ciemnoczerwonych jagód. Choć może były zbyt twarde jak na jagody. Może to były nasiona.

W dniu, kiedy robiono to zdjęcie, jej rodzice znali się od dwudziestu czterech godzin.

Prakrti zazwyczaj nie myślała o ślubie rodziców. Doszło do niego dawno temu, w innym kraju, na innych zasadach. Ale co jakiś czas, pod wpływem oburzenia, a także zaciekawienia, starała się wyobrazić sobie, do czego doszło bezpośrednio po zrobieniu tego zdjęcia. Przypadkowy ciemny hotelowy pokój w nieznanym miejscu i stojąca pośrodku siedemnastoletnia matka. Naiwna wiejska dziewczyna, która nic nie wiedziała o seksie, o facetach czy o antykoncepcji, a mimo to wiedziała, czego wymaga się od niej w tym szczególnym momencie. Rozumiała, że jej obowiązkiem jest zdjąć ubranie przed mężczyzną równie jej obcym jak ktoś mijany na ulicy. Zdjąć ślubne sari, aksamitne pantofle, ręcznie szytą bieliznę, złote bransoletki i naszyjnik, położyć się na plecach i pozwolić mu zrobić to, czego chciał. Oddać mu się. Studentowi rachunkowości, który dzielił mieszkanie w Newark, w stanie New Jersey, z sześcioma innymi kawalerami i w którego oddechu wciąż czuć było amerykański fast food, połknięty przed wejściem do samolotu i lotem do Indii.

Prakrti nigdy nie potrafiła pogodzić myśli o tym skandalicznym układzie – to była niemal prostytutka – ze znaną jej sztywną, autokratyczną matką. Prawdopodobnie wcale to tak nie wyglądało, uznała. Nie, bardziej prawdopodobne, że w pierwszych tygodniach lub miesiącach małżeństwa rodziców nic się nie wydarzyło; że doszło do tego znacznie później, gdy się poznali i gdy nie było już mowy o jakimkolwiek przymusie czy zniewoleniu. Prakrti nigdy nie pozna prawdy. Zbyt bała się o to zapytać.

Postanowiła odnaleźć w internecie innych ludzi w podobnej sytuacji. Jak zwykle w sieci wystarczyło chwilę poszukać, żeby znaleźć fora dyskusyjne pełne skarg, porad, usprawiedliwień, wołania o pomoc oraz słów pociechy. Niektóre kobiety, zwykle te wykształcone i mieszkające w miastach, traktowały kwestię zaaranżowanego małżeństwa z teatralną trwogą, jakby uczestniczyły w jakimś zwariowanym odcinku *Świata według Mindy*. Przedstawiały swoich rodziców jako ludzi pełnych najlepszych intencji, których wścibstwo, mimo że okropnie irytujące, nigdy nie przeszkadzało im być uroczymi. „Moja mama ma zwyczaj podawać mój adres e-mail spotykanym przez siebie osobom. I pewnego dnia dostaję od taty jakiegoś

faceta e-mail z mnóstwem bardzo osobistych pytań, na przykład ile ważę i czy palę, czy biorę narkotyki i czy mam jakieś problemy zdrowotne lub ginekologiczne, o których powinien wiedzieć, żeby mógł ocenić, czy jestem odpowiednim materiałem na żonę dla jego kulawego syna, z którym nie poszłabym do łóżka, nawet gdybyśmy byli po ecstasy na festiwalu Burning Man, a ja byłabym w łaskawym nastroju i (albo) napalona”. Inne kobiety wydawały się pogodzone z rodzicielską presją i intrygami. „Bo tak prawdę mówiąc – pisał ktoś – czy to jest gorsze od korzystania z serwisu randkowego? Albo gdy jakiś facet w barze przez całą noc chucha ci w twarz alkoholem?”

Ale były też dramatyczne wpisy, od dziewcząt mniej więcej w wieku Prakrti. Dziewcząt, które nie potrafiły zbyt dobrze pisać, chodziły do marnych szkół lub nie mieszkaly zbyt długo w Stanach. Jeden post był od dziewczyny podpisującej się „Zlamanezycie” i Prakrti nie potrafiła go zapamiętać. „Cześć, mieszkam w Arkansas. Zawieranie tu małżeństwa w moim wieku jest nielegalne (mam 15 lat), chyba że masz zgodę rodziców. Problem polega na tym, że mój tata chce, żebym poślubiła jego przyjaciela z Indii. Nawet go nie spotkałam. Poprosiłam o zdjęcie, ale tato pokazał mi fotografię człowieka zbyt młodego na jego przyjaciela (tato ma 56 lat). To wygląda tak, jakby mój własny ojciec zachowywał się jak oszust internetowy, uwodząc mnie za pomocą fałszywego zdjęcia. Czy ktoś może mi pomóc? Czy istnieje jakaś pomoc prawna, z którą mogę się skontaktować? Co możesz zrobić, jeśli jesteś młoda i się na to nie zgadzasz, ale jesteś zbyt przerażona, żeby przeciwstawić się rodzicom, bo wcześniej spotkałaś się ze zniewagami słownymi czy fizycznym znęcaniem?”

Po kilku godzin spędzonych na czytaniu takich rzeczy w internecie Prakrti była zrozpaczona. Wszystko stało się bardziej realne. To, co uważała za szaleństwo, wszędzie praktykowano, wszędzie zwalczano albo wszędzie się temu poddawano.

Z Dorset Matthew jedzie pociągiem do Londynu, a następnie kolejnym na Heathrow. Dwie godziny później jest już w powietrzu i zmierza na lotnisko JFK. Wybrał miejsce przy oknie, żeby nie przeszkadzano mu podczas lotu. Patrząc na zewnątrz, widzi skrzydło odrzutowca, duży, cylindryczny, przybrudzony silnik odrzutowy. Wyobraża sobie, że otwiera drzwi

ewakuacyjne i wychodzi na skrzydło, starając się utrzymać równowagę na wietrze, i przez chwilę wydaje mu się to prawie możliwe.

W ciągu sześciu miesięcy pobytu w Anglii utrzymywał kontakt ze swoimi dziećmi głównie za pomocą wiadomości tekstowych. One nie lubią e-maili. Są za wolne, mówią. Korzystanie ze Skype'a, którego najchętniej używają, powoduje, że Matthew czuje się dezorientowany. Pojawiające się w laptopie strumieniowe obrazy Jacoba i Hazel powodują, że jego dzieci są niemal pod ręką, a jednocześnie nieosiągalne. Twarz Jacoba wygląda na pulchniejszą. Syn się rozprasza podczas rozmowy i często odwraca wzrok, prawdopodobnie spoglądając na inny ekran. Hazel poświęca Matthew całą uwagę. Pochylona, trzyma blisko kamery garść włosów, żeby pokazać nowe pasemka, które zafarbowwała na czerwono, fioletowo lub niebiesko. Często ekran zamiera, rozkładając na piksele twarze jego dzieci i sprawiając, że wydają się poskładane z części, złudne.

Matthew irytuje też jego własny wizerunek, który pojawia się w rogu ekranu. Oto on, ich niewyraźny tata w swojej kryjówce.

Wszelkie podejmowane przez niego próby dowcipkowania brzmią w jego uszach fałszywie.

Tak czy owak, czuje się przegrany: jeśli dzieci mocno przeżywają jego nieobecność, to sytuacja jest okropna; równie źle, jeśli wydają się zdystansowane i samodzielne. Znajome szczegóły ich pokoi ranią Matthew serce: tapeta z wypukłym wzorem w pokoju Hazel, hokejowe plakaty Jacoba.

Dzieci czują, że ich życie się chwieje. Słyszały, jak Tracy rozmawia przez telefon z Matthew, z rodziną i przyjaciółmi, ze swoim prawnikiem. Dzieci pytają Matthew, czy on i matka się rozwodzą, a on szczerze im odpowiada, że nie wie. Nie wie, czy znowu będą rodziną.

Najbardziej zdumiewa go własna głupota. Uważał, że oszukuje tylko Tracy. Wierzył, że nadużył wyłącznie jej zaufania; i że jego wiarołomstwo nieco łagodziły, jeśli nie usprawiedliwiały, małżeńskie kłopoty, urazy, fizyczne niespełnienie. Wpadł w życiowy poślizg, z Jacobem i Hazel na tylnym siedzeniu, i sądził, że nic im się nie stanie.

Czasami podczas ich rozmów przez Skype'a Tracy zagląda do pokoju. Zdając sobie sprawę, z kim rozmawia Jacob lub Hazel, pozdrawia Matthew wymuszonym, wyrozumiętym głosem. Ale trzyma się z tyłu, starając się nie pokazywać twarzy. A może nie zobaczyć jego.

– To było bardzo krępujące – powiedziała Hazel po jednej z takich scen.

Trudno mu powiedzieć, co dzieci myślą o jego niewłaściwym zachowaniu. Rozsądnie nigdy nie podnoszą tej kwestii. A on nie jest pewien, ile wiedzą.

– Popełniłeś jeden błąd – powiedział Jim do Matthew kilka tygodni temu w Dorset. Ruth spędzała wieczór ze swoimi znajomymi na publicznym czytaniu sztuk, a dwaj mężczyźni palili cygara na tarasie. – Popełniłeś błąd w ocenie jednej nocy w małżeństwie składającym się z wielu setek nocy. Z tysięcy.

– Raczej kilka błędów, uczciwie mówiąc.

Jim zbył to, wydmuchując dym z cygara.

– Zgadza się, nie jesteś święty. Ale byłeś dobrym mężem, w porównaniu z większością. I w tym wypadku dałeś się skusić.

Matthew zastanawia się nad tym słowem. Skusić. Czy to prawda? A może sam właśnie tak przedstawił incydent Ruth, która, jak to matka, stanęła po jego stronie, a potem podzieliła się tym wrażeniem z Jimem. W każdym razie nie można dać się skusić czemuś, czego się wcześniej nie pragnie. To był prawdziwy problem. Jego chuć. I właśnie miał na to dowód. To była ta jego przewlekła, zapalna dolegliwość.

W pobliżu uniwersytetu znajdowała się kawiarnia, do której Prakrti i Kylie lubiły zaglądać. Siadały w pomieszczeniu w głębi kawiarni, starając się wtopić w tłum studentów przy sąsiednich stolikach. Jeśli ktoś się do nich odzywał, zwłaszcza jeśli to był facet, udawały, że są studentkami pierwszego roku. Kylie stała się pochodzącą z Kalifornii surferką o imieniu Meghan. Prakrti przedstawiała się jako Jasmine i mówiła, że dorastała w Queens.

– Biali ludzie potrafią być tacy durni, bez obrazy – powiedziała, gdy po raz pierwszy uszło jej to na sucho. – Pewnie myślą, że wszystkie indyjskie dziewczęta mają imiona po przyprawach. Może powinnam nazywać się Imbir. Lub Kolendra.

– Albo Curry. „Cześć, nazywam się Curry. Jestem ostra”.

Śmiały się i śmiały.

Pod koniec stycznia, kiedy zbliżały się egzaminy w połowie trimestru, zaczęły chodzić do tej kawiarni dwa lub trzy razy w tygodniu. Pewnego

wietrznego środowego wieczoru Prakrti dotarła tam przed Kylie. Zarekwirowała ich ulubiony stolik i wyjęła komputer.

Od początku roku szkolnego nadchodziły e-maile i listy z college'ów, zachęcające Prakrti do składania podań o przyjęcie do tych szkół. Początkowo zaproszenia pochodziły z uczelni, których nie brała pod uwagę ze względu na ich lokalizację, religijne powiązania lub niewielki prestiż. Ale w listopadzie przyszedł e-mail ze Stanford. Kilka tygodni później dostała podobną wiadomość z Harvardu.

Prakrti poczuła się szczęśliwa, a przynajmniej mniej niespokojna, bo ktoś o nią zabiegał.

Siedząc przy stoliku, zalogowała się na swoje konto Gmail. Z szalejącej na zewnątrz wichury do kawiarni weszła grupka dziewcząt w jaskrawych, kolorowych kaloszach do kostek, przyglądając ze śmiechem włosy. Zajęły stolik obok Prakrti. Jedna z nich uśmiechnęła się i Prakrti odpowiedziała uśmiechem.

Miała jeden nieprzeczytany e-mail.

Szanowna Panno Banerjee,
mój brat Neel zasugerował, żebym rozpoczął właśnie tak zamiast „Droga Prakrti”. Chociaż jest młodszy ode mnie, jego angielski jest lepszy. Pomaga mi poprawiać wszelkie błędy, żebym nie zrobił złego pierwszego wrażenia. Może nie powinienem Ci o tym pisać (Neel uważa, że nie powinienem).

W moim odczuciu, jeśli pewnego dnia mamy się pobrać, powinienem starać się być z Tobą tak szczery, jak to możliwe, aby pokazać Ci moje Prawdziwe Ja, abyś mogła mnie poznać.

Przypuszczam, że powinienem zadać Ci różnego rodzaju pytania, takie jak: Co lubisz robić w wolnym czasie? Jakie są Twoje ulubione filmy? Jaki rodzaj muzyki lubisz? To są pytania dotyczące zgodności naszych cech osobowych. Nie sędzę, że mają one zbyt duże znaczenie.

Ważniejsze są pytania o charakterze kulturowym lub religijnym. Na przykład, czy chcesz mieć kiedyś dużą rodzinę? Być może jest to zbyt ważne pytanie, żeby zadawać je na tak wczesnym etapie naszej korespondencji. Jeśli chodzi o mnie, pochodzę z bardzo dużej rodziny, więc jestem przyzwyczajony do dużego zamieszania w domu. Czasami

myślę, że byłoby miło mieć mniejszą rodzinę, jakie ostatnio stają się coraz powszechniejsze.

Sądzę, że moi rodzice powiedzieli Twoim o moich aspiracjach, że chcę zostać programistą w dużej firmie, takiej jak Google czy Facebook. Od zawsze marzyłem, żeby mieszkać w Kalifornii. Wiem, że Delaware nie jest blisko Kalifornii, ale jest blisko Waszyngtonu.

W wolnym czasie lubię oglądać krykieta i czytać mangi. A Ty co lubisz?

Na zakończenie pragnę powiedzieć, że wydałaś mi się wyjątkowo atrakcyjna, kiedy zobaczyłem Cię w domu mojego stryjecznego dziadka. Przepraszam, że nie mogłem się przywitać, ale matka powiedziała mi, że to nie jest przyjęte. Dawne zwyczaje bywają dosyć dziwne, ale musimy zaufać mądrości naszych rodziców, którzy mają za sobą doświadczenia dłuższego życia.

Dziękuję za wysłane zdjęcie. Trzymam je blisko serca.

Gdyby ten chłopiec zasiadł do pisania z zamiarem wzbudzenia w Prakrti odrazy każdym przelany na papier słowem, gdyby był mistrzem irytującego pióra, nie zrobiłby tego lepiej. Prakrti nie wiedziała, czego bardziej nienawidzi w tym liście. Ta wzmianka o dzieciach, zakładająca fizyczną intymność, której nie chciała sobie nawet wyobrażać, była dostatecznie wstrętne. A jednak bardziej zaniepokoiło ją wyrażenie „wyjątkowo atrakcyjna”.

Nie wiedziała, co robić. Zastanawiała się, czy nie napisać do Deva Kumara, żeby przestał jej zawracać głowę, ale martwiła się, że dowie się o tym jej matka i zacznie na nią krzyczeć.

Zamiast tego Prakrti wpisała w wyszukiwarke „pełnoletność w Stanach Zjednoczonych”. Z wyników dowiedziała się, że gdy skończy osiemnaście lat, uzyska prawo do zakupu nieruchomości, posiadania własnego konta bankowego i wstąpienia do wojska. Ale największą otuchą napełniło ją stwierdzenie, że po skończeniu osiemnastu lat „uzyskuje się prawo do decydowania o własnej osobie, przyjmuje się odpowiedzialność za decyzje i czyny, a jednocześnie kończy się związana z tym władza prawna rodziców nad osobą i sprawami dziecka”.

Osiemnaście lat. Za półtora roku. Do tego czasu Prakrti będzie już w college’u. Jeśli rodzice będą przeciwni jej studiom albo będą chcieli,

żeby studiowała gdzieś w pobliżu, nie będzie to miało znaczenia. Poradzi sobie sama. Będzie mogła ubiegać się o pomoc finansową. Albo uzyskać stypendium. Lub jeśli okaże się to konieczne, weźmie kredyt. Będzie mogła pracować dorywczo podczas studiów, nie będzie musiała o nic prosić rodziców i nic im zawdzięczać. Jak to się im spodoba? Co wtedy mogą zrobić? Będą żałować, że kiedyś próbowali wydać ją za mąż. Pożalują tego i będą się przed nią płaszczyć. A potem – gdy już będzie na studiach magisterskich lub zamieszka w Chicago – może im wybaczy.

Kiedy Kylie wchodziła w rolę Meghan, a Prakrti odgrywała Jasmine, stawały się leniwsze, trochę głupsze, ale odważniejsze. Pewnego razu Kylie podeszła do uroczego chłopca i powiedziała:

– Chodzę na zajęcia z psychologii, wiesz? Mamy właśnie przeprowadzić z kimś test osobowości. Zajmie ci to tylko kilka minut.

Zawołała Prakrti, mówiąc na nią Jasmine, i razem przeprowadziły z nim wywiad, zadając mu pytania, jakie tylko przyszły im do głowy. O czym ostatnio śniłeś? Gdybyś miał być zwierzęciem, jakim chciałbyś być? Chłopiec, w dredach i z dołeczkami w policzkach, po chwili zaczął chyba zdawać sobie sprawę, jak niedorzeczne są te pytania.

– To na zajęcia? Naprawdę? – zapytał.

Dziewczyny zaczęły chichotać. Ale Kylie nie odpuszczała:

– Tak! Na jutro!

W tym momencie tworzona przez nie fikcja nabrała drugiego wymiaru: już nie tylko były licealistkami udającymi, że są w college'u; były dziewczynami z college'u udającymi, że przeprowadzają test psychologiczny, żeby porozmawiać z niezwykle uroczym facetem. Innymi słowy, już przyjmowały swoje uniwersyteckie wcielenia, postaci, którymi mogłyby się kiedyś stać.

Ale teraz to wszystko wydawało się bardzo odległe. Prakrti patrzyła na dziewczyny w legginsach i butach turystycznych. Przy innych stolikach młodzież pisała, czytała lub spotykała się z profesorami.

Wcześniej myślała, że jest jedną z nich, nie jako Jasmine z Queens, ale jako ona sama. Obecnie nie była tego taka pewna.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. Wzrok jej zmętniał. Miała wrażenie, jakby podłoga w kawiarni się rozstała i między nią a innymi uczniami otworzyła się otchłań. Chwyciła za krawędź stołu, żeby odzyskać równowagę, ale uczucie, że spada, nie ustępowało.

Wkrótce uświadomiła sobie, że nie tyle spada, co coś ją ogranicza czy osacza; coś czegoś się od niej domaga. Została wybrana. Zamykając oczy, Prakrti wyobraziła sobie, jak zbliżają się w jej stronę, tak jak na szkolnych korytarzach. Z tymi ich ciemnymi, spuszczonej oczami, szepczące w obcych językach, które były też jej, wyglądające jak ona i wyciągające ręce, żeby ją wciągnąć między siebie. Błonki.

Nie wiedziała, ile minut to trwało. Nie otwierała oczu, dopóki zawroty głowy nie ustąpiły, a potem podniosła się i ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

Przy samym wejściu znajdowała się tablica ogłoszeń. Pokryta była ulotkami i ogłoszeniami, wizytówkami i wywieszkami z ofertami korepetycji lub podnajmu. W prawym górnym rogu, tylko częściowo widoczny, znajdował się plakat z informacją o wykładzie. Temat nic jej nie mówił. Tym, co przykuło uwagę Prakrti, była data wydarzenia – w przyszłym tygodniu – i zdjęcie prelegenta. Mężczyzna o różowej twarzy, rudawozłotych włosach i chłopięcym, przyjaznym obliczu. Profesor wizytujący z Anglii. Nietutejszy.

Kiedy dziewczyna przyszła do jego pokoju hotelowego, Matthew już zdążył podjąć decyzję.

Planował zaproponować jej drinka. Usiąść, porozmawiać, cieszyć się jej towarzystwem, bliskością kogoś tak młodego i pięknego, ale nic więcej. Był wystarczająco pijany, żeby go to zadowoliło. Nie odczuwał silnego fizycznego pożądania, jedynie rosnący, upajający niepokój, jakby wkręcał się na ekskluzywne przyjęcie.

A potem dziewczyna znalazła się w pokoju i z całą mocą uderzył go zapach jej pudru.

Nie spojrzała mu w oczy, nie powiedziała też ani słowa, tylko rzuciła plecak na podłogę i stanęła z opuszczoną głową. Nawet nie zdjęła płaszcza.

Matthew zapytał, czy chce się czegoś napić. Odmówiła. Jej nerwowość i prawdopodobna niechęć do przebywania w tym miejscu sprawiły, że chciał ją uspokoić lub przekonać.

Postąpiwszy krok naprzód, otoczył dziewczynę ramionami i zanurzył nos w jej włosach. Pozwoliła mu na to. Po chwili Matthew opuścił głowę, żeby

ją pocałować. Zareagowała bardzo słabo, nie otwierając ust. Musnął nosem jej szyję. Kiedy wrócił ustami do jej warg, odsunęła się.

– Masz prezerwatywę? – zapytała.

– Nie – odpowiedział Matthew, zaskoczony jej bezpośredniością. – Nie mam. Obawiam się, że nie należę do pokolenia prezerwatyw.

– Możesz ją załatwić?

Gdzieś zniknęła cała jej kokieteria. Teraz była rzeczowa, zmarszczyła w skupieniu brwi. Po raz kolejny Matthew zaczął się zastanawiać, czy się nie wycofać.

A jednak powiedział:

– Mogę to zrobić. Gdzie mogę ją kupić o tej porze?

– Na placu. Jest tam kiosk. To jedyne otwarte miejsce.

Później, w Anglii, podczas miesięcy wzajemnych oskarżeń i wyrzutów, Matthew przyznał sam przed sobą, że miał czas jeszcze raz to przemyśleć. Wyszedł z hotelu w samej marynarce. Temperatura na zewnątrz spadła. Kiedy szedł na plac, chłód oczyszczał mu głowę, ale nie na tyle, żeby powstrzymać go przed wejściem do kiosku, kiedy już go odszukał.

Znalazłszy się w środku, miał kolejną szansę, żeby się ponownie zastanowić. Prezerwatyw nie było na wystawie, należało poprosić o nie stojącego za ladą sprzedawcę. Okazało się, że jest to pochodzący z Azji Południowej mężczyzna w średnim wieku, i przez głowę Matthew przeszła szalona myśl, że kupuje prezerwatywę od ojca dziewczyny.

Zapłacił gotówką, nie patrząc tamtemu w oczy, i pośpiesznie wyszedł.

Kiedy wrócił, w pokoju było ciemno. Pomyślał, że dziewczyna odeszła. Poczuł jednocześnie rozczarowanie i ulgę. Ale wtedy z łóżka dobiegł go jej głos.

– Nie włączaj światła.

Matthew rozebrał się w ciemności. Kiedy położył się do łóżka i znalazł tam nagą dziewczynę, nie miał już żadnych obiekcji.

Niezgrabnie założył prezerwatywę. Dziewczyna rozłożyła nogi, gdy się na nią kładł, ale niewiele zdążył jeszcze zdziałać, gdy zesztyniała i usiadła.

– Weszło do środka?

Matthew pomyślał, że martwi się o antykoncepcję.

– Założyłem ją – próbował uspokoić dziewczynę. – Założyłem prezerwatywę.

Dziewczyna położyła dłoń na jego piersi i zupełnie znieruchomiła, jakby wsłuchiwała się w swoje ciało.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała w końcu. – Zmieniłam zdanie.
Chwilę później zniknęła bez słowa.

Matthew obudził się następnego ranka na pół godziny przed spotkaniem ze studentami. Wyskoczył z łóżka, wziął prysznic, przemył usta hotelowym płynem do płukania ust i się ubrał. W ciągu piętnastu minut był w drodze powrotnej do kampusu.

Nie miał nawet specjalnego kaca, był raczej jeszcze trochę pijany. Gdy szedł pod bezlistnymi drzewami, lekko kręciło mu się w głowie. Zauważył osobliwą niematerialność otoczenia – mokre liście na ścieżkach, postrzępione chmury przeciągające po niebie – jakby oglądał je przez drobną siatkę.

Nic się nie stało. Naprawdę nic. Miał o wiele mniej powodów, żeby czuć się winnym, niż mógłby mieć, więc było prawie tak, jakby zupełnie nic nie zrobił.

W połowie porannej sesji odezwał się ból głowy. W tym czasie Matthew był na Wydziale Fizyki. Przychodząc tam, martwił się, że dziewczyna może pojawić się wśród uczniów zgromadzonych w jasno oświetlonej sali; ale potem przypomniał sobie, że nie mogła przyjść. Odprężył się i machinalnie odpowiadał na pytania studentów. Nie musiał się nawet zastanawiać.

W południe, z wsuniętym w kieszeń marynarki czekiem, który pokrywał honorarium, Matthew wracał do Nowego Jorku.

Zaraz po minięciu Edison, kiedy już niemal zasnął, odebrał wiadomość na telefonie.

Dziękuję, że podpisałeś mi się na kartce. Może kiedyś będę mogła ją sprzedać. Miło było Cię poznać. Pa.

Matthew odpisał „Wyślę Ci egzemplarz mojej książki, żebyś miała gdzie ją wkleić”. Następnie, uznawszy, że stwarza to możliwość zbyt dowolnej interpretacji, usunął wiadomość i zastąpił słowami „Mnie też miło było Cię poznać. Powodzenia na studiach”. Po naciśnięciu Wyślij usunął całą rozmowę.

Zbyt długo czekała z powiadomieniem policji. W tym cały kłopot. Właśnie dlatego jej nie uwierzyli.

Prokurator miejski, z którym Prakrti już raz się wcześniej spotkała, był mężczyzną z wydatnym torsem, o miłej, otwartej twarzy oraz rzadkich i rozwichrzonych blond włosach. Był szorstki w obyciu i często używał wulgaryzmów, ale traktował Prakrti delikatnie, gdy przechodzili do szczegółów sprawy.

– Nie ma wątpliwości, czyja to вина – powiedział prokurator. – Ale muszę postawić zarzuty temu draniowi, a jego adwokat będzie starał się zakwestionować twoje zeznania. Dlatego muszę omówić z tobą te rzeczy, które może powiedzieć, żebyśmy byli przygotowani. Rozumiesz? Muszę przyznać, że wcale nie sprawia mi to przyjemności.

Poprosił Prakrti, żeby jeszcze raz od początku opowiedziała całą historię. Zapytał, czy piła alkohol tego wieczoru. Poprosił, żeby szczegółowo opisała akty seksualne. Co dokładnie zrobili? Co było dozwolone, a co nie? Czyj to był pomysł, żeby kupić prezerwatywy? Czy wcześniej była aktywna seksualnie? Czy miała chłopaka, o którym jej rodzice nie wiedzieli?

Prakrti odpowiadała najlepiej, jak potrafiła, ale czuła się nieprzygotowana na te pytania. Poszła do łóżka ze starszym mężczyzną tylko dlatego, żeby uniknąć takich pytań. Pytań dotyczących jej chęci, poziomu alkoholu we krwi albo tego, czy sama zachowywała się prowokacyjnie. Słyszała wystarczająco dużo historii, ściągnęła sobie na telefon dostatecznie dużo odcinków serialu *Prawo i porządek*, żeby wiedzieć, jak te sprawy kończą się dla kobiet. Marnie. System prawny zawsze sprzyjał gwałcicielowi, zawsze.

Sam seks musiał być przestępstwem. Tylko wtedy mogła być jego ofiarą. Niewinną. Niewinną, a jednak, z definicji, już nie była dziewicą. Przestała być odpowiednią hinduską panną młodą.

Tak to sobie Prakrti ułożyła w głowie.

Starszy mężczyzna był najodpowiedniejszy, ponieważ ze starszym mężczyzną nie miało znaczenia, czy wysyłała zalotne wiadomości i czy z własnej woli przyszła do jego pokoju hotelowego. W Delaware wiek, od którego prawo dopuszcza współżycie seksualne, wynosił siedemnaście lat. Prakrti sprawdziła to w ustawie. Z prawnego punktu widzenia nie mogła wyrazić zgody. Dlatego nie było potrzeby udowadniać, że została zgwałcona.

Starszy, żonaty mężczyzna nie będzie też chciał rozmawiać o tym, co się stało. Będzie chciał, żeby sprawa nie trafiła do gazet. Nikt w szkole o niczym się nie dowie. Żaden kierownik biura rekrutacji w college'u, googlując jej nazwisko, nie znajdzie elektronicznego śladu Prakrti.

I na koniec, starszy, żonaty mężczyzna zasługiwałby na to, co miało mu się przydarzyć. Wciągając w to takiego faceta, nie miałyby tak dużych wyrzutów sumienia jak wtedy, gdyby dotyczyło to niczego nieświadomego chłopca ze szkoły.

Ale kiedy już poznała tego mężczyznę, fizyka z Anglii, i wprowadziła w życie swój plan, zrobiło jej się go żal. Ten człowiek był miłszy, niż się spodziewała. Przede wszystkim wydał się jej smutny. Może i był kreaturą – z całą pewnością był – ale nie mogła go trochę nie polubić i było jej przykro, że go oszukała.

I właśnie dlatego, mimo mijających kolejnych miesięcy, Prakrti nie zgłaszała się na policję. Miała nadzieję, że nie będzie musiała realizować ostatniej części planu, że coś sprawi, że sytuacja się zmieni.

Rok szkolny się skończył. Prakrti znalazła w mieście wakacyjną pracę w lodziarni. Nosila fartuch w różowe paski i biały papierowy kapelusz.

Pewnego dnia pod koniec lipca, kiedy Prakrti wróciła do domu z pracy, matka wręczyła jej list. Prawdziwy list, napisany na papierze i wysłany pocztą. Znaczkę na kopercie ukazywały twarz uśmiechniętej gwiazdy krykieta.

Droga Prakrti,

przepraszam, że nie pisałem wcześniej. Moje studia na uniwersytecie są niezwykle uciążliwe i zajmuję się tylko tym, żeby się na nich utrzymać. W tym moim trudzie pomaga mi myśl, że ciężko pracuję, aby przygotować przyszłość dla siebie i mojej przyszłej rodziny, co oczywiście oznacza właśnie Ciebie. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że zdobycie pracy w Google lub Facebooku może nie być tak łatwe, jak mi się wydawało. Teraz myślę o tym, żeby zatrudnić się w firmie działającej w obszarze *flash trading* w New Brunswick, gdzie pracuje również mój wujek. Nie mam prawa jazdy i zaczynam się martwić, że to może być problem. Czy Ty masz prawo jazdy? A może posiadasz własny samochód? Wiem, że nasi rodzice rozmawiali o możliwości

wniesienia samochodu w ramach posagu. Z mojego punktu widzenia byłoby to bardzo mile widziane.

Prakrti nie czytała dalej. Następnego dnia po wyjściu z pracy nie poszła do domu, tylko do komisariatu za ratuszem. To było prawie miesiąc temu. Od tego czasu policja szukała tego mężczyzny, nikt jednak nie został aresztowany. Coś hamowało rozwój sprawy.

– Sędzia będzie chciał wiedzieć, dlaczego tak długo zwlekałaś – powiedział jej prokurator miejski.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Prakrti. – Czytałam ustawę w internecie. Mam teraz siedemnaście lat, ale kiedy to się stało, miałam szesnaście. Z definicji to jest gwałt.

– Zgadza się. Ale on twierdzi, że nie doszło do stosunku. Nie doszło do penetracji.

– Oczywiście, że doszło do penetracji – oświadczyła Prakrti, marszcząc brwi. – Proszę, sprawdź nasze SMS-y. Albo zapis wideo. Można zobaczyć, co się działo.

Celowo wysłała go do kiosku, wiedziała bowiem, że jest tam kamera monitoringu. Zamierzała też zachować prezerwatywę, zawiązać ją, żeby zachować nasienie. Ale w tamtym, tak trudnym momencie po prostu o tym zapomniała.

– Wiadomości stanowią dowód na flirt – stwierdził prokurator. – Dowodzą intencji. Podobnie jest z zapisem wideo, na którym widać, że kupił prezerwatywy. Ale nie mamy żadnego dowodu na to, co stało się w pokoju.

Prakrti spojrzała na swoje dłonie. Na zewnętrznej stronie kciuka miała zaschnięty kawałek zielonych lodów. Zdarła go paznokciem.

Kiedy mężczyzna się na niej położył, nagle oszołomiła ją fala czułości wobec własnego ciała i pragnienie, by je chronić. Poczula cierpki i słodki od alkoholu oddech mężczyzny. Był cięższy, niż się spodziewała. Kiedy Prakrti wchodziła do pokoju hotelowego i zobaczyła go stojącego w skarpetkach, wyglądał na człowieka starego, z zapadniętymi policzkami. Leżała z zamkniętymi oczami. Martwiła się, że to będzie bolało. Nie przejmowała się utratą dziewictwa, ale chciała jak najmniej z siebie oddać. Tylko to, co pozwoliłoby na prawne rozpoznanie aktu, ale nic więcej, żadnego widocznego przyzwolenia i na pewno żadnego uczucia.

Był teraz między jej nogami, naciskał. Poczuła uszczypnięcie.

I odepchnęła go. Usiadła.

Czy szczypanie, które odczuwała, nie było penetracją? Wiedziałaaby, gdyby to się stało, prawda?

– Oczywiście, jeśli ktoś kupuje prezerwatywy, robi to z określonego powodu – powiedziała miejskiemu prokuratorowi. – Jak mam udowodnić, że doszło do penetracji?

– To może okazać się trudniejsze w związku z upływem czasu. Ale nie jest niemożliwe. Jak długo uprawialiście seks?

– Nie wiem. Minutę?

– Uprawialiście seks przez minutę.

– Może krócej.

– Czy on szczytował? Przepraszam. Muszę spytać. Obrona o to zapyta i musimy być przygotowani.

– Nie wiem. Nigdy nie byłam... To był mój pierwszy raz.

– I jesteś pewna, że to był jego penis? Nie palec?

Prakrti się zastanowiła.

– Ręce miał na mojej głowie. Trzymał mi głowę. Obiema rękami.

– Bardzo by mi pomogło, gdybyśmy mieli coś, co posłuży jako nowy dowód w sprawie – powiedział prokurator. – Jakiegoś świadka, któremu opowiedziałas, co się stało, zaraz po tym zdarzeniu, kto mógłby potwierdzić twoją historię. Czy komuś o tym powiedziałaś?

Prakrti nikomu nie powiedziała. Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział.

– Ten dupek utrzymuje, że nie doszło do stosunku. Dlatego bardzo by ci pomogło, gdybyś powiedziała komuś o tym mniej więcej wtedy, gdy doszło do tej napaści. Idź do domu. Pomyśl o tym. Postaraj się sobie przypomnieć, może z kimś rozmawiałaś. Może chociaż wysłałaś SMS-a lub e-mail. Będę z tobą w kontakcie.

Samolot, w którym Matthew leci przez ocean, dotrzymuje kroku słońcu. Jest w Nowym Jorku mniej więcej o tej samej porze dnia, o której opuszczał Londyn. Wynurzywszy się z terminalu, Matthew zostaje zaatakowany przez światło słoneczne. Czuje, że listopadowy dzień powinien się kończyć, łagodząc w ten sposób jego powrót, ale zamiast tego

słońce jest w zenicie. Strefa przed terminalem jest zatłoczona autobusami i taksówkami.

Podaje kierowcy adres hotelu. Powrót do domu nie wchodzi w rachubę. Tracy zgodziła się przyprowadzić dzieci na spotkanie z nim jeszcze tego samego dnia po południu. Kiedy Matthew zaproponował, żeby później zjedli razem kolację, mając nadzieję, że to pozwoli ponownie zjednoczyć rodzinę, a on zobaczy, jak się sprawy mają, Tracy nic nie powiedziała. Ale też tego nie wykluczyła.

Właśnie powrót do tego miejsca z widokiem na Manhattan napawa Matthew optymizmem. Od miesięcy był bezsilny, nie groziło mu aresztowanie, ale znajdował się w stanie zawieszenia, jak Assange czy Polański. Teraz może działać.

Wiadomość, że ma się stawić na przesłuchanie, nadeszła w sierpniu, gdy Matthew wygłaszał serię wykładów w Europie. Policja w Dover uzyskała kopię jego paszportu z hotelu, w którym się zatrzymał, wylegitymował się nim bowiem, gdy się meldował. Na tej podstawie znaleźli go pod adresem jego matki. Po zakończeniu wykładów przyjechał do Dorset odwiedzić Ruth i Jima, a tam już czekał na niego list.

W ciągu sześciu miesięcy, które minęły między wizytą w college'u a nadejściem listu, Matthew prawie zapomniał o tej dziewczynie. Uraczył swoją historią kilku znajomych mężczyzn, opisując dziwaczną prowokację dziewczyny i to, jak ostatecznie zmieniła zdanie.

– A czego się spodziewałeś, idioto? – powiedział jeden z przyjaciół. Ale też z zazdrością zapytał: – Dziewiętnastka? A jak to jest?

W rzeczywistości Matthew niewiele pamięta. Wracając myślami do tamtej nocy, przypomina sobie głównie niesamowite drżenie brzucha dziewczyny, gdy się na nią kładł. Miał wrażenie, jakby miażdżył między nimi jakieś zwierzątko, myszokoczka lub chomika, które wilo się, próbując się wydostać. Drżenie przerażenia lub podekscytowania, tak szczególne dla tej dziewczyny. Cała reszta mu się zatarła.

Po otrzymaniu przez Matthew listu od policji znajomy prawnik doradził mu, żeby zatrudnił „miejscowego adwokata”, czyli kogoś z Dover lub z powiatu Kent w Stanach, kto znałby tamtejszych prokuratora i sędziego.

– Postaraj się też, żeby to była kobieta, jeśli się da – powiedział znajomy. – Może się to przydać, jeśli trafisz przed ławę przysięgłych.

Matthew wynajął kobietę, która nazywała się Simone Del Rio. Podczas pierwszej rozmowy telefonicznej, kiedy już przedstawił swoją wersję wydarzeń, zapytała:

– To się stało w styczniu?

– Tak.

– Jak pan myśli, dlaczego tak długo czekała?

– Nie mam pojęcia. Już mówiłem. Ona jest stuknięta.

– To opóźnienie to dobra wiadomość. Działa na naszą korzyść. Porozmawiam z prokuratorem i zobaczymy, co uda mi się ustalić.

Następnego dnia odezwała się do niego.

– Pewnie to pana zaskoczy, ale w chwili spotkania domniemana ofiara miała zaledwie szesnaście lat.

– To niemożliwe. Była studentką pierwszego roku college’u. Powiedziała, że ma dziewiętnaście lat.

– W to nie wątpię. Najwyraźniej w tej sprawie też kłamała. Jest w liceum. W maju skończyła siedemnaście lat.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Matthew, kiedy dotarła do niego ta wiadomość. – Nie odbyliśmy stosunku.

– Proszę posłuchać – powiedziała Del Rio. – Nawet nie wniesiono pozwu przeciw panu. Powiedziałam prokuratorowi, że nie mają prawa wzywać pana na przesłuchanie, jeśli tego nie zrobili. Przekonywałam także, że w tej sytuacji żadna wielka ława przysięgłych nie postawi pana w stan oskarżenia za takie postępowanie. Szczerze mówiąc, jeśli nigdy nie wróci pan do Stanów Zjednoczonych, nie będzie miał pan żadnych kłopotów.

– Nie mogę. Moja żona jest Amerykanką. Mieszkają tam moje dzieci. Ja też. W każdym razie mieszkalem.

Pozostałe informacje Del Rio nie były już tak uspokajające. Dziewczyna usunęła ich wiadomości z telefonu, podobnie jak Matthew. Ale policja uzyskała nakaz ich odzyskania od operatora telefonicznego.

– Takie rzeczy nie znikają – powiedziała Del Rio. – Pozostają na serwerze.

Kolejny problem stanowiła taśma wideo z rejestracją czasu.

– Jeśli nie będą mogli pana przesłuchać, śledztwo zostanie praktycznie zawieszone. I jeśli tak pozostanie, być może uda mi się je oddalić.

– Ile to może zająć?

– Trudno powiedzieć. Ale proszę posłuchać – powiedziała Del Rio. – Nie mogę panu powiedzieć, żeby pan został w Europie. Rozumie pan? Nie mogę tego panu poradzić.

Matthew zrozumiał. Został w Anglii.

Z dystansu patrzył, jak wali się jego życie. Tracy łkała do telefonu, ciskała na Matthew gromy, przeklinała go, a potem nie chciała odbierać jego telefonów i w końcu złożyła wniosek o separację. W sierpniu Jacob nie rozmawiał z nim przez trzy tygodnie. Hazel była jedyną osobą, która nadal przez cały czas się z nim komunikowała, choć nie zgodziła się odgrywać roli pośrednika. Od czasu do czasu wysyłała mu emotikon gniewnej czerwonej twarzy. Lub pytała: „Kiedy wrócisz do domku?”.

Te wiadomości przychodziły na brytyjski telefon Matthew. Kiedy był w Anglii, amerykański telefon miał wyłączony.

Siedząc w taksówce wiozącej go z lotniska, wyciąga z torby amerykański telefon i naciska przycisk zasilania. Nie może doczekać się chwili, kiedy powie dzieciom, że wrócił i że wkrótce się z nimi zobaczy.

Minęły dwa tygodnie, zanim miejski prokurator ponownie wezwał Prakrti. Po szkole usiadła obok matki w samochodzie, żeby pojechać do ratusza.

Prakrti nie wiedziała, co powiedzieć prokuratorowi. Nie spodziewała się, że będzie potrzebowała świadków, którzy mieliby zeznawać w jej sprawie. Nie przewidziała – choć powinna była – że mężczyzna zostanie w Europie, gdzie nie groziło mu aresztowanie i przesłuchanie. Wszystko sprzysięgło się, żeby zablokować sprawę i jej życie.

Prakrti zastanawiała się, czy nie poprosić Kylie, żeby złożyła fałszywe zeznanie. Ale nawet gdyby zobowiązała ją do zachowania tajemnicy, Kylie nieuchronnie powie o tym przynajmniej jednej osobie, a ta z kolei powie komuś innemu i wkrótce dowie się o tym cała szkoła.

Wprowadzanie w to Durvy też było wykluczone. Nie potrafiła kłamać. Gdyby przesłuchano ją przed wielką ławą przysięgłych, załamałaby się. Poza tym Prakrti nie chciała, żeby Durva wiedziała, co się stało. Obiecała rodzicom, że nic nie powie młodszej siostrze.

Co do samych rodziców nie była pewna, co dokładnie wiedzą. Zbyt zawstydzona, żeby sama im o tym opowiedzieć, pozwoliła, żeby zrobił to miejski prokurator. Kiedy rodzice wyszli ze spotkania z nim, Prakrti

doznała szoku, zauważywszy, że ojciec płakał. Matka była w stosunku do niej łagodna, troskliwa. Zaproponowała coś, czego sama nigdy by nie wymyśliła i co musiało być pomysłem prokuratora. Zapytała, czy Prakrti chce „się z kimś spotkać”. Powiedziała, że wszystko rozumie, i podkreśliła, że Prakrti jest „ofiara” i nie jest winna tego, co się stało.

W następnych tygodniach i miesiącach wokół całej tej sprawy zrobiło się cicho. Pod pozorem chronienia Durvy rodzice w ogóle nie poruszali tego tematu w domu. Nigdy nie padło słowo „gwałt”. Robili to, co należało, współpracowali z policją, kontaktowali się z prokuratorem, ale nic poza tym.

Po tym wszystkim Prakrti znalazła się w dziwnej sytuacji. Była wściekła na rodziców, że przymknęli oczy na napaść, do której ostatecznie nie doszło.

Sama nie była już pewna, co zdarzyło się tamtej nocy w hotelu. Wiedziała, że ten człowiek jest winny. Ale nie była pewna, czy prawo jest po jej stronie.

Nie miała jednak odwrotu. Posunęła się za daleko.

Minął prawie rok. Znowu zbliżało się święto Diwali, w związku z nowiem Księżyca w tym roku wypadło wcześniej. Rodzina nie planowała podróży do Indii.

Rosnące przed ratuszem drzewa – pokryte liśćmi, kiedy przyszła tu po raz pierwszy – były już nagie, odsłaniając stojący na końcu kolumnady posąg Jerzego Waszyngtona na koniu. Matka zaparkowała przed komisariatem, ale nie ruszyła się, jakby nie zamierzała wysiadać z samochodu. Prakrti odwróciła się do niej.

– Idziesz?

Matka spojrzała na córkę. Na jej twarzy nie malował się już ten ostatnio złagodniały i nieszczerzy wyraz, tylko twarda, surowa, pełna dezaprobaty mina, jaka zawsze ją cechowała. Tak mocno ścisnęła kierownicę, że widać było pobielające kłykcie dłoni.

– Sama się w to wpakowałaś, więc sama się z tego wyciągniesz – powiedziała matka. – Chcesz kierować swoim życiem? Proszę bardzo. Ja mam dość. To beznadziejne. Jak teraz znajdziemy ci innego męża?

To właśnie słowo „innego” przykuło uwagę Prakrti.

– Czy Kumarowie wiedzą?

– Oczywiście, że wiedzą! Twój ojciec im powiedział. Uznał, że to jego obowiązek. Ale ja w to nie wierzę. Nigdy nie podobał mu się pomysł wesela. Jak zwykle był szczęśliwy, mogąc podważyć moje zdanie.

Prakrti milczała, przyjmując to do wiadomości.

– Z pewnością jesteś zachwycona – dodała matka. – Tego właśnie chciałaś, prawda?

Tak było, oczywiście. Ale emocje, które wezbrały w Prakrti, miały niewiele wspólnego z czymś tak prostym, jak szczęście czy ulga. Odczuwała raczej wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła swoim rodzicom i samej sobie. Rozszlochała się, odwracając twarz do drzwi samochodu.

Matka nie zrobiła nic, by ją pocieszyć. Kiedy znów się odezwała, jej głos był pełen gorzkiego rozbawienia.

– Czyli jednak kochałaś tego chłopca? Tak było? Po prostu przez cały ten czas robiłaś ze swoich rodziców głupków?

Telefon w jego dłoni zaczyna drgać jak oszalały. Napływają niedostarczone wcześniej wiadomości tekstowe i głosowe z sześciu miesięcy.

Matthew patrzy na mgiełkę nad East River i na ogromne billboardy reklamujące firmy ubezpieczeniowe oraz nowe filmy, podczas gdy wiadomości spływają jedna po drugiej. Większość pochodzi od Tracy lub jego dzieci, ale migają też nazwiska znajomych i kolegów z pracy. Każda wiadomość zawiera pierwszą linię tekstu. Przed oczami przemyka mu przegląd ostatnich sześciu miesięcy, apele, lamenty, wyrazy wściekłości, potępienia i cierpienia. Wsuwa telefon z powrotem do torby.

Telefon brzęczy aż do tunelu Queens-Midtown, leje się na niego rozmrożony opad.

– Nie będę wchodzić – powiedziała Prakrti, stając w drzwiach gabinetu prokuratora. – Wycofuję zarzuty.

Twarz miała jeszcze mokrą od łez. Nietrudno było to błędnie zrozumieć.

– Nie musisz tego robić – powiedział prokurator. – Dorwiemy tego drania. Obiecuję.

Prakrti pokręciła głową.

– Posłuchaj mnie. Myślałem o tej sprawie – ciągnął prokurator. – Nawet jeśli nie ma świadka, któremu zwierzyłaś się zaraz po tym zdarzeniu, możemy wywierać spory nacisk na tego faceta. Jego rodzina jest tutaj, w Stanach, a więc chce tu wrócić.

Prakrti najwyraźniej nie słuchała. Patrzyła na prokuratora jasnymi oczami, jakby w końcu wiedziała, co ma powiedzieć, żeby wszystko naprawić.

– Nigdy panu nie mówiłam, ale po college’u zamierzam studiować prawo. Zawsze chciałam być prawnikiem. Ale teraz wiem, jakim prawnikiem. Obrońcą z urzędu! Tak jak pan. Tylko tacy jak pan robią coś dobrego.

Hotel, mieszczący się między Dwudziestą a Dwudziestą Dziewiątą Ulicą po wschodniej części Piątej Alei, jest tym samym hotelem, w którym Matthew zatrzymywał się wiele lat temu, kiedy cieszył się popularnością wśród europejskich wydawców i dziennikarzy. Teraz budynek został odnowiony nie do poznania. W przypominającym lochy holu dudni techno, ścigające go nawet do windy, gdzie staje się ścieżką dźwiękową do drastycznych filmów wideo, które odtwarzane są na wbudowanych ekranach. Zamiast zapewniać schronienie przed miastem hotel stara się wprowadzić te pełne niepokoju i biedy obrazy do środka.

Po wejściu do pokoju Matthew bierze prysznic i zakłada świeżą koszulę. Godzinę później jest już z powrotem w holu, pośród huczącej muzyki czekając na przyjazd Jacoba i Hazel, a także Tracy.

Świadomy, jak monstrualne zadanie go czeka, zaczyna przewijać wiadomości tekstowe i usuwać je jedną po drugiej. Niektóre są od jego siostry, Priscilli, a inne od znajomych zapraszających go na przyjęcia sprzed miesięcy. Są też przypomnienia o płatnościach i mnóstwo spamu.

Otwiera wiadomość, która brzmi:

jesteś tam jeszcze?

I zaraz potem kolejna, z tego samego numeru:

ok, to chyba i tak nie ma znaczenia. już nie będę więcej pisać i pewnie Ty też nie. chciałam tylko powiedzieć, że jest mi przykro. nie z powodu Ciebie,

ale ze względu na Twoją rodzinę. wiem, że to, co zrobiłam, było trochę ekstremalne. zbyt mocno zareagowałam. ale w tym czasie sytuacja absolutnie wymknęła się spod kontroli i czułam, że nie mam wyboru. w każdym razie mam pomysł na siebie. nazywa się to staraj się być lepszym człowiekiem. może będziesz zainteresowany. pa pa. p.o.

Przez wiele miesięcy Matthew czuł do tej dziewczyny jedynie wściekłość. Zarówno w myślach, jak i na głos, gdy był sam, wyzywał ją od najgorszych, używając najpodlejszego, najbardziej obraźliwego, najbardziej soczystego języka. Ale te wiadomości nie rozpalają już w nim nienawiści. Nie chodzi też o to, że jej wybacza ani że myśli, że wyświadczyła mu przysługę. Usuwając te dwie wiadomości, Matthew ma wrażenie, że dotyka palcem rany. Nie odruchowo, jak to kiedyś robił, ryzykując, że znowu się otworzy albo ponownie wda się infekcja, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy się goi.

„Takie rzeczy nie znikają”.

Na drugim końcu holu pojawiają się Jacob i Hazel. Kilka kroków za nimi idzie ktoś, kogo Matthew nie rozpoznaje. Młoda kobieta w rdzawoczerwonym polarze, dżinsach i butach do biegania.

Tracy nie przychodzi. Ani teraz, ani nigdy. Właśnie po to, by przekazać mu tę wiadomość, wysłała w swoje miejsce opiekunkę.

Jacob i Hazel jeszcze go nie zauważyli. Wyglądają na przestraszonych widokiem złowrogich portierów i dudniącą muzyką. Mrużą oczy w przyćmionym świetle.

Matthew wstaje. Jego prawa ręka, jakby z własnej woli, strzela wprost w powietrze. Matthew uśmiecha się tak szeroko, że aż czuje to w nieprzyzwyczajonych do tego mięśniach twarzy. Po drugiej stronie holu Jacob i Hazel odwracają się i rozpoznając ojca, mimo wszystko biegną ku niemu.